JÓZ… POLLAK. ŚLEPCY

[illegible] m 13
1150 m 16
450 m
450 m 2000 m
150 m 3000 m
100 m 3410 m
50 m 43486
100 m
150 m
200 m
150 [illegible]

130 m
90 m

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88.

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie	(9 tomów)	6 zł. 50 gr.
Półrocznie	(18 „)	12 „ — „
Rocznie	(36 „)	22 „ — „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedyńczego 95 gr.

ROK II

TOM LVII i LVIII

JÓZEF POLLAK

ŚLEPCY

POWIEŚĆ

„Mądry nie szuka radości,
lecz unika smutku".

Arystoteles.

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
1926

Tłoczono w Zakł. Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie

Okładkę projektował Jan Poboski

Dostojnym Cieniom
moich Rodziców

Jeszcze dobrze moich nędznych manatków nie rozpakowałem, a już chwytam za pióro, by Ci donieść, że przybyłem na miejsce szczęśliwie. Inny tu kraj i inni ludzie. Takie odniosłem pierwsze, rozumie się, dorywcze wrażenie, bo sąd wydać o kimś pewny, to rzecz i trudna i ryzykowna. Choć jestem jakby na obczyźnie, czuje się jednak dobrze. Praca tu wszędzie wre i kipi, a Ty wiesz, że ja pracę kocham. Porwany w wir pracy, odczuwam zawsze z jej powodu radość i dziwną w sobie moc. Zdaje mi się wówczas, że byłbym zdolny sprostać wszystkim trudnościom, jakie życie nasunie. To umiłowanie pracy wziąłem z Ciebie i za to jestem Ci wdzięczny. Ty, droga Matuś, swoim przykładem zagrzałaś mnie do naśladowania Ciebie, Twem znojnem i pracowitem życiem zachęciłaś do podjęcia wysiłku około zdobycia zadowolenia z siebie, które daje tylko praca. Lecz nie o tem chcę pisać. Najważniejszym powodem, dla którego natychmiast po przyjeździe do Ciebie piszę, to tęsknota za Tobą i obawa, że niepilnowana prze-

zemnie, nie dojesz i nie dośpisz, byle tylko grosz zapracować, który sobie odjąwszy, mnie poślesz. Tego najwięcej się lękam i wielki miałbym żal do Ciebie, gdybym się kiedyś dowiedział, że nie dotrzymałaś słowa, którem zobowiązałaś się nie pracować ponad miarę, jak to dotąd czyniłaś. Wiedz, że stokroć większą wyrządziłabyś mi krzywdę, gdybyś zapadła na zdrowiu z nadmiaru pracy, niż gdybyś mi tu kazała ginąć z głodu. Dlatego też całą moją troską będzie znaleźć sobie oprócz praktyki w fabryce jakieś zajęcie, które umożliwiłoby mi utrzymanie się tutaj o własnych siłach.

Matuś! błagam Cię, jeśli mnie tak kochasz, jak zawsze mówisz, szanuj się i nie przeciążaj pracą, bym po powrocie zastał Cię w dobrem zdrowiu, które dla mnie najcenniejszym jest na świecie skarbem. Znużone oczy kleją się, więc dzisiejszy mój list kończę, obiecując jutro dalsze przesłać o sobie wiadomości.

Pozwól, Matko, Twoje spracowane dłonie po stokroć razy serdecznie ucałować i przygarnąć się do Twego serca.

Twój *Stefan.*

Nie wiem od czego zacząć, o czem pierwej pisać. Czy streścić Ci wrażenia, wyniesione z fabryki, w której dzisiaj byłem po raz pierwszy, czy pisać o zbytku, w jakim tutejsi zamożni ludzie żyją, pędząc życie w nudzie i występku (skąd o tem wiem i jak ich podpatrzyłem, wyłuszczę Ci później), czy podzie-

lić się z Tobą mymi tysiącznymi kłopotami, związanymi zawsze z przesiedleniem się w obce i nowe środowisko, choćby nawet na czas bardzo krótki, czy też wysunąć na czoło mego listu moją troskę o Ciebie.

Wielka tu między ludem pracującym nędza — wierzyć się nie chce, że jedni muszą w pocie czoła zarabiać na kęs czarnego chleba, spać na twardej desce i od ust sobie odejmować, by dziecko posłać do szkoły, jak Ty to, Matuś, czyniłaś, — a drudzy, nie pracując, nikomu nie będąc pożytecznymi, o nic się nie troszczą, jeno o to, by znaleźć coraz nowe, coraz smakowitsze przysmaki, i coraz odmiennych zażyć przyjemności! Czemu społeczeństwo nie waha się miljonów ludzi pogrążać w nędzy i zabijać w nich radości życia? W imię czego tak się dzieje i dlaczego? Oto pytania, które po duszy mojej bez przerwy się tłuką. I nieraz myślę nad tem, jakie z tego położenia wyjście, co czynić należy, by słońca blaski wszystkim rozświeciły duszę, bo dla wszystkich Bóg stworzył słońce i świat ten cudny, bo Bóg wszystkich łaską swą obdzielił w równej mierze, a ludzie tylko wykrzywili sprawiedliwą i mądrą myśl Jego i zohydzili piękne Jego dzieło.

Kiedy o tem wszystkiem myślę, rozwiera się pod stopami memi cała ogromna przepaść rozpaczy, z dna której wyzierają ku mnie jakieś potworne złe ślepia, co kusić się zdają, bym dokonał jakiegoś szalonego czynu i za jednym zamachem zmienił istniejący, przewrotny, szatańsko zły i podły rzeczy

porządek! Lecz jakiegoż—myślę—trzebaby dokonać czynu, by wywrócić na nice wszystko, co złe i niesprawiedliwe? czy to wogóle możliwe i czy największa nawet ofiara wyda owoce? I tu tonę w niepewności i strasznej walce, której kresu nie widzę. Wzmaga się we mnie dziki szał zniszczenia, wstaje duch mściciel, co pokrzywdzonych ku światłu powiedzie, tych maluczkich, biednych, do których Ty, Matuś, i ja należymy.

Rozpisałem się na ten temat wbrew mym zamierzeniom zbyt szeroko, lecz Ty wiesz, jak bardzo leży mi na sercu dola ludzi pracujących. Polepszenie tej doli uważam za zadanie mego życia. Nieraz zdaje mi się, iż mnie chyba Bóg do tego tylko powołał przeznaczenia i włożył na me barki ten wielki trud, przed którym jednak z pewnością się nie cofnę.

Spodziewałam się dzisiaj od Ciebie, moja droga Matuś, listu, który wlałby w serce otuchę i przyniósł ukojenie, bo choć dorosłym już jestem mężczyzną, w istocie jestem ciągle jeszcze dzieckiem, które potrzebuje tkliwej opieki i czułego serca. Lękam się też nieraz, kiedy pomyślę, że kiedyś—nie daj Boże—sam zostanę na tej ziemi pośród obcych i wrogich ludzi. Dziś Ty, Matuś, czuwasz nademną i serca Twego tkliwego rozpinasz skrzydła nad głową Twego syna, radą mu służysz, pocieszasz i koisz; Ty spokój w duszę jego skołataną wnosisz, jak Chrystus, który morską uciszał burzę. Lecz co będzie?... Nie

chcę o tem myśleć, bo kiedy Ty mi zgaśniesz, wieczny mrok ogarnie moją duszę. Dlatego nie mam dość słów, by Cię prosić: uważaj na siebie i szanuj się, bo z śmiercią Twoją, którą oby Najwyższy w najdalsze zechciał odsunąć lata, życie moje zgaśnie niby lampa, padnie niby drzewo, soków pozbawione.

Jeszcze ni słowem nie doniosłem Ci, jak mi się tu dzieje. Listy moje poprzednie, które, przypuszczam, rąk Twoich doszły, musiały Cię zaniepokoić, a zwłaszcza ten, w którym tak obszernie rozwodzę się nad ustrojem społecznym, którego poprawę radbym spowodować, a w każdym razie w pracy około niej wziąć żywy udział. Co do tych wybuchów gniewu, od których list ten się jeżył, muszę Cię uspokoić. Jestem mimo wszystko na tyle rozsądny, iż wykluczam czyny jakieś nieopatrzne, nieobliczalne, szalone. Zdaję sobie aż nadto jasno z tego sprawę, że dziś niczego dokonać nie potrafię, co byłoby z korzyścią dla szerokich mas upośledzonych, że chcąc coś dla nich uczynić, muszę rozumem mym i wiedzą porwać życzliwych tej sprawie, a wrogich przekonać i zjednać, co osiągnąć mogę, znacząc coś w świecie. Dziś jestem niczem. Najbliższym więc mym celem jest zdobyć stanowisko, niby placówkę, z której rozglądać się pocznę, co i jak czynić mi wypadnie. Bądź więc, Matuś, spokojną, bo czas mój jeszcze nie nadszedł.

Wczoraj zamierzałam napisać Ci wreszcie, jak sobie tu życie urządziłem, lecz po drodze, że tak się wyrażę, zaplątałem się znowu w rozważania natury socjalnej i bezwiednie odstąpiłem od pierwotnie wytyczonej myśli. Lecz i w życiu często, ba! prawie zawsze tak bywa, że co innego sobie założysz, a do czego innego dochodzisz. Osiąganie zamierzonych celów jest sprawą wyłącznie ludzi mocnych, a tych wszak tak bardzo niewielu.

Po tym wstępie przystępuję nareszcie (choć być może, znowu nie dobrnę do końca) do opisania Ci mego trybu życia, a raczej pierwszych wrażeń, które wyniosłem z fabryki. Najważniejszem będzie niezawodnie to, że tu dopiero właściwie po raz pierwszy prawdziwemu życiu spojrzałem w oczy. Wszystko to, co o niem czytałem, czy słyszałem, było tylko lichą kopją tego, co życiem zwiemy. Tu robotnik nagi, osmolony, spędza całe swoje życie przy kotle, w płonącą żarem paszczę wrzucając spracowaną dłonią czarny, tajemniczo połyskujący węgiel; tu robotnik znojną, ciężką pracą okupuje nędzne swoje życie, które każdej chwili na włosku zawisło; tu zmaga się w śmiertelnej walce o chleb codzienny; tu podle żyje i jeszcze podlej umiera.

Przyjęto mnie zimno, obojętnie, bo człowiek tu nie odgrywa żadnej roli — jest kółeczkiem w olbrzymiej maszynie. Stare kółeczko zastąpi nowe. Dyrektor, zażywny człowieczek, znać znakomicie wypluskany w dobrobycie, raczył mnie dopuścić przed swoje oblicze. Niby pan życia i śmierci rozwalił się w wygodnym fotelu, myśl pogrążywszy w dymie

wonnego cygara — myśl zapewne pusta, zwiewna, wiotka, przelewna — ot tak... może o czemś, może... o niczem, choć niby troska na czole o dobro firmy czy pracujących w niej ludzi i powaga w małych, nikłych, nieprzyjemnie świdrujących oczkach. Wyłuszczyłem cel mojej wizyty. Skrzywił się.

— Praktyka? nie mam miejsca — odparł sucho. — Mam list — odrzekłem — od profesora Szalskiego — jeśli pan dyrektor pozwoli...

... Po przeczytaniu listu okazał się łaskawszym i raczył wdać się ze mną w dłuższą rozmowę, rezultatem której była rzekomo żywa sympatja, jaką ku mnie powziął i zaproszenie do siebie na wieczór na herbatę. Nie powiem, abym miał być tem zaproszeniem olśniony, bo wiesz z jaką niechęcią odnoszę się do sfer posiadających (nie dlatego, że posiadają, lecz dlatego, że tchną wstrętnym egoizmem), musiałem je jednakże przyjąć, zważywszy, że dzięki jemu mam możność praktycznego zapoznania się z moim przyszłym warsztatem pracy. Przez chwilę wahałem się ze względu na moją, wiele pozostawiającą do życzenia garderobę, jednak przekora czy pogarda zwalczyły skrupuły. Niemałą rolę odegrała też zapewne żądza przyjrzenia się tym ludziom zbliska. Interesuje mnie to, jak żyją, jak się bawią, co myślą i mówią. Wszystkie spostrzeżenia, w tym kierunku poczynione, stanowić będą cenny materjał, którym dla mych celów kiedyś się posłużę. Wieczorem wybrałem się istotnie do państwa dyrektorów w mej połatanej na łokciach marynarce, jednej jedynej zresztą, jaką posiadam i postrzępionych pantalonach które

odziedziczyłem po ojcu. Możesz sobie wyobrazić, jaką brzydką plamą odbijała moja cała niezgrabna figura od perskich dywanów, tiulowych firanek, złoconych, figlarnie małych krzesełek, obitych adamaszkiem, z jakiem przerażeniem oglądała mnie pani domu i ile wyrzutu wyczytałem w jej oczach, skierowanych gniewnie ku mężowi, sprawcy tego całego „nieszczęścia". Wykwintna, wonna, troskliwie wypielęgnowana dama to bladła, to się w kolorach mieniła, nerwowo mnąc chusteczkę w małej rączce, zdobnej w jeden wprawdzie, ale odpowiednio duży, snopy iskier ciskający brylant. Zaciąwszy drobne ząbki — milczała. Wszystko to jednak na mnie nie robiło żadnego wrażenia, choć nie! — źle mówię — przeciwnie! zrobiło bardzo komiczne wrażenie, zmięszane z wrażeniem najwyższej pogardy, której umiar jednak umiałem zachować, nie przekraczając granic dobrego wychowania, o którem, rzecz dziwna, jak na syna stolarza, mam aż nadto dokładne pojęcie. A muszę ci powiedzieć, że zachowanie tej damy nasuwało aż nazbyt wiele pokus, bym wypadł z równowagi, jak kula armatnia, wyrzucona z działa. Opanowałem się jednak i byłem tem więcej słodko uprzejmy, im więcej niegrzeczną była ta dama. Pan dyrektor nadrabiał miną. Rozmowa wlokła się, jak szary dzień jesienny. Sytuacja jednak o znacznem napięciu obustronnego wstrętu, przyzwoitością tylko utrzymywanego na wodzy, znacznie się pogorszyła, kiedy nagle telefonicznie zapowiedziało się na herbatę całe towarzystwo. Tu zaambarasowanie gospodarzy doszło do szczytu. Niedwuznacznie dawali mi do zro-

zumienia, ,iż pora mi się wynieść. Ty mnie jednak, Matuś, znasz! Gdybym nie był wyczuł w nich tego nastroju, byłbym sam wyszedł lecz opadnięty spojrzeniami pełnemi wściekłości, wskazującemi mi nieledwie drzwi, postanowiłem zostać. Pan dyrektor zwinął się w kłębek, wyczekując chwili, kiedy dźwignę się z krzesełka, pani domu uznała za stosowne wyjść z salonu, ja zaś najspokojniej rozważałem różnicę w planie studjów na technice, jaka zachodzi między tem, co było dawniej a co jest dzisiaj. Następnie rozwałkowałem kwestję żydowską, poczem przeszedłem do rozważań, jakie zadanie ma dzisiejszy teatr i t. d. Mówiłem bez końca przez nikogo niesłuchany. Ale to mnie właśnie bawiło. Trwało to wszystko tak długo, póki nie wtoczyło się do salonu dostojne towarzystwo. Natychmiast nastawiłem wszystkie moje zmysły, niby fotograf swój aparat. Fotografję tego, co widziałem, co słyszałem i co przeżyłem, nadeślę Ci w następnym liście, na razie bowiem muszę kończyć i śpieszyć do fabryki.

Matuś! do tej pory nie mam od Ciebie ani słowa. Lękam się, czy nie jesteś chora. Jestem tak niespokojny, iż dziś przez chwilę błysnęła mi myśl, by rzucić wszystko i śpieszyć do Ciebie, by Ci paść do nóg i naocznie się przekonać, czy Ci nie grozi co złego. Najwięcej niepokoi mnie ta Twoja skleroza.

Boże mój! żebyś Ty już mogła przestać pracować! żebym ja już nareszcie tak stanął na nogach, bym Ci zapewnił do śmierci wygodne i spokojne ży-

cie i nagrodził Ci trud i znój całego Twego życia. Jest to mojem najwyższem pragnieniem, jedynym życia mego celem! Nieraz myślę, żeby kogoś uprosić o jakąś pożyczkę, by przy jej pomocy ukończyć studja i Ciebie uwolnić od tej ciężkiej pracy. Lecz któż co pożyczy biednemu studentowi techniki?

Pomyśl, jakby to było cudownie, gdybyś Ty mogła poleżeć sobie do dziesiątej i kości Twoje wygodnie wyciągnąć, gdyby ci do łóżeczka przyniesiono filiżankę pachnącej kawy i bułeczkę z masełkiem... gdyby Twój syn mógł przy Tobie siedzieć, ręce złożywszy na Twą siwą głowę i pleść Ci baje o dobrych ludziach.

Lecz bądź, droga moja, cierpliwą—wszystko to będzie, skoro tylko studja ukończę! Wszak to tak niedługo! jeszcze półtora roku, a potem... nagroda Tobie hojna za całe Twoje znojne życie, droga moja Matko! Otoczę Cię zbytkiem, nawet czepeczków kupię ślicznych sześć w kolorze, jaki Ty lubisz, z koroneczkami i taką taśmą pod bródkę i wygodne łoże się znajdzie i pokoik mały lecz piękny z oknem wychylonem ku słońcu, które Ty tak kochasz, a którem teraz raz w tygodniu zaledwie w niedzielę, możesz się nacieszyć. Na okienku Stefuś poustawia wazoniki w bibułki strojne, pełne pachnących azalji, rezedy...

Rozmarzyłem się, jak dziecko, które śni o świętym Mikołaju... ale nie są to marzenia, które spełnićby się nie miały. Spełnią się! bo pracą moją zdobędę dla Ciebie wszystko, czego zapragniesz, zdobędę Ci świat, skoro rozkażesz i u stóp Ci go położę.

A teraz kończę, prosząc Cię, droga, o kilka słów. Nie wstydź się, że pisać dobrze nie umiesz! — życie Twoje, cnoty pełne i poświęcenia, wystawia Ci świadectwo najlepszej z matek, najdostojniejszej z matron!

Siwą Twą głowinę do piersi mych cisnę.

Drogi mój Synu.

Listy tfoje dostałam, ale mi się nie podobają. Będziesz się gniewał na mnie za to, co ci piszę. Boję się, że Boga niema w twojem sercu a ty wiesz, że kto w Boga nie wieży, nic nie wart. Jeśli chcesz mój synu, sprawić mi radość, módl się, a modlitwa odwiedzie cię od złych myśli i czynuw. Nie prawuj się z tem, co jest, bo żeczy nie odmienisz. Muszą być biedni i bogaci — tak było od początku świata i tak będzie do końca. Ty tu nic nie poradzisz i nie odmienisz. Módl się i pracuj i bąć takim, jakim był twuj ojciec. Ja cały dzień pracuję i o tobie ciągle myślę, bo dla ciebie tylko żyję. Wieczór z sąsiadką gawendzę i kładę się spać, wstaję teraz trochę puźniej, bo sił coraz mniej. Całuję cię, mój Stefciu, serdecznie. Twoja kochająca cię matka.

Liścik Twój kochany dzisiaj otrzymałem. Z jakąż radością go przyjąłem, ile razy do serca go przycisnąłem! Najhojniejszy podarunek, najczulszy list najtkliwszej kochanki nie zgotowałby mi tyle wzruszającej radości, ile te Twoje, spracowaną dłonią na-

kreślone literki. Szczerze i serdecznie Ci za niego dziękuję, choć z treścią jego zupełnie się nie zgadzam. Dziś, niestety, nie mam czasu dłużej nad tą sprawą się rozwodzić, lecz w najbliższych dniach znajdę chwilkę czasu, by Ci na niego obszernie odpowiedzieć.

Moja droga Matko. W liście Twoim poruszyłaś kwestje, które stanowią rdzeń całego mego systemu myślowego. Nie pogodzę się nigdy z tem, by jedni, nieliczni, byli syci i okryci, a drudzy żyli w nędzy. Przeczę też temu, by w tej mierze nie można było osiągnąć zmiany na lepsze. Sprawa to niezawodnie zawiła i trudna, nie dająca się załatwić, że tak powiem, od ręki, niemniej przeto jest i ważna i konieczna. Czeka ona rozwiązania, którego dokonać może ktoś, kto dopiero przyjdzie. Nie mam pretensji, bym ja nim być miał, bo inne do tego trzeba mieć warunki, niż ja je posiadam, lecz uważam, iż obowiązkiem moim jest wszystko w tej mierze uczynić, co leży w mej mocy, i na co mi moje pozwalają zdolności. Wszystko to, co ja uczynię, czy inni, mnie podobni, będzie tylko przygotowaniem gruntu dla tego, który przyjdzie. Bo tak, jak wierzę, iż był Chrystus na ziemi i maluczkich przygarnął i wziął ich w swą opiekę, tak wierzę, iż przyjdzie kiedyś ten, który wyzwoli z męki rzesze pokrzywdzonych i przywróci im godność i zdeptane prawa człowieka. Ojciec mój, którego za przykład pragniesz mi postawić, był męczennikiem. Na ciężkiej pracy zeszło mu twar-

de, znojne życie. I jakież były tej pracy owoce? Czy zdołał zapewnić sobie wygodne, spokojne życie? czy nie z wysiłkiem największym dźwigał brzemię obowiązków, które na siebie przyjął? Czy mocą swego trudu zdołał zapewnić sobie bodaj śmierć spokojną? Czy nie pamiętasz, jak strzępy ciała jego na marach z fabryki do domu przynieśli? czy miałaś wówczas środki, by go ratować? Przecież grosza w domu nie było, choć się biedny ojciec ani nie lenił, ani grosza nie trwonił. A jednak... tyle nawet nie zapracował, by na pogrzeb jego starczyło! To wstrząsająca tragedja, przeklęty, straszny los! Czyż nie przyjdzie nareszcie czas, by tej krzywdzie położyć kres?

W liście Twoim, droga Matko, wzywasz mnie, bym się nie prawował, bo niczego nie odmienię! W tym względzie mylisz się najzupełniej. Przeciwnie, jest obowiązkiem tych, którzy wyszli z pośród pokrzywdzonych i zdeptanych, wysunąć tę palącą kwestję na czoło, nadać jej właściwą wagę i sprowadzić ją na tory, które wiodą ku lepszemu jutru. Ja to czynić będę! — gdybym czynił inaczej, zdradziłbym mego ojca, zdradziłbym Ciebie i siebie. Walczyć do ostatniego tchu jest moim obowiązkiem — uchylić się od niego, znaczyłoby zaprzeć się swego własnego *ja!* Tego odemnie nie żądaj, bo żądaniu Twemu musiałbym odmówić!

Życie urządziłem sobie tutaj całkiem skromnie i tanio. Rano herbatka, w południe odrobinę ciepłej

strawy, czasem kawałek mięsa, wieczorem herbatka i kęs chleba. Wydaję wskutek tego bardzo niewiele. Chcę grosza zaoszczędzić, który nam się w zimie przyda. U kuzynki dyrektora przyjąłem lekcję, która mi dosyć dużo niesie. W ten sposób oszczędzając ! udzielając lekcyj, spodziewam się uzyskać dosyć pokaźny kapitalik, za który zamierzam kupić Ci przedewszystkiem ciepłą chustkę i porządne buty. Wystroisz się, Matuś, do kościoła, że Cię kumoszki nie poznają. Pieszczę się tą myślą, że będę Ci mógł sprawić te najpotrzebniejsze rzeczy. Jeśli starczy, pomyślę także i o koszulinach dla Ciebie, bo nie mogę już na te łachmany patrzeć. Trzebaby i mnie to i owo kupić, lecz ja to fraszka, Ty jesteś pierwsza, którą chcę zaopatrzyć, w co należy.

Pracuję dużo. Osiem godzin dziennie zajęty jestem w fabryce, do której chodzę z przyjemnością, bo korzystam niezmiernie wiele. W dziesięciu dniach nauczyłem się tutaj więcej, niż w trzech miesiącach na technice. Tutaj dopiero widzi się, że ślęczenie nad książkami i wkuwanie się zapewnia znikomą część tego, co się umieć powinno, jeśli chce się uchodzić za mającego o rzeczy pojęcie. Godziny wolne od zajęć fabrycznych rozdzielam między lekcje i przechadzkę. Po kolacji zasiadam do książek i czytam do późnej nocy. Czasem szary świt zaskoczy mnie przy stoliku. Największa to moja rozkosz, kiedy czytać mogę. Obcowanie z duchami wielkich ludzi w ich dziełach nietylko kształci — lecz odrywa od wszystkiego, co płaskie i niskie. Gdyby ludzie czytali dzieła wielkich ludzi, nie byliby tak podli, no

i tak ograniczeni. Duch ludzki wymaga taksamo codziennej zdrowej strawy jak ciało — nieodżywiany, z dnia na dzień marnieje.

Już pół miesiąca mija, jak jestem poza domem. Szybko mi ten czas upłynął z wielką dla mnie korzyścią. Nauczyłem się wiele, pogłębiłem się i skupiłem. Wiele przemyślałem i przecierpiałem wiele lecz to i dobrze, bo cierpienie jest mistrzem, który duszę rzeźbi i wolę kształci. Człowiek, który nie cierpiał, nie umie być mocnym. Życie jest śmiertelnym bojem—w nim trzeba się zaprawić. Ból ostrzy broń, którą umiejętnie złożyć się trzeba, by wyjść z walki zwycięsko. Dowodem prawdziwości tego twierdzenia jesteś Ty, Matuś, sama, z której czerpię wzór. Z śmiertelnych zapasów wyszłaś obronną ręką, bo zahartował Cię ból i otuchy dodała modlitwa. Co do tej drugiej kwestji jestem od Ciebie nieco odmiennego zdania, lecz nie chcę jej wywlekać, by Cię w Twych uczuciach religijnych nie dotknąć.

Dzisiaj myślałem o Tobie więcej niż zwykle, siedząc pod lasem, który półkolem miasto otacza. Zadumany rozwarłem przed oczyma memi moją skrzynię wspomnień, związanych z naszem życiem. Sięgnąłem pamięcią w przeszłość, choć cichą i ubogą, lecz uroku dla mnie pełną—i oto nasunął mi się jeden z obrazków, kiedy w słoneczną niedzielę poczciwy mój ojciec siadał na ławeczce przed domem i grał na harmonji. Zasłuchani w skoczne albo smętne melodje spędzaliśmy całe popołudnie w błogim

nastroju, który dusz był pokrzepieniem. „Błogosławione życie w cichym, własnym domku"! Nie był on własnym, lecz nie mniej był miłym i bardzo kochanym. I cóż dałbym za to, by te chwile wróciły, bym, siedząc u nóg mego ojca, snuł dziwne baje i radował się ciszą, jaka była wówczas w dziecięcej mojej duszy! Nieznane mi wówczas było jeszcze życie, pełne zasadzek i ciężkiego znoju, nieznane walki wewnętrzne duszy, pod których brzemieniem dzisiaj się uginam... O! cudne dni, wróćcie choć na chwilę, bym beztroskliwie głowę moją złożył na kolanach matki i cieszył się życiem. Próżne niestety marzenie! Dziś do szeregu trzeba stanąć i zmierzyć się z życiem. Przyznam Ci się, że czasem się lękam, czy zdołam wytrzymać napór sił, przeciwdziałających zamierzeniom moim. Miewam nieraz chwile, kiedy się lękam, bym nie uszedł jak tchórz z placówki, którą los mi wyznaczył. Ulegam wówczas pokusom jakichś złych przeczuć, które jadem zwątpienia zatruwają duszę. Lecz wnet się otrząsnę, pomny mego ojca, który wraz się zjawia i karci swym surowym wzrokiem. Te mądre oczy szeptać się zdają: pamiętaj, ile krzywd w mem życiu zniosłem, lecz nie mścij się a walcz! walcz w imię dobra wszystkich mnie podobnych. Zrzucam wówczas z serca trwogę i do czynu się gotuję.

Paplałbym tak, moja Matuś, bez końca i spowiadał się przed Tobą z mych nadziei i zwątpień, co duszą naprzemian władną, gdyby nie czas pomyśleć o spoczynku. Kończę więc i proszę o kilka słów serdecznych.

Dżdżysto dziś i ponuro na świecie. Skryło się słonko poza zwały niezgłębione chmur. W dnie takie myśl ponura z dna duszy wypełza i wlecze człeka nad straszliwą przepaść zwątpienia i smutku. I wnet sto pytań duszę Twą opadnie, jak sto sztyletów w pierś Twą skierowanych, z których każdy śmierć Ci pewną zada. Dziś wstał taki dzień. Drżę wtedy cały, bym nie zwątpił we wszystko.

Historja z kuzynką dyrektora układała się dosyć ciekawie—szkoda, że się już skończyła. Nie podałem Ci jeszcze żadnych jej szczegółów ze względu na szacunek, jaki mam dla Ciebie. Widzę jednak, że nie będę mógł tego przed Tobą zataić, jeśli nie chcę narazić się na wyrzuty sumienia, iż przed najlepszą z matek mogę mieć jakiekolwiek tajemnice. Chcąc Ci przedstawić dzieje tych przeżyć, które zresztą bynajmniej nie zaważyły na szali mego życia, muszę sięgnąć do pierwszego wieczoru, który spędziłem u dyrektora. Wspominałem Ci już o nim i, jeśli się nie mylę, pisałem, ile to ambarasu sprawiła państwu dyrektorom moja osoba, kiedy nagle zjawiło się w salonie całe towarzystwo. Oglądano mnie wówczas, niby jakiś niezwykły okaz lub odnoszono się „z pańska łaskawie". Bardzo problematycznie przedstawiła się ta ich rzekoma kultura, którą tak się chełpią. Kultura ta, do której odwołują się z dumą, jest czysto zewnętrzna, ta wewnętrzna, duchowa, uboga w treść jak dziadowska sakwa. Blichtr i nędza ducha są oprócz egoizmu ich wszystkich wspólną ce-

chą. Znudzony banalnością i blagą, już zamierzałem się wynieść, gdy nagle podeszła ku mnie jedna z dam (właśnie owa kuzynka) i zaszczyciła mnie rozmową. Możesz sobie wyobrazić moją niepomierną radość! Wytworna dama raczyła zwrócić na mnie uwagę i wdać się ze mną w rozmowę! Zachodziłem w głowę, co mogło być przyczyną tego „szczęścia", które mnie spotkało. Później rzecz się wyjaśniła. Zblazowana dama, syta już romansów z ludźmi z „swojej sfery", zapragnęła — jakżeż Ci tu powiedzieć? — czegoś niezwykłego, jakby czegoś w jej pojęciu egzotycznego. Uważała, że z takim obdartym młodzieńcem, „kandydatem do ich sfery" coś przeżyć, będzie rzeczą nieprzeciętną i nową. Była ciekawa, do czego zdolny jest na tem polu człowiek, pochodzący z plebsu. Zaraz też uderzyła w ton odpowiedni, zmierzający do zbadania gruntu. Oczywiście nie pozostałem jej dłużnym i dostroiłem się do jej wyzywającego prowadzenia rozmowy o kwestjach, których Ci tu nawet powtórzyć nie mogę. Dość, żeśmy się szybko z sobą porozumieli.

W szybkiem tempie pomknęliśmy tajemnych schadzek gęstwią i stanęliśmy u wrót, które wywaliłem jednem kopnięciem nogi... Przyszła do mnie bez skrupułu i bez ceremonji i... wyobraź sobie, znalazła, że jest u mnie ślicznie, choć całą ozdobę mojej nory stanowią stolik o trzech nogach, krzesełko i żelazne łóżko. No! — ale miłość myśl słodką uskrzydla i w lśniące pióra stroi fantazję! I wlokłaby się może ta historja dłużej, gdyby z swoim synem a moim uczniem nie musiała wyjechać na południe.

Skoro już o tej sprawie, niegodnej zresztą nawet wzmianki, rozpisałem się tak obszernie, to nie od rzeczy będzie przedstawić Ci tryb życia takiej wonnej damy. Rzecz sama w sobie całkiem nieciekawa, lecz przytaczam tu te szczegóły, by wyjaskrawić krzyczącą niesprawiedliwość, jaką niesie z sobą dzisiejszy ustrój społeczny i tem dosadniej uwypuklić nędzę, w jakiej pędzą życie ludzie pracy.

Taka wonna dama dźwiga się z puchów koło południa. Kąpiel i masaż są wstępem do bardzo troskliwych zabiegów około pielęgnacji gnusnego ciała, a celem ich jest żądza błyszczenia i podobania się, płynąca z próżniaczego życia. Wonna kobieta, pragnąca hołdy zbierać, musi być wiotka i smukła, a do tego przyczynia się masaż. Potem następuje ondulowanie i tysiączne drobiazgi, związane z ułożeniem modnej fryzury, wybieranie z pośród dziesiątek toalet jednej sukni i stosownych do niej bucików. Tak wystrojona lala rusza automobilem na przechadzkę lub odwiedza znajomych, poczem wraca na obiad, po którym wyciąga „znużone" kości na wygodnej otomanie, ważąc w myśli projekty schadzek z coraz nowymi kochankami. Od piątej do szóstej jest... „słodko" zajęta, wieczorem teatr, później kolacja, dancing... wreszcie późną nocą powrót do domu i wypoczynek po „całodziennym trudzie".

Tak mniej więcej przedstawia się porządek dzienny zajęć wonnych dam. A jakże Ty, Matko, żyjesz? ileż koszul musisz wyprać, by zapracować na najskromniejsze życie? w jakim strasznym trudzie i mozole musisz wypracować Twą nędzną egzysten-

cję? jakich to wyrzutów sumienia doznajesz z powodu zbytku, na który pozwolisz sobie od czasu do czasu, nawarzywszy kaszy, okraszonej słoniną? ileż następnego dnia czynisz oszczędności, by powetować zbytek dnia poprzedniego? A tu taka wonna dama wyda na perfumy, pudry, róże w miesiącu więcej, niż Ty na całoroczne Twoje utrzymanie! a za jej toalety, które w jednym roku sprawi, zapewnić możnaby byt spokojny dziesięciu rodzinom. To są rzeczy, które muszą oburzać i które też bezwzględnie muszą ulec zmianie.

Wiem, że list dzisiejszy spotka się z surową Twą naganą i że lęk o mnie serce Twe ogarnie lecz wierz mi, moja Matko, że słowa goryczy, które się cisną pod pióro, płyną z serdecznego żalu nad niedolą pokrzywdzonych, których radbym mem sercem obdzielić, pełnem ogromnej dla nich miłości. I wszystkich ich radbym do serca przycisnąć i każdemu z nich nieść słowa pociechy i w każdego duszę chciałbym tchnąć otuchę, by odszedł odemnie radości pełen i pogodnej ciszy. I wszystkie spichrze rozwarłbym naoścież i wszelakie rozdałbym im dobro, by głód ukoiwszy, imali się pracy, która nie będzie dla nich przeklętym ciężarem, lecz ofiarą z ducha, który w zdrowem zagości ciele.

Tak na rzecz patrzę, więc nie strofuj mnie, Matko, bo poza słowami memi nie nienawiść się kryje, lecz ból bezmierny, serdeczny, którego jedną tylko cząstkę radbym przelać w dusze tych ślepców, co blaskiem omamieni złota, nie wiedzą co czynią.

Kochany mój synu!

Listem twoim ostatnim zmartwiłam się bardzo. Może ja prosta kobita nie rozumiem się na tem ale wiem, że Chrystus nauczał: miluj bliźniego twego jak siebie samego i ja ciebie tego uczyłam. Ale ty zapomniałeś już o tem i stałeś się bezbożnikiem a wszystko przez te książki. Boli mnie bardzo serce, że mój syn, dla którego poświęciłam całe życie, wymyśla jakieś herezje a nie idzie drogą, którą szedł jego ojciec. Płaczę, kiedy te kulasy stawiam i choć zmęczona zaraz ci odpisuję. Nie kochasz mnie już nic, mój synu, a na to sobie nie zasłórzyłam. Wychowałam cię po bożemu a ty co robisz, to sam grzech, którym się brzydzę. O tej pani już mi więcej nie pisz, nie pani to a... niech nie powiem, bo obraza Boska. Całuję cię serdecznie, mój synu. Bondź dobry i módł się a ludzi kochaj, bo tak Pan Bóg karze. Jadzia codziennie zagląda do mnie i dopytuje się o ciebie. Bardzo to dobre dziewczątko i chciałabym bardzo, żebyście się pobrali. Uczciwa i porządna a to wszystko. Był też i Antoś. Gniewa się na ciebie, że do niego nie piszesz. Biedaczysko ciężko pracuje, żeby braciom i siostrom dopomóc. Napisz do niego, bardzo się ucieszy. Sowilskim urodziła się curka. Nie mam jusz więcej co pisać, więc całuję cię jeszcze raz serdecznie i polecam cię Opiece Boskiej, mój Stefciu.

Dzisiai nadszedł Twój list, moja Ty dobra Matko. List ten jest tak smutny, jak moja dusza. Coś się

w niej niezwykłego dzieje, przed czemś się cofa, czegoś się lęka, to znów budzi się w niej namiętnej walki potężny zew, pręży się, miota, knuje, a potem ucicha niby toń spieniona za odpływem morza. Dusza moja w męce się wije i płacze. Dróg szukam, że ledwo oczu nie wypatrzę i dokądś się wlokę przeznaczeniem rzucony na szlaki mi nieznane, kędy zaborów, wybojów i ciemnych dołów bez liku. Idę przed się, lecz nie wiem, czy się dowlokę do celu, bo coś się we mnie mozoli, łamie, gnie, coś z trzaskiem pęka, rwie, że czasem przymknąć mi tylko oczy i runąć w przepaść, pogrześć się w zapomnieniu i niepamięci tego, co było, co bolało i odejść na zawsze stąd, gdzie wszystko mi dalekie, obce a dokąd zabłądziłem wolą wyższych, nieznanych mi przeznaczeń. Nie mnie miejsce wśród żywych, bom do czynu niezdolny. Grzebię nieraz w mej duszy i iskry energji wykrzesać nie mogę. Pustką dusza moja świeci jak obora chłopka, który z nędzy ostatnią pod wiosnę sprzedał krowę. I wchodzę w jej wrota naoścież otwarte i błędnym wlokę wzrokiem i ręce łamię, widząc moją nędzę. I jakżeż tu imać się czynu, skoro dusza chora? Uciekły z niej myśli wszelkie górne, wielkie, zostały ułomki, niby wóz strzaskany, w polu porzucony. I próżno się biedzisz i próżno zachodzisz, byś ze strzępów mógł złożyć całość — z ruin nie wyczarujesz pałaców!

I oto z załamanemi rękoma stoję jak rolnik na zniszczonej gradem roli i pytam przerażony: co począć? I gdzieś kogoś szukam, coby służył radą i serce znużone krzepił otuchą, lecz kędy wzrokiem się-

gnę, znikąd radości ni szczypty nadziei. Sam się tu z sobą borykam wśród wichrów burzy, a tu przedemną gradem pokładzione zboże, pokotem kłosy leżą powalone, zmarniałe. I na cóż ta praca? na co ten trud? wyrywa się z piersi oszalały krzyk, który bez echa w wichru szyderczym chichocie ginie i przepada. Obchodzę po tysiączny raz pole i jeszcze oczom mym nie wierzę, aż kłosów drżącą ręką dotknę, bym ogrom klęski mej przemierzył.

Straciłem wiarę w siebie, duszę zżarła rozpacz. Tacy ludzie niczego nie dokonają i nikomu nie są na nic potrzebni — powinni przestać istnieć. Skoro nie potrafią wyjść z zaklętego koła niemocy, winni się usunąć i zniknąć z tej ziemi. Świat do mocnych należy i mocni tylko ostać się mogą — słabi muszą zginąć lub wlec się posępni za mocnych tryumfalnym wozem, by ostatecznie, losem zmiażdżeni, paść, cisnąwszy sobie samym przekleństwo. Do takich ja należę i na tem się też ze mną skończy, bo czyż lichy aktor zdolen jest odegrać wielką rolę? Znaczone mu całe życie grać lokaja rolę. Ja gardzę tą rolą, a do innej nie mam niestety zdolności i tu moja tragedja.

Już przeszło tydzień nie pisałem do Ciebie, moja Matuś, co zapewne weźmiesz mi za złe lecz doprawdy nie mogłem się jakoś zebrać, by wziąć pióro w rękę. Z drugiej strony nie mam już od dłuższego czasu od Ciebie też żadnych wiadomości i to zwiększa jeszcze bardziej mój niepokój. Czynię sobie

wymówki i bardzo żałuję, że wysłałem ten ostatni mój list, który zgotował Ci zapewne wielką przykrość i wielki niezawodnie a słuszny obudził w Tobie żal ku mnie. Gdyby tak być miało, byłbym niepocieszony, bo wszak Ty jesteś mi na ziemi wszystkiem. Dla miłości Twojej nie cofnąłbym się przed niczem. Z dróg Twych pragnę usunąć wszystko, coby Cię mogło choć przez chwilę przyprawić o zmartwienie. Moją całą troską jest spłacić dług wdzięczności, jaki wobec Ciebie zaciągnąłem i osłodzić Ci ostatnie chwile Twego życia. Chcę być dla Ciebie promykiem radości, co Ci opromieni czoło i chcę w duszy mej tyle synowskich naniecić uczuć, byś z nich, niby ze zdroju czystego, pełną czerpała ręką ku pokrzepieniu Twemu na stare Twoje lata. Dlatego ilekroć razy zbłądzę, żal mię ogarnia niezmierny, że ino paść Ci do nóg i o przebaczenie prosić. Dziś taka się chwila nawinęła. Wyrzucam sobie niewdzięczność i bezwzględność, które przeczyć się zdają mym najświętszym uczuciom, jakie dla Ciebie żywię. Gdybyś tak miała choć przez chwilę sądzić, moja Najmilsza, to raczej mi nie żyć. Lecz pocieszam się tem w mem wielkiem zmartwieniu, że dobre i poczciwe Twe serce zrozumie mnie i wczuje się w moją duszę, że nie odepchnie, lecz przygarnie i pocieszy. Nadto jest jeszcze jedna okoliczność, która w oczach Twych mię usprawiedliwi, a mianowicie ta, że Ty jesteś jedyną na świecie istotą, przed którą mogę się wypowiedzieć z bólów mych, zawodów, cierpień i męki. Czyż przed obcymi mam rozwierać duszę, by ją oplwali? obcym mam rzucać

kawały mej duszy, by je zdeptali? Z pośród wszystkich, nawet najbliższych, jedna tylko matka boleść wyrozumie — inni wyszydzą, albo obojętnie przejdą mimo. Matka to najświętsza rzecz na świecie! Najświętsza przez swój ból, przez swoją mękę, z jaką dziecko na świat wyda, z jaką je wychowa i z jaką wreszcie z pod skrzydeł swych opiekuńczych w świat je wypuści. Ta męka jest jej królewską koroną, w której perlą się jej łzy, źródłem których wieczny lęk o dziecka losy. W matczynej królewskiej męki koronie jaśnieją, niby najdroższe kamienie, jej najdumniejsze o dziecku myśli i najpiękniejsze sny, a korona ta stopiona z najczystszego kruszcu—z miłości ogromnej, ofiarnej.

Taką to świętą rzeczą jest matka, a ponad wszystkie matki Ty, moja Matuś.

Do tej pory niestety nie nadszedł od Ciebie tak gorąco przezemnie upragniony liścik.

Pamiętam, kiedy pierwszą miłością odezwało się me serce — Ty wiesz przecież o tem — z drżeniem wyczekiwałem tej chwili, kiedy na ulicy choć zdaleka moją ukochaną ujrzę. Tak drżę dzisiaj, wyczekując z chwili na chwilę listu od Ciebie. Napisz, moja Ty droga, choć słów kilka, a wraz rozwiejesz me smutki i radość tchniesz w duszę. Teraz Twych listów pragnę więcej niż kiedykolwiek. I to Ci oświadczam, Matuś, że, jeśli jutro listu nie będzie, pakuję manatki i wracam.

Cieszę się bardzo, iż donieść Ci mogę, że znacz-

nie się uspokoiłem, a pomogły mi w tem dwie rzeczy: dalekie za miasto przechadzki i częste obcowanie z robotnikami, których serca zdobyłem. Jakże nad podziw łatwo zdobyć te proste, czułe serca. Szorstkie ich dłonie, lecz dusze tkliwe. Poczciwy lud, spracowany, biedny! Dać mu tylko możliwe warunki życia, stworzyć mu znośny byt, a zwiąże się go z sobą na zawsze i zyska w nim nietylko siłę roboczą, lecz wiernego przyjaciela, oddanego towarzysza, gotowego do największych ofiar. Niestety sfera posiadająca leni się, by zalety te podsycić i wyzyskać dla dobra ogółu. Zbierze też kiedyś lenistwa swego i zacietrzewienia smutne owoce.

Między innymi, do których najczęściej zaglądam, jest jeden z kowali, do którego kuźni lub domu zachodzę. Trzeba go widzieć, stojącego osiem godzin bez przerwy przy kowadle, trzeba widzieć, jak wywija z mocą, ale i z ciężkim trudem młotem, trzeba widzieć, jak do domu po tej znojnej pracy wraca, trzeba widzieć jak nędzna strawa w nagrodę go czeka, jak podle w norze mieszka, jak dzieci wychudłe, blade, obdarte uwijają się po kątach izby, by zrozumieć, jak wielka krzywda tym ludziom się dzieje. Nie są to rzeczy dla mnie nieznane ni nowe, bo wszak i my tę ciężką cierpieliśmy dolę, lecz ten, o którym piszę, o tyle jest w gorszem od nas położeniu, iż ojcem jest ośmiorga dzieci. A mimo to jest ten człowiek jednak pogodny i zadowolony. Skąd to zadowolenie wśród tych nędznych warunków czerpie, jest to dla mnie tajemnicą, bo ja powiesiłbym się dziesięć razy. Zjadłszy miskę pęcaku z kaszą

i kromkę chleba, popija herbatą i rad z siebie i ze świata, zapala papierosa. Pogwarzy z żoną, z dziećmi pożartuje i kładzie się spać, by dnia następnego znów do pracy się zerwać. Jakże skromne są wymagania tego człowieka! o ileż wydatniejszą byłaby ta jego praca, gdyby odżywił się kawałkiem mięsa lub jajkiem, mieszkał w suchej, jasnej izbie i nie cierpiał od dzieciństwa biedy, która już w zaraniu wyssała jego siły!.. O ileż radośniej pracowałby ten człowiek! jakże gorąco kochałby tę pracę, gdyby mógł dzięki niej zapewnić sobie i swojej rodzinie skromne warunki bytu. Doprawdy nie rozumiem, jak można przeoczyć ten tak bardzo prosty, a tak ważny moment dla produkcji, dla życia gospodarczego i dobrobytu całego narodu. Robotnik zaspokojony w swych skromnych wymaganiach, zadowolony, stałby się siłą i podstawą narodu, stanowiłby moc, której żaden nie pokonałby wróg!

Kochany Stefusiu! Taki smutny list napisałeś, że się spłakałam i rady sobie znaleźć nie mogę. Bóg nie mieszka w twojem sercu. Pan Jezus cię opuścił, bo się nie modlisz. Módl się a wróci ci spokój. Ja dałam na mszę na twoją intencję, by cię Bóg ustrzegł od złego. Nic ci ja, prosta, nieuczona kobita więcy poradzić nie mogę ale bardzo się boję. Nie powinieneś tak pisać, bo człowiek do pracy stworzony. Na to ci Pan Bóg dał życie, ażebyś pracował. Mędrkujesz tyle a nie wiem dlaczego. Ucz się i patrz, jak i co się robi a nie bądź taki

mądry, bo takim ludziom niedobrze jest na świecie. Słuchaj twojej matki, bo ci dobrze życzy. Ja jestem dzięki Bogu zdrowa. Wczoraj byłam na grobie ojca, wypłakałam się, to mi się ulrzyło. Jadzia przychodzi codzień do mnie. Bardzo ucieszyła się twoim listem, wybiera się odpisać. Antoś przeniósł się do fabryki mebli, bo tam więcej zarabia. Błogosławię cię, mój synu i całuję serdecznie.

W fabryce wybuchł dzisiaj rano strajk na tle ekonomicznem. Robotnicy żądają podwyżki, której przedsiębiorcy odmawiają. Nawiązano rokowania — niestety, zdaje się, nie doprowadzą one do porozumienia. O ile strajk miałby trwać dłużej, wrócę do domu. Co do mnie, stanąłem, rozumie się, po stronie robotników, których wynagrodzenie uważam za stanowczo niewystarczające. Zapatrywanie moje na tę kwestję wypowiedziałem w wielkiej mowie, z powodu której dyrektor czynił mi wymówki. Przyszło między nami do ostrej wymiany słów. O zajściu tem złożę Ci jutro obszerną relację, dziś bowiem jestem zbyt wzburzony, bym mógł pisać spokojnie. List Twój dzisiaj nadszedł. Dzięki Ci za niego. Jeśli jednak wolno mi być szczerym, to muszę Ci oświadczyć, że w niczem mnie ani nie uspokoił, ani nie zadowolnił. Zwłaszcza twierdzenie Twoje, że wystarczy się modlić, by być szczęśliwym, nie trafia mi do przekonania — drażni ono raczej, niż koi. Stwierdzam niestety ze smutkiem, że zapatrywania nasze społeczno-religijne są całkiem rozbieżne. Jeszcze smutniejszą

jednak rzeczą jest to, że chcesz mi swoje przekonania narzucić, przed czem ja będę się zawsze bronił. Lecz dość o tem — nie zatruwajmy sobie wzajemnie życia sprawami, które odmienić się nie dadzą i muszą potoczyć się swoją drogą.

Dusza ludzi wrażliwych to bardzo skombinowany i czuły instrument. Poszum drzew, czy dzwonów dźwięk, słońca złoty krąg, czy wściekły burzy ryk, kwiatów barwa strojna, czy potoku cichy, jednostajny plusk, noc we mgłę spowita czy świt jutrzany, promienny — wszystko odbija się w czułej duszy jak najżywszem echem, tysiące wywołując oddźwięków na różne nastrojonych tony i tysiące budząc myśli, w jakże różną treść ciężarnych. Nader kunsztowna to mozaika o tysiącznych barwach i tysiącznych kształtach, zmiennych i zwiewnych jak ptaka lot. Nastrój za nastrojem, jak fala po fali i myśl za myślą mknie, a wszystkie kapryśne, zmienne, nieuchwytne. Taką jest i moja dusza. Po ojcu ją wziąłem i nie wiem, czy ją przeklinać, czy też błogosławić? Przez długi okres czasu szalałem, miotany melancholją i smutkiem, choć bezpośrednich przyczyn tego stanu duszy nie potrafiłbym wymienić... Dzisiaj znowu opętała mnie na odmianę niczem nieuzasadniona radość, która pierś rozsadza, choć wszystko raczej na to się składa, bym płakał rzewnemi łzami. W rzeczy samej smuci mnie i niepokoi ta zmienność nastrojów, z których niczego dobrego sobie nie wróżę, bo człowiek, który spełnić ma wielkie życiowe zadanie, nie powinien

być niewolnikiem swoich nastrojów. Człowiek taki musi się wyrzec swego własnego „ja" w tym sensie, iż mu o sobie nawet myśleć nie wolno! Taki człowiek musi, niewzruszony, nieprzejednany, iść przed siebie, nie oglądając się na nic i na nikogo, musi drogą wytkniętą zmierzać do celu, choćby mu paść przyszło! Takim był pastor Brand, którego maksymą było: gdy o osiągnięcie wytkniętego celu chodzi, należy poświęcić bezwzględnie wszystko, bo:

„Dies etwas Gute, etwas Schlechte,
Schlägt endlich völlig tot das Rechte".

Pastor Brand poświęcił matkę, dziecko i żonę, by... wkońcu jednak przegrać sprawę, lecz równie dobrze przegrał ją też i Peer Gynt, antyteza pastora Branda. Więc któż ją wygra? Nie w tem leży jednak rzecz, kto ją wygra lub czy ja ją wygram, lecz w tem, czy życie moje było ofiarną służbą dla dobra ogółu, bo życie człowieka ma wówczas tylko wartość, jeśli poświęci je dla wielkiego celu, jakim jest dobro całej ludzkości. Brand osobistą swą sprawę przegrał, lecz wygrał drugą, znacznie większą, jaką jest dobro całej ludzkości, bo życiem swem dowiódł, że godzi się spełnić obowiązek choćby za cenę osobistego szczęścia i że nie wolno kusić się o inne zwycięstwo, jak tylko o czystość duszy i siłę woli.

Daleko odbiegłem od tematu, który stanowić miał treść dzisiejszego listu. Chciałem Ci w nim mianowicie wskazać na tę dziwną zmienność nastrojów, w których dopatruję się poważnego dla siebie niebezpieczeństwa i powołałem się, jako na przykład

godny naśladowania, na pastora Branda. Obawiam się, że wrażliwość mojej duszy, po ojcu moim odziedziczona, może kiedyś stać się przeszkodą w osiągnięciu zamierzonych celów. I nieraz myślę, czy nie jest to szyderstwem zapalić w czyjej duszy jakąś myśl wielką, a równocześnie pozbawić go hartu ducha i mocy woli? czyż może być ponadto większa tragedja? Myśl moja szybuje po wielkich szlakach orła chyżym lotem i z rozkoszą się nurza w planach, mających na celu przynieść ludziom szczęście, wieść ich do światła i prawdy, lecz myśli tej skrzydła? — jakże kruche, słabe! A słabość ta we mnie samym leży, bo czy znajdę dość siły, by myśl pchnąć na tory i nadać jej kształty, zakreślone wolą? czy nie skruszy się w walce wola i nie runie, jak skała wodą podmyta? Czy dusza wrażliwa nie przeciwstawi się woli, nie sparaliżuje czynów, przed którymi się wzdrygnie, a które koniecznymi się okazać mogą? Wszystko to muszę przewidzieć i wszystko rozważyć, choć wiem, że już samo rozważanie nie znamionuje siły, potrzebnej człowiekowi czynu. Wahanie się jest cechą ludzi słabych—u mocnych wszystkiem jest niezłomna wola, a moja wola ugina się i łamie pod naporem uczucia. Cóż z tego, że poświęcę może moje życie, jeśli braknie woli, zdławionej uczuciem? Niniejszy list jest tego charakterystycznym przykładem. Na początku listu notowałem niczem nieuzasadnioną radość, pod koniec zapisuję smutek. Przeklęta, śmieszna uczuciowość!

Strajk trwa w dalszym ciągu w całej pełni, przedsiębiorcy bowiem nie chcą w płacach postąpić. Wzburzenie wśród robotników ogromne. Co dalej będzie? — niewiadomo. Zachodzi obawa poważnych starć, wobec czego skonsygnowano policję i wojsko. Niestety tam, gdzie sercem działać trzeba, działa się przemocą i gwałtem. Biorę w tem wszystkiem, rozumie się, bardzo żywy udział, wskutek czego dyrektor wypowiedział mi miejsce i pozbawił mnie możności praktykowania. Zrazu miałem zamiar wrócić do domu, o ile strajk miałby się przeciągnąć, obecnie zamierzam tu pozostać tak długo, póki nie skończy się zwycięstwem robotników. Kiedy to nastąpi? —trudno przewidzieć.

Dzisiaj wybrałem się za miasto, by nieco odetchnąć po wiecach, na których zabierałem głos. Mogę Cię zapewnić, Matuś, że w mowach moich jestem umiarkowany i że wszystkie moje przemówienia wolne są od głupiej demagogji, rozbudzającej nienawiść. Siać nienawiść w duszach ludzkich jest zbrodnią. Szaleńcy tylko albo wyrzutki społeczeństwa twierdzić mogą, że rozpalanie nienawiści klasowych, zmierzających do gwałtowych przewrotów, jest środkiem ocalenia, a raczej ustalenia nowego porządku rzeczy. Ten gwałtowny przewrót, o którym wielu marzy, a który ja bezwzględnie potępiam, to rabunek, chaos i barbarzyńskie zniszczenie, którego ostatecznym a głęboko tajonym celem jest dojście do władzy elementów, nie posiadających żadnych wartości, ani mo-

ralnych, ani intelektualnych. Taki gwałtowny przewrót jest niczem innem, jak tylko przetasowaniem warstw społecznych, przesunięciem położeń. Zmiana porządku społecznego zasadza się tu tylko na tem, iż przychodzą do głosu szumowiny społeczne, których celem bynajmniej nie jest dobro ogółu, lecz własny brzuch i własna kieszeń. Położenie robotnika i chłopa natomiast w niczem się nie zmienia. Pozostaje on nadal ciemną masą, ślepem narzędziem w ręku nielicznej garstki żądnych władzy przewrotowców,— indywiduów, pozbawionych wszelkiej etyki i uczciwości, wyzutych z wszelkich ludzkich uczuć. O ile robotnik lub chłop odnosi rzeczywiście jakie, zresztą minimalne, korzyści, to dzieje się to mocą takich zbrodni i takiego doszczętnego zniszczenia warstw społecznych, przedstawiających bądź co bądź pewne wartości kulturalne, że zysk i strata nie zostają w żadnym do siebie stosunku. Bankructwo idei przewrotowej leży jak na dłoni, i dlatego zwalczam ją jak najnamiętniej. Ścieki rynsztokowe, męty społeczne, czy wreszcie zapaleńcy, gubiący rzeczywistość z oczu, nigdy niczego nie stworzą i w niczem nie poprawią ciężkiej doli spracowanych rzesz. Do tego celu wiodą zgoła inne drogi. Głoszenie haseł, jak bezwzględna równość wszystkich i wszystkich równy udział w zyskach, jest nonsensem, lecz nie będzie nim wówczas, jeśli pod równością zechcemy rozumieć możność, wszystkim w równej mierze dana, dostatniego zaspokojenia umiarkowanych potrzeb i uregulowania warunków pracy tak, by praca była dla wszystkich nie jarzmem, lecz radością życia, a dalej:

by prawo do zysków miał tylko ten, kto istotnie pracuje. Tak pojmowana równość będzie błogosławieństwem dla ludzkości. Takiej równości nie wywalczy się jednak bezmyślnem zniszczeniem, lecz usilną nad społeczeństwem pracą, rozłożoną na lata. Społeczeństwo trzeba w tym duchu wychować, by każdy pracę ukochał i uczynił ją treścią i źródłem radości swego życia, by każdy, kto odważyłby się żyć z pracy drugiego, podany był u wszystkich w pogardę, a dalej, by sfery posiadające przestały wyzyskiwać drugich i zrozumiały, że zyskiem trzeba wszystkich obdzielić w takiej mierze, by nikt nie cierpiał, mimo swej pracy, głodu i nędzy, i by każdy mógł żyć swobodnie; z drugiej zaś strony trzeba w warstwy dotąd wyzyskiwane wpoić przekonanie, że wymaganiom zakreśla granice skala wydajności pracy i zdolności wytwórczej. „Daj żyć drugiemu" powinno być hasłem, do którego urzeczywistnienia wszyscy winniśmy dążyć.

Jak więc widzisz, rzeczy biorę trzeźwo i spokojnie, do czego jednak dopiero po wielu walkach i zmaganiach się z sobą doszedłem. To ostateczne ustalenie mego punktu widzenia na te wszystkie palące kwestje przyczyniło się znacznie do uspokojenia. Nie targa się już duch mój i nie miota, nie plącze w chaosie tysiąca sprzeczności, z których wreszcie wybrnąwszy, na bity wyszedł gościniec. Widzę naokół siebie dużo zła, lecz też i widzę sposoby zaradzenia temu złu, a to jest już dla mnie wielką pociechą i ulgą... Chodziłoby teraz tylko o to, by myśl wprowadzić w czyn. Zdaję sobie

z tego aż nadto jasno sprawę, że nie jest to bynajmniej rzeczą łatwą, lecz rozumiem to i czuję, że podjąć to wielkie dzieło jest celem mego życia. Temu celowi chcę służyć.

Twoja depesza, Matuś, spadła na mnie dzisiaj jak grom. Żądasz odemnie, bym nie męszał się do strajku i natychmiast wracał do domu, a ja niestety, muszę Ci stanowczo odmówić. Pierwszy raz w życiu sprzeciwiam się Twojej woli, lecz inaczej być nie może. Depesza Twoja postawiła mnie w położenie niesłychanie trudne, bo z jednej strony chciałbym uczynić zadość Twej woli, by Cię nie martwić i posłuszeństwem dowieść Ci mych gorących dla Ciebie uczuć synowskich, a z drugiej strony muszę wytrwać na stanowisku, na które losowi spodobało się mnie wynieść, bo w tej chwili nici całej akcji dzierżę w mem ręku i od mojej decyzji zależy istnienie dziesiątek i dobro setek ludzi. Czyż wolno mi się cofnąć? czy godzi się rzucić te tłumy na pastwę zbrodniczej agitacji — dlatego tylko, że Ty, wiedziona szlachetną i serdeczną troską o mnie, wzywasz mnie do powrotu? O! cofnij, Matko, ten rozkaz, jeśli nie chcesz doprowadzić mnie do rozpaczy, która złamie mnie i sparaliżuje moją zdolność do czynu w tej właśnie chwili, kiedy dobiec ona winna do granic najwyższego napięcia. O! Matuś, nie bądź tak bezwzględną i zrozum moje straszne położenie. Żądaj wszystkiego, lecz nie tego, bym zdradził sprawę robotników, którą powierzyli mi z całem zaufaniem...

Pomyśl, co stać się może, jeśli wzburzone tłumy, przezemnie porzucone, pójdą na lep haseł przewrotowych, jakie nieobliczalne mogą być tego następstwa! Czyż miałabyś serce, droga Matko, obarczać mnie straszną odpowiedzialnością za to, co się pod nieobecność moją stać może? A z drugiej strony, czy mam się wyrzec tej radości, iż za moją przyczyną poprawi się los tylu setek rodzin? Pomyśl, ile radości sprowadzę na tych biednych ludzi, ile błogosławieństwa ściągnę na mą głowę, ile serc sobie zyskam, ile zdobędę wśród tych ludzi zaufania, które koniecznem jest, jeśli chodzi o osiągnięcie zamierzonych przezemnie celów! Czy nie widzisz, jakie stąd olbrzymie otwierają się dla mnie widoki najpomyślniejszego rozwoju poczętego dzieła? I ja miałbym to wszystko teraz rzucić bez bardzo ważnych powodów? miałbym zamknąć sobie raz na zawsze drogę do serc tych ludzi? Nie, Matuś, choć ponad życie Cię kocham i choć ogromnie nad tem boleję, że Ci zgotuję wielkie zmartwienie, jednak tego nie uczynię. Takie rozwiązanie tej przykrej dla mnie kwestji zbyt mnie jednak martwi i niepokoi. bym nie miał Cię jeszcze raz gorąco prosić, abyś cofnęła swoje — darujesz — niczem nieuzasadnione polecenie, a tem samem oszczędziła mi wielkiej męki, Nie wątpię też w to ani chwili, że pozwolisz mi tu pozostać, jeśli rozważysz wszystkie okoliczności, które wyżej Ci przytoczyłem, a które pobyt mój tutaj czynią koniecznym i nieodzownym. Kończąc mój list dzisiejszy, proszę Cię o telegraficzną ostateczną decyzję.

Do tej pory nie otrzymałem od Ciebie, niestety, żadnej wiadomości i stąd niepokój mój przechodzi wszelką miarę. Bodaj to być zwykłym zjadaczem chleba! Ileż odpadłoby trosk, jakiż prosty byłby program dnia? żreć i myśleć o spaniu — spać i śnić o żarciu!.. ale i jaki szary, banalny, płaski! Nie! za nic mi żyć w takiej strasznej pustce, za nic mi pełny brzuch, gdyby duch dusić się miał w okowach! Mnie inne znaczone są drogi, kędy czai się ból i czyha męka, lecz nie lękam się ich, bo w nich rodzi się czyn. A mnie czynu trzeba, bym życiu memu nadał treść i wagę. Wielką męką i wielkim bólem godzi się okupić wielki czyn! Zdobyć serca ludzi i zawładnąć niemi, by wieść je do światła i prawdy, to czyn, dla którego warto poświęcić swoje osobiste szczęście. W tej chwili jestem na tej drodze i nic nie zdoła mnie od niej odwieść — nawet Twój rozkaz, droga Matuś.

Napięcie dosięgło zenitu — jedna iskra, a rozszaleje ogień z niewidzianą siłą. I tego najwięcej się lękam, bo któż jest dość mocny, by opanować rozhukany żywioł? Żyję też wskutek tego w niesłychanem podnieceniu i ciągłym lęku. Wzmożenie napięcia grozi katastrofą, która byłaby nieszczęściem. Dokładam też wszelkich starań, by umysły opanować i uspokoić. Biegam od robotników do pracodawców i z powrotem, i tyle przynajmniej osiągnąłem, że do tej chwili rokowań nie zerwano, a temsamem nie zniszczono jeszcze widoków porozumienia. Czy jednak długo zdołam tak lawirować, nie wiem, bo akcji przeciwdziałają silne prądy podsycane pieniędzmi, po-

chodzącemi z podejrzanych źródeł. Na szczęście polski robotnik, w swej olbrzymiej większości gorący patrjota, rozumie niebezpieczeństwo, kryjące się w tych szatańskich podszeptach i z pogardą odrzuca hasła, których urzeczywistnienie okryłoby hańbą. Robotnik polski, jakimkolwiek on jest, takim czy innym, jest zawsze szlachetnym synem swojej Ojczyzny, w obronie której zawsze pierś nastawi. I z tej jego gorącej miłości Ojczyzny czerpię dla siebie otuchę, że, mimo słusznego rozgoryczenia, nie da się porwać do czynów, leżących w interesie wrogów jego Ojczyzny. Lecz, mimo wszystko, nie wykluczam najgorszych możliwości, których niebezpieczeństwo tkwi w zajadłej nieustępliwości przedsiębiorców. Jednem słowem — sytuację należy uważać za bardzo niebezpieczną. Jeśli zdołam ją opanować, nazwę to cudem...

Zaniepokojony brakiem wiadomości, wysłałem dzisiaj rano telegram, teraz zaś piszę list niniejszy, by wypowiedzieć się przed Tobą, a przez to sprowadzić duszy ukojenie. Łaknie ona pociechy, niesionej tkliwie, jak wędrowiec wody w dzień skwarny. Sam się czuję, więc rozglądam się za kimś, w którego ręce mógłbym duszę moją złożyć i powierzyć ją jego tkliwej trosce. Lecz wszędzie naokół ludzie mi obcy, choć niby mi bliscy. Każdy, sobą zajęty, o sobie pamięta. Ty jedna, moja Matuś, jesteś na świecie, dla której dusza moja jest czemś godnem pamięci i troski. Lecz, niestety, Ty zagniewana zawzięcie milczysz. I czemuż tak surowo mię karzesz?

czemu pomnażasz mą mękę, odwracając się odemnie? czyż niedość cierpię, cierpiąc za tych wszystkich, ojcu memu podobnych, w imię których walczę? czyżbym miał gniew Twój na siebie ściągnąć, że serce moje czułe na ból i ludzką mękę? czy wolałabyś, bym szedł przez życie zapatrzony tylko w egoistyczne cele, obojętny na drugich nędzę, na ich śmiertelne z życiem zapasy? Czy takiego chciałabyś mieć we mnie syna? takiego potrafiłabyś kochać? Cóż wart jest człowiek, który wyłącznie o sobie myśli i czem on się od zwierzęcia różni? Cóż winien jestem temu, że ludzkie łzy sprawiają mi większy ból niż moje własne? O, Matuś! wiem, że i Ty nie masz w sobie ani odrobiny egoizmu, że i Ty masz serce czułe na ludzką niedolę, więc nie potępiaj mnie za to, czem sama grzeszysz, nie potępiaj, że wbrew Twej woli zająłem się serdecznie losem tylu biedaków. Gdybyś Ty widziała ich straszną nędzę, zwłaszcza teraz w czasie strajku, gdzie ojcowie rodzin od tygodnia grosza do domu nie przyniosą i żyć muszą ze skąpych zasiłków, udzielanych im przez organizację, pękłoby Ci serce! Bo i my żyliśmy zawsze w niedostatku, lecz nigdy w takiej skrajnej nędzy. A z drugiej strony — ten przepych, luksus, to wyciśnięcie z życia przy pomocy pieniądza wszelakiej rozkoszy, posuniętej aż do wyrafinowania, przy równoczesnej ohydnej lichwie, jaką stosuje się do robotnika, przy cynicznej obojętności na jego niedolę — to wszystko, mówię — aż budzi podziw dla cierpliwości skazanych na głód i nędzę... Bo pomyśl tylko, ile pięter dziennie przebiega ten, który odcyfro-

wywa licznik zużytego w mieszkaniach prądu elektrycznego, ile taczek ziemi musi wywieźć ten, który kopie fundamenty, ilu niebezpieczeństw cudem uniknie motorniczy tramwajowy, by zarobić na nędzne utrzymanie? Lecz pocóż Ci o tem pisać, skoro sama przeszłaś w życiu tęgie cięgi, lecz nie tak przecież jednak srogie, jak te, które spadły na pewnego niewidomego, mojego dobrego znajomego. Stoi on cały dzień — skwar czy słota, lato czy zima — pod murem i gra na okarinie, by grosz wyżebrać i z głodu nie zginąć. Historja tego nieszczęśliwego człowieka, dla którego dobra, niestety, nic uczynić nie mogę, bo sam żyję w nędzy, jest jedną z tych wielu, jaką ludzie pracy przeżywają, — to tragedja, która gorące łzy bólu wyciska... Człowiek ten był robotnikiem w gazowni, w której pracował przez długie lata. Wskutek nieszczęśliwego wypadku nastąpił w gazowni wybuch, który nieszczęsnego pozbawił oczu — i od tej chwili poczęła się jego tragiczna dola. Zrazu wypłacano mu jakiś skromny zasiłek, lecz później, kiedy z falą wojny miasto przechodziło różne koleje i popadło w długi, zapomniano o nim...

I oto — stoi pod murem i gra na okarinie.

Ileż w tych wygrywanych przez niego melodjach rzewnego, do trzew wstrząsającego łkania, ile straszliwej skargi, ile bolesnego żalu za wykapanemi oczyma, ile tęsknoty za śmiercią!

Pytany przezemnie, czemu nie szuka przytułku w schroniskach, odpowiada, iż prośbę jego zbywają krótkiem: niema miejsca.

I tak, smagany ten człowiek losem, chłostany

szarugą i wichrem, złamany, niby strzaskany maszt okrętu burzą, wlecze się poprzez smutne życie, mając już tylko w piersi pragnienie śmierci.

I cóż Ty na to, Matko? czy zechcesz mi zabronić działać na rzecz tych biedaków? czy mam dopuścić do tej okropnej nędzy, niczem przez nich niezawinionej? Czy byłabyś zdolną przejść obojętnie mimo tego niewidomego? A mnie czy wolno przymknąć oczy na to wszystko, co szarpie mną i na widok czego się wzdrygam? Ach, wszystko we mnie się targa i płacze... Lecz cóż tu choćby najżywsze współczucie pomoże? Tu niedość współczuć, tu trzeba taranem walić w mur oschłej obojętności, rozbić go w puch, a na gruzach jego wznieść pałace szlachetnego miłosierdzia.

Niepokój mój wzrasta, ogarnia mię płomieniem. Każdy mój nerw drga lękiem, że Ty może ciężko zaniemogłaś, skoro milczysz, mimo telegramu i tylu listów. Jeśli jesteś, broń Boże, chora, rzucam wszystko i śpieszę natychmiast do Ciebie; jeśli atoli jesteś zdrowa, a tylko z uporu milczysz zagniewana, to wyrządziłaś mi wielką przykrość. Sprawę mego uchybienia Twojej woli poddałem jeszcze raz najściślejszej kontroli mojego sumienia i stwierdziłem, iż inaczej nie wolno mi było czynić. Zbłąkane dusze sprowadzić na drogi cnoty, rozbudzić w nich instynkty szlachetne i piękne, które spoczywają gdzieś na dnie, niby skarby ukryte, śmieciem przywalone, dźwignąć je spętane, pchnąć na wielkich lotów sze-

rokie szlaki i porwać w sfery piękna i dobra, miłości czystej, bezgranicznego poświęcenia pełnej — to przykazanie każdego człowieka, który nie chce żyć jak bydlę i jak bydlę zdechnąć. Tuczyć się i wieprz potrafi, lecz kochać bliźnich i czynić im dobrze, koić ich cierpienia i łzy ocierać, i dusze chore leczyć, a przez to gotować dla wszystkich lepsze j u t r o, to tylko człowiek potrafi, który piękno ukochał i najwyższe dobro, jakiem jest szczęście drugich... Szydzą dziś ludzie, przyziemne, pełzające gady, z takich jak ja, jak mówią, warjatów, lecz zapominają o tem, że jedyna to chyba droga, na którą ludzkość wejść musi, jeśli zginąć nie chce, zżarta ohydnem plugawstwem dusz swych spodlałych!

Gromadzić wszelkie dobro i skrzętnie w skrzyniach je chować, znosić kamyk po kamyku, budować w duszach ołtarze, wznosić i ognie święte na nich rozpalać, by w żarze czystych dusz spłonęło na popiół wszystko, co niskie i podłe. Gotować ciemne tłumy do tej ciężkiej drogi ofiarnego samozaparcia, poświęcenia i zrezygnowania, zbroić je do tego wielkiego, szlachetnego czynu wyzwolenia dusz — jest rzeczą tych nielicznych, którzy, przejrzawszy, dźwignęli się i rwą się do słońca. Ci niech wiodą tłumy, przewodzą, słowa miłości bliźniego głoszą i życiem swem czystem, ofiarnem przykład niechaj dają. Promieniowaniem czystych swych, od wszelakiego zła wolnych dusz niech porwą ciemne rzesze i zatoczą wkoło nich jasne kręgi powstających zórz. Działać więc i czynić bez wytchnienia, pędzić do lepianek, chat, do pałaców, zamków, suteryn i nor, budzić i wołać,

za sobą rwać, by śpiący, ze snu się zerwawszy, biegli jasny oglądać świt, co z mocą wstanie, jeśli dusze oczyszczą u źródła miłości bliźniego. Tam niech zmyją zaropiałe, zastarzałe rany, niech zrzucą smrodliwe łachmany i nowe, odświętne przyobleką szaty—i zaczną nowe, inne życie...

*
* *

Niepokój Stefana z powodu braku wiadomości od matki rósł z godziny na godzinę. Zbudziło się w nim podejrzenie, które nabrało wszelkich cech zdecydowanej pewności, że matka leży złożona ciężką chorobą. Myśl o jej osamotnieniu, a może nędzy, wżerała mu się w mózg i ścigała z miejsca na miejsce, pozbawiając go spokoju i równowagi, teraz właśnie niezbędnie mu potrzebnej, kiedy zwolna, z trudem, niby ciężkie, z żelaza kute wrzeciądze, rozwierały się widoki porozumienia robotników z pracodawcami. Po nadludzkich wprost wysiłkach udało mu się wreszcie pchnąć sprawę naprzód i powaśnione strony doprowadzić do ugody. Nie czekając już podpisania umowy, pośpieszył co rychlej do matki, która istotnie, zgodnie z jego przeczuciami, poważnie zapadła na zdrowiu. Stan jej był beznadziejny. Z godziny na godzinę opadała coraz więcej z sił.

Zbliżał się szybko kres wędrówki ku nieznanym celom, skradała się chyłkiem ostatnia godzina, w której jednym rzutem myśli wstecz przebiegamy całe nasze życie. Rozpatrując je, przyszła do przekonania, iż żyła niewiadomo poco. Ni stąd ni zowąd przy-

plątały jej się myśli, których sens był, że życie niewarte tych ogromnych trudów i wysiłków, które podejmujemy dla marnych i znikomych celów, że człowiek jest wędrowcem, skazanym na tułaczkę bez jutra, bez celu. Wlecze się, lecz skąd i dokąd, dlaczego, poco?—któż to odgadnie! Spodobało się gdzieś tam komuś czy czemuś, jakiejś dobrej, a może raczej złej sile, rzucić ludzi w bezkresną przepaść czasu i przestrzeni, by wypełnili pewne funkcje, których ani istoty, ani celu nie rozumieją. O coś zabiegają, nienawidzą się, walczą, do czegoś dążą, lecz zapytani, w jakim celu to czynią?—staną z rozwartą gębą, nie wiedząc, co odpowiedzieć. I wszystkie rozumy najgenialniejszych ludzi, razem wzięte, nie są w stanie dociec przeznaczeń ludzkich, ni rozwiązać zagadki.

— Więc co? — myślała — nie znałam ojca ni matki. Podobno byłam sierotą. Któż wie, gdzie ojciec mój, gdzie matka? i poco kazali mi żyć, nie dając mi niczego prócz życia? zasługą to, czy zbrodnią?

Nie wiedziała, czy sami chcieli ją stworzyć, czy ulegli jakiemuś wyższemu nakazowi, idąc za jakimś z góry narzuconym popędem? gdzie jego źródło? jaki cel?

— Pasłam zrazu na wsi gęsi...

Cały snop szczegółów nasunął jej się, cała wiązanka drobnych, nic nieznaczących przeżyć, które wiązały się w lity łańcuch wypadków, zazębiających się o drugi łańcuch, a ten o trzeci... I tak bez

końca — tak wstaje wielkie, ogromne, tajemnicze życie, którego treści, ni celu nikt nie zbada.

— A potem wzięto mnie do miasta, jako młodą dziewczynę do posług...

I nowe snuły się obrazki, nowe życie... a wszystkie takie smutne, takie nędzne, biedne, bez radości, bez słońca, bez jutra...

— Wykonywałam różne prace...

Wszystkie szare, jałowe, z dnia na dzień, na usługach innych...

— Prałam, prasowałam, gotowałam od świtu do nocy za liche wynagrodzenie...

— Wreszcie poznałam Walentego...

I ledwie spojrzeli sobie w oczy, już ich coś skuło i na całe życie. Coś się w nich rozpaliło, rozgorzało, coś tak potężnego, ogromnego, że na nic się bronić.

Miłość to była! Ach! jakież jasne, cudne chwile! Jakimże czarem okryła natura moment poczęcia miłości, która nie naszym, a jej ma służyć celom. W tym czarze, w tem słodkiem upojeniu tkwi zadatek nędzy, na jaką skazujemy przyszłe dziecko. W boskiem napięciu, w tęczowem uskrzydleniu, w anielskiem rozmodleniu dwóch dusz poczyna się... przyszły nędzarz, tułacz, nieświadomy swych celów, skazaniec, w żebraczych szatach wlokący się dokądś, ścigany nieznanego sobie przeznaczenia mocą.

I tak wszyscy wleczemy się dokądś wśród mozołu i trudu, wyblakłe dusze zmęczone, aż nad mogiłą stanąwszy, ujrzymy za sobą... straszną pustkę, tragiczną nicość wszystkiego, cośmy w życiu podjęli,

przed sobą... rozwartą czeluść czegoś nieznanego, co bez śladu nas wchłonie.

— A może się odrodzimy? — myślała. Coś jej tam Stefan plótł o tem kiedyś jakieś baje o świętym, wiecznym ogniu, który gdzieś tam wiekuiście płonie...

— Czy też prawdą to, co kościół naucza?

W głowie jej powstał chaos. Na tysiące dręczących ją pytań nie znalazła żadnej odpowiedzi. Zmęczona, oblana potem opadła na poduszki. Lecz myśli, raz począwszy obłędny swój taniec, przewalały się po duszy niby skłębione chmury po niebios lazurze.

— Przyszedł na świat Stefan... — myślała bez przerwy.

A stało się to mocą ich wspólnych pragnień, tchniętych w duszę siłą nieznaną. Miłość, ten dziwny pęd ku czemuś, co szałem nęci i rozkoszą wabi, musi się wypowiedzieć przez wzajemne posiadanie ciał, czego rezultatem przedłużenie rodu ludzkiego, który komuś czy czemuś służy, czego nie znamy. Rodzimy się, umieramy, bo tak się komuś czy czemuś podoba. Jesteśmy niby panami samych siebie, mającymi możność rozstrzygania o sobie, w gruncie rzeczy jesteśmy pionkami, które posuwa ktoś na wielkiej szachownicy bez naszego w grze tej tajemniczej udziału. I choćbyś się wzdragał i bronił, pójdziesz tam i spełnisz to, co ci ktoś, tobie nieznany, spełnić każe. Człowiek jest jak ten koń, który dęba staje, broni się, opiera lecz jedno śmignięcie batem, jedno uderzenie ostrogą przypomina mu: przeznaczeniem

twojem jest służyć twemu panu. Tak my służymy... ale komu?

Wzdrygnęła się i przeżegnała.

— Grzeszne myśli — pomyślała — Boże miłosierny, przebacz...

Skłoniła głowę, przymknęła oczy, muskane skąpą, świetlaną smugą płonącej na stoliku świecy. Ciało zwolna stygło. Ostry, kłuty ból serca coraz mocniej, coraz dotkliwiej dokuczał i spierał dech, który przechodził w przedśmiertne rzężenie. Pierś coraz ciężej pracowała, łapiąc powietrze z trudem. Ręce i nogi spuchnięte, zimne, sine, znaczyły się śladami śmierci, co u progu, niby zwiastun żałobny, stać się już zdawała, ramiona po pewny łup wyciągając. Jeszcze drgało serce lękliwem, krótkiem, urywanem biciem, jeszcze się myśl jakaś zabłąkała jednem mózgu szarpnięciem...

— Synku mój — jękła, ostatnim wysiłkiem prężąc w próżnię wyschłe ramiona — synku!...

Dźwignęła ciężko głowę, nieprzytomnemi oczyma powlokła po izbie i na poduszki bezwładnie opadła.

Jeszcze jeden krótki urywany jęk, ostatnie drgnienie...

I śmierć cicho podeszła ku łożu, biorąc w swe władanie sztywne, zimne ciało, co legło bez ducha, ziemską wędrówką znękane. Przestało bić serce skołatane, co w trosce żywot swój snuło i duch skończył znojną swoją pracę, jak siejba, co zejdzie z pola wieczorem. Zgasł żywot pracowity człowieka, co, znojnie spełniwszy swoje przeznaczenie, dowlókł się do wrót, wiodących w niepojęty, rozumem niezbadany bezkres.

Cisza zaległa w izbie śmiertelna — świeca jeszcze pryskała, iskry niecąc, co przepadły, jak ciało człowieka, które w toni czasu ginie bez śladu. Majestat śmierci w izbie teraz władał, kędy jeszcze przed chwilą człowiek mienił się być panem. Ta cisza widomym była znakiem, iż rzeczy ziemskie dobiegły tu swego końca, a poczęły się jakieś inne, tajemnicze, wielkie. Odbywało się mysterium wynijścia duszy, unicestwienia ciała, nastawał kres wszelakich trosk, zabiegów, mąk, koniec wysiłków, i trudu, wspólna wszystkim dola i wspólny wszystkim jeden cel.

Nie ominiesz go, choć nałożysz drogi, nie obejdziesz, choć go uniknąć pragniesz, więc pomnij, byś szedł zawsze drogą, która znaczyć się będzie śladem w sercach twoich bliźnich, bo życie twoje tyle jest warte, ile zgon twój szczerych łez wyciśnie, i pomnij, że pamięć po Tobie taką tylko będzie, jakimi były twoje czyny.

*

* *

Stefan przybył o dwie godziny zapóźno. Zastał już zimne, sztywne zwłoki. Kiedy stanął w pokoju, zdało mu się, że chora drzemie. Podszedł ku niej cicho, na palcach i zajrzał jej w szklane, w słup wywrócone oczy. Nachylił się nad nią i dotknął rąk zimnych jak lód. Przerażony przyłożył ucho do zastygłego serca i stwierdził zgon.

— Matuś, matuś! — ryknął nieludzkim głosem, przypadłszy do zwłok—obudź się, ocknij, otwórz kochane oczy, powiedz jedno słowo...

Całował jej sine usta, zastygłe oczy na pół otwarte, kosmyki polepionych siwych włosów, szyję i ręce, tulił się do niej i pieścił, zawodził, płakał i wył. W końcu runął nieprzytomny. Leżał u zmarłej nóg zmiażdżony. Dźwignął się po długiej chwili, by tem potężniejszym wybuchnąć żalem. Szarpał odzież, darł w strzępy, targał włosy, walił głową o mur; to znów wracał do zmarłej, kajał się i o litość żebrał, to przekleństwa miotał, groził i na sąd pozywał Boga. Uspokoiwszy się na chwilę usiadł u wezgłowia i wpił błędny wzrok w zesztywniałe zwłoki, a potem drżącemi dłońmi ujął głowę kochaną i szeptał z tkiwością wśród łez:

— Odeszłaś odemnie... porzuciłaś mnie...

— Matuś moja! kędykolwiek jesteś, gdziekolwiek duch twój przebywa, spojrzyj na mą niedolę...

— Zostawiłaś po sobie pamięć mi najdroższą, kochanie ty moje najmilejsze...

— Cóż bez ciebie pocznę, kędy się obrócę?...

— Opuściłaś królestwo twoje, by spocząć po trudzie...

— O! czas ci był wytchnąć po znojnej pracy, złożyć ze starych bark ciężkie brzemię...

— A ja ci w niczem ulżyć ni pomóc nie mogłem...

— Zgasłaś tak cicho, jak cichem było twoje życie...

— I jakaż ci za twój znój nagroda?

— — — — — — — — — — — —

— Jakie to zeschłe, biedactwo, szczuplutkie ma ramionka, jakże to nędznie zawsze żyło!

— Od świtu do nocy krzątałaś się, pracowałaś, zabiegałaś, najdroższa, ty mi matuś!

Szary świt wdarł się do izby, Stefan wybuchnął ponownym, spazmatycznym płaczem.

— Nie dźwigasz twych kości z łoża? a tu już słonko wstaje! któż u balji stanie? kto grosz zapracuje w trudzie?

— O! matuś! straszny jest ten Bóg, co mi ciebie tak nielitościwie zabrał.

Kręcił się po kątach dawno niewidzianej izby a wszystko tu było mu nieskończenie kochane i drogie.

Siadł pod oknem i płakał rzewnemi łzami. Pogrążył się w serdecznym bólu i nieutulonym żalu. I tak nieszczęsny przesiedział nad zwłokami godzin czterdzieści sam z ukochaną swoją matką, do której jak do najtkliwszej kochanki najczulszemi przemawiał słowy.

Drugiego ranka zjawił się Antoś, który wracał do domu po nocnej pracy. Padli sobie w ramiona i długi czas tkwili w niemym uścisku przerywanym wybuchami płaczu. Antoś szukał odpowiednich słów, by Stefana pocieszyć i nakłonić do opuszczenia izby.

— Chodź, bo tu nic nie pomożesz i niczego nie odmienisz. Matka twoja dość się w życiu namęczyła, daj jej spocząć. Chodź!

Wywlókł go z izby pod ramię, opowiadając mu o szczegółach życia zmarłej pod jego nieobecność.

— Coraz trudniej było jej wstawać i pracować. Z dnia na dzień opadała z sił, aż pewnego dnia padła u balji nieprzytomna. Wezwałem doktora,

który stwierdził silny atak sercowy. Położyliśmy ją do łóżka, z którego już się biedaczka nie podniosła. Robiliśmy, rozumie się, cośmy mogli, by ją ratować, lecz nie było ratunku. Moja matka zachodziła do niej i Jadzia, coś się tam przyniosło, jakąś łyżkę strawy, garnuszek mleka, to bułeczkę z masłem, lecz wiele nie można było, bo wiesz, że i u nas bieda, a matka twoja była bez grosza.

— Tyle w życiu — dodał z goryczą — zdobyła!

Stefan dał się wieść, zdawało się, na wszystko obojętny. Ni jedna łza nie spłynęła już po licu, ni jeden nerw nie zadrgał. Zatknął się w bólu i tkwił w tępem odrętwieniu. Przywiedyiony do domu Antosia usiadł, gdzie mu kazano, jadł co mu podano. Zdał się nie słuchać narzekań matki Antosia na ciężką dolę ludzi pracy, którzy mozołem i trudem całego życia nie zarobią nawet na trumnę. Zamknął się w obojętności na wszystko, co go otaczało. Bo i cóż go teraz obchodził cały świat, skoro spocząć miało w ziemi serce, w które z największą miłością złożył wszystko najlepsze, na co go stać było i było mu światem, na którym skupiły się wszystkie jego myśli i wszystkie uczucia. Z chwilą, kiedy to serce bić przestało, runął świat, zatraciły się myśli, wygasły uczucia. Niczem nieograniczona, ogromna jak czasu odchłań rozwarła się pustka, w którą stoczyć się miał na wieczne zatracenie.

Jakby z bólu skamieniał, siedział obojętny, odrętwiały, tępo zapatrzony w jeden punkt izby. Nic nie słyszał i nic nie rozumiał, co do niego mówiono. A chodziło o to w tej chwili, by o pogrze-

bie pomyśleć i na ten temat toczyła się teraz w rodzinie Antosia ożywiona rozmowa lecz nikt nie zdołał wydobyć z niego słowa, wobec czego uradzono urządzić pogrzeb bez zasięgania jego zdania w tej sprawie. Natknięto się jednak na wielkie trudności, okazało się bowiem, że zmarła nie zostawiła grosza, jak i to było pewnem, że Stefan nie posiadał żadnych funduszów. Szkopuł wyłonił się zatem poważny, o który rozbijały się wszelkie plany. Na szczęście Antosiowi udało się wyżebrać u swego szefa, właściciela fabryki mebli, pozwolenie sporządzenia trumny po cenie kosztów, którą to należytość miał Stefan spłacać ratami, właściciel zaś domu zaofiarował się bezinteresownie przewieźć ciało na cmentarz. Siostry Antosia uwiły wianek z zieleni, zdobny w czarno - białą morową szarfę. Zwłoki ubrano w jedyną, cały dobytek stanowiącą, odświętną szatę. którą zmarła za życia zawsze ubierała do kościoła. O oznaczonej godzinie ruszył kondukt, na czele którego szedł młodszy brat Antosia, niosąc w ręku świeżo ociosany krzyż. Za trumną, złożoną na pomoście, urządzonym z desek, pokładzionych na półkoszkach wozu, szedł Stefan wiedziony przez Antosia pod ramię. Szedł blady, wynędzniały z głową na piersi zwieszoną, z wzrokiem wbitym w ziemię. U wejścia na cmentarz zaskrzypiała przeraźliwie zardzewiała sygnaturka, piskliwym klekotem witając zwłoki. Ksiądz pokropiwszy trumnę, szybko ruszył ku świeżo wykopanej mogile. Z pośpiechem odmówił modlitwy, poczem grabarze spuścili w dół trumnę i z głuchym hukiem poczęli sypać pierwsze grudki.

Przez cały ciąg obrzędu Stefan nie uronił, ani jednej łzy, chwiał się tylko na nogach i słaniał aż kiedy ksiądz ostatnie wyrzekł słowa: „wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie", runął jak martwy, ramionami ogarniając świeżą mogiłę i mocno do niej przywarł, jakby chciał wkopać się i wgryźć w ziemię i dotrzeć do zwłok, by jeszcze raz ujrzeć i ucałować te drogie oczy, wiecznym snem ogarnięte. Jęk szedł z jego piersi wstrząsający, potężny. Z trudem oderwano go od mogiły i zaprowadzono do domu Antosia.

I poczęły się teraz dlań dni niczem nieukojonej, straszliwej męki, która groziła doszczętnem zniszczeniem, nieuchronną zagładą. Cios, wymierzony okrutną dłonią nieuniknionych przeznaczeń, złamał go i zwalił niby pień, wyrwę czyniąc w jego życiu niczem niezapełnioną. Za jednym razem wypaliło się w nim wszystko do cna. Leżał bez znaku życia jak kłoda, pozbawiony zmysłów, czucia i woli.

— I czegóż leżysz tak bezczynnie?—gromił go Antoś pewnego dnia. —Roztkliwiasz się jak baba i pieścisz się twym smutkiem. Toć wiadomą jest rzeczą, że każdy musi umrzeć, co tu długo nad tem myśleć! Śmierć kogoś drogiego — pewnie — rzecz bolesna i smutna, wiem o tem, bo straciłem ojca, lecz od czegóż rozum, który mówi, że wieki żyć nikt nie może. Ot zamiast się mazgaić, zabierz się do pracy, a zapomnisz o tem, co boli. No, wstawaj i pomyśl o sobie.

Widząc, iż słowa jego nie odnoszą żadnego skutku, wziął czapkę i zmierzał ku wyjściu.

— Myślałem — mówił od drzwi — żeś człek rozumny, a tymczasem widzę, że te książki, nad któremi ślęczałeś, nie przyniosły pożytku. Nie ty jeden, mój kochany, opłakujesz śmierć swoich. Dziś w nocy zabiło Silnika, zostawił ośmioro dzieci, sam drobiazg. Masz o czem myśleć, kim się zająć. Zawsze mówisz, — szydził — że dla drugich tylko żyć trzeba, więc masz okazję dowieść tego, co mówisz, inaczej powiem, żeś blagier.

Stefan leżał niewzruszony nieruchomo w milczeniu. Lecz pozornie nie obchodziła go wieść o śmierci Silnika, ojca ośmiorga niezaopatrzonych dzieci, w gruncie rzeczy wstrząsnęła nim do głębi. Była tą miną, która rozsadziła zwały bezgranicznej apatji i zapaliła w nim chęć niesienia biednym dzieciom pomocy. Myśli o ich strasznej doli poczęły w nim krążyć, ozwało się współczujące serce i do życia się rwało. Budziła się w nim zdruzgotana energja, wstawała niby wiosna, co zimy pęta zrzuca i szaty przywdziewa dostojne. Rosła ochota do życia, zwolna dźwigała się niby łan zboża, po którym przewaliła się burza.

— Ośmioro dzieci — począł dumać — sam drobiazg...

Ta myśl worała mu się w duszę tak głęboko, że już żadną miarą nie mógł jej się pozbyć. Jeszcze pozornie nią się bliżej nie zajął, lecz wiedział, że kiełkuje w duszyi że czyn z niej wystrzeli niby z ziarna kłos.

— Bo i jakże bezczynnie leżeć, skoro tam taka nędza? — myślał.

— Antoś ma słuszność...

Już rozsnuły się po duszy myśli niby pajęcze sieci i wraz ją omotały. Już się od nich ani uwolnić, ani im się wyrwać. Już się poczęło w tej duszy znękanej coś dziać, coś poruszać, coś nią władać, coś ku czynom pchać.

Wstał i rozglądnął się po izbie. Wszędzie, gdziekolwiek jego wzrok spoczął, natknął się na drogie mu pamiątki. W kącie stała balja o ścianę oparta. Stał nad nią długo i dumał, słaniając się i szepcąc przez bólem przesycone łzy:

— Biedne matczysko! ile się to napracowało, namęczyło...

Na kołkach wisiały dwie liche, zniszczone spódnice, wełniany kaftanik, wypłowiała, stara chustka w szeroką kratę.

— Oto cały twój dobytek — wybuchnął — cały twój dorobek!

— Matuś, matuś! — zawodził i stare łachmany do ust serdecznie przyciskał i tulił się do nich i pieścił.

— Serdeczne pamiątki moje!

Jeszcze książkę do modlenia znalazł i inne drobiazgi, a wśród nich swoje listy, starannie owinięte w biały papier, szureczkiem związane.

Tu już nie mógł utulić się z żalu, spazmatycznym porwany płaczem. Wszystko to wśród łez i niewymownego bólu w jeden zwitek z pietyzmem złożył i schował do szuflady.

Wyszedł na miasto, by zajść do dzieci Silnika, lecz wyczerpany musiał wrócić do domu, myśl jednak odwiedzenia ich i zainteresowania się ich losem

była pomyślnym zadatkiem dalszych czynów, które miały niebawem nastąpić. Pękły lody całkowitego zobojętnienia i bezbrzeżnej apatji, rozprysły szczeliny w twardej skorupie zupełnego odrętwienia, uchyliły się ciężkie, żałobne kiry, poprzez które chyłkiem przedzierało się słońce. Nie ożyła jeszcze dusza w smutku pogrążona i nie zrzuciła szarpiacych pęt bólu, lecz zamiar zajęcia się losem dzieci był symptomem szczęśliwego przebycia kryzysu, był pierwszem tchnieniem wiosny, co duszę miała rozbudzić, był pierwszym płomykiem słońca, co krzesać miał życie.

A jedna myśl pociągnęła drugą i trzecią. Zaroiło się w duszy niby w ulu. Rozgwar mysli i chaos jakby gości nieoczekiwanych zjechała gromada. Budził się świat niby taki mały a przecież ogromny, bo dusza nasza. choć nam niby znana i choć pozornie ciasny, zamknięty stanowi światek, jest nam obca, tajemnicza, jest bezkresnem przestworzem, z którego tysiące wyłania się myśli, o tak obcem obliczu, iż gotowi jesteśmy przez chwilę uważać je za obce, cudze.

W nawale myśli, które duszę jego nawiedzały, poznawał jedne jako dawne, stare znajome — inne jako nowe, obce. Niby widz obojętny przyglądał się tym ostatnim zdziwiony. Zdało mu się, iż coś się dzieje nie w nim, lecz poza nim. A wszystko to gdzieś mknęło, pędziło, gdzieś przepadało, by mijsca drugim ustąpić.

Jak aktorzy na scenie, z którymi widz śmieje się i płacze.

Porwany w wir myśli, powziął wkońcu stanowczy zamiar zaopiekowania się dziećmi.

— Tak! temi sierotami — myslał — muszę się zająć. Ośmioro...

Nie wiedział tylko, od czego zacząć, jak się do rzeczy zabrać.

— Przedewszystkiem, rozumie się, trzeba będzie pieniędzy na zakup choćby najskromniejszych środków żywności. Pewnie to głodne...

Tu sam poczuł straszny głód, bo od ośmiu dni nic prawie nie miał w ustach.

. — Bodaj jeden kęs chleba!

Przeszukał szufladę, lecz ni kruszyny nie znalazł. Przetrząsnął pilnie swoją garderobę w poszukiwaniu za groszem lecz stwierdził to, o czem aż nadto dobrze wiedział, że grosza nie posiada, ostatnie bowiem pieniądze wydał na drogę powrotną do domu.

— Cóż więc począć?—myślał. Usiadł na krześle pod oknem i pogrążył się w zadumie.

— Czy co sprzedać? lecz co?

Wzrok jego padł na kołki, na których wisiały dwie matczyne spódnice, kaftanik i chustka.

— To święte!—mruknął i prędko myśl od nich odwrócił, by nie skalać pamięci zmarłej. Począł szukać między kolegami i znajomymi. Ci pierwsi nie wrócili jeszcze z feryj, była to bowiem dopiero połowa sierpnia, z pośród tych drugich nasunął mu się tylko Antoś, do którego nie miał jednak serca zwrócić się o pożyczkę, znając jego ciężkie położenie. Zaciągnął zresztą już wobec niego, jak na swoje

stosunki, dosyć znaczne zobowiązania, Antoś bowiem wyłożył coś niecoś na chorobę i pogrzeb matki. Wprawdzie nie obliczył się z nim dotąd, wiedział jednak, iż sumka w jego warunkach była dość pokaźna. Nie pozostawało tedy nic innego, jak sprzedać stół i balję. Ciężko mu było oswoić się z tą myślą, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, iż niema innego wyjścia, jeśli nie chce zginąć z głodu. Za część uzyskanych skromnych funduszów zakupił środki żywności i powlókł się ciężko do dzieci Silnika. Tu zastał matkę Antosia, która, choć sama biedna, ofiarnie niosła sierotom w dani, co mogła.

— Pani tu?

— A no trzeba dzieciskami się zająć — któż koło nich co zrobi? pomyłam to, nakarmiłam, czem mogłam, a pan Stefciu chleb przyniósł? przyda się, dopchają, bo cóż ja tam wiele nie mogłam...

Rozkrajała szybko bochen chleba i migiem między dzieci rozdzieliła po sporej kromce, skąpo okraszonej masłem.

— Najgorsze to, że to taki drobiazg — najstarsza — dwanaście latek, matka je przed rokiem odumarła, a teraz ojciec... nędza zawsze biedę goniła, bo gdzież to co rok — prorok... No, ja już uciekam do swoich, bo jeszcze co zmalują.

— Więc któż się temi dziećmi zaopiekuje? — rzekł do głębi wzruszony Stefan.

— Ha! chyba sam Pan Bóg! ja tam czasem zaglądnę, ale na krótko, bo w domu dość roboty...

To rzekłszy, szybko bez pożegnania wybiegła. Pozostał sam z gromadą dzieci, z których najmłodsze

pisklę niespełna rok miało — wszystko wynędzniałe, blade, obdarte. Na przezroczystych, zapadłych twarzyczkach zdołała już nędza wycisnąć swe piętno. Za grosz w tem życia, za grosz dziecięcej radości! Od urodzenia skazane na niedolę, na zagładę. Bez ojca, bez matki, zepchnięte na samo dno nędzy, pozbawione opieki, ciepła domowego ogniska, niemal na bruk już w zaraniu wyrzucone — i cóż to z tego wyrość mogło?

— Staną się łupem zbrodni i nierządu! — pomyślał i wzdrygnął się, tknięty najżywszem współczuciem i najokropniejszym lękiem.

— Oto piękne społeczeństwo! — dumał—ma na zbytki i głupstwa, udaje szelma bigota, a dusze pcha w przepaść; na wszystko ma oczy otwarte, lecz na nędzę je przymyka i lęka się sięgnąć do jądra tej palącej kwestji i ująć ją mocno, serdecznie, zdrowo. Na nędzę, początek i zarodek wszelakiego zła, nie lubi patrzeć; zetknąwszy się z nią przypadkowo, zbywa ją groszowym datkiem, albo wysili się wspaniałomyślnie na ochronkę lub dom podrzutków i sądzi się już być zabezpieczonem przed surowym sądem własnego sumienia! Pozorom stanie się zadość, bo i cóżby to było za cywilizowane społeczeństwo, nie posiadające takich humanitarnych instytucyj jak ochronka lub dom podrzutków?! Lecz niemniej przecież nędza szerzy dalej swe dzieło zniszczenia, pochłaniając coraz nowe ofiary, które w uregulowanych stosunkach społecznych byłyby najtęższymi pracownikami. Ileż w ten sposób marnuje się sił, ileż podcina się istnień!

Zadumał się i zapomniał o dzieciach, z których jedne kwiliły, drugie po kątach drzemały, inne bawiły się bałwanami z łachmanów. Zosia tylko kręciła się tu i tam po izbie, czyniąc porządki, objęła bowiem, jako najstarsza rządy, w osieroconym domu.

— Jakże się zowiesz, mała? — spytał wreszcie, ocknąwszy się z zadumy.

— Zosia.

— A ileż ty masz lat?

— Nie wiem, ale tatuś mówił, że mi na dwunasty już idzie.

— Dwunasty? ho! ho! toś ty duża już panna— niezdarnie próbował żartować—a do szkoły chodzisz?

— Tak tam, jak tam — nie było czasu, bo jak mamusia umarła..

— Dawno?

— Będzie więcej niż pół roku.

— Pół roku...

— A tak! leżała, leżała aż kipnęła...

Łzy zakręciły jej się w oczach i stoczyły się cicho po licu.

— To ty się siostrzyczkami i braciszkami zajmujesz?

— A ja! a któżby? trzeba umyć małe, dziury połatać. w izbie posprzątać...

— To dobrze, moje dziecko—odrzekł przygnębiony—teraz musisz jeszcze więcej pracować.

— Dobrze.

— Ja tu z wami zostanę, to ci pomogę. Pozamiataj teraz izbę, a potem zabierzemy się do roboty.

Mówiąc to, urwał spory kęs chleba i żarłocznie go szarpał, pogrążony w zadumie.

— Teraz mam jeszcze odrobinę grosza — myślał — na jeden dzień może starczy, lecz co będzie jutro? w najlepszym razie dwa dni, a co potem? Znajdę pracę — pocieszał się — będę choćby worki nosił, byle grosz dla tej dziatwy zdobyć.

— W każdym razie muszę — zadecydował — najpierw rozmówić się z fabrykantem, u którego zmarły pracował; jego obowiązkiem jest przyjść dzieciom z pomocą, potem oglądnę się za jaką robotą.

dwie to były ważkie decyzje, do których w tej chwili dołączyła się trzecia: postanowił z dziećmi zamieszkać i o ile możności nie wypuszczać ich z pod swej opieki.

W ten sposób wyszedł z ciasnego koła osobistego bólu, poszarpał zdradzieckie więzy zapamiętania, wyrwał się z grożącego zgubą odrętwienia i ruszył ku celowi, który nagle wyłonił się jasny, wielki, jak słońca kręgi.

Zaspokoiwszy głód, zabrał się do oporządzenia dzieci. Pomył je, uczesał przy pomocy Zośki, małe mlekiem z flaszki nakarmił, poczem wydawszy te i tamte zlecenia, wyszedł, by udać się do fabrykanta. Lecz tu ciężką miał przeprawę, fabrykant bowiem odmówił wręcz wszelkiej pomocy.

— Za pracę jego płaciłem mu — uniósł się gwałtownie — więc czego wiecej ma prawo kto odemnie żądać? — Dzieci? bardzo dobrze! ja mam także dzieci, których nie będę okradał.

Stefan burzył się w sobie i żuł w ustach ślinę,

by mu w twarz nie splunąć, lecz opanował się i słuchał wywodów cierpliwie, rozumiejąc, że gniewem u tego chama w dobrze skrojonym żakiecie niczego nie osiągnie. Stłumił więc gniew i wybrał łatwiej wiodącą do celu drogę. Próbował ująć go sobie uprzejmością i pochlebstwem. usiłował obudzić w nim serce, które gdzieś tam zapewne pod niezgłębioną masą tłuszczu drzemało.

— Prawa nikt istotnie nie ma czegokolwiek od pana żądać...

— No... więc! — huknął gruby pan.

— I wszystkim wiadomą to rzeczą, że firma pańska jest, jeśli chodzi o zapłatę, nader punktualna. Lecz też jest i z tego znaną, iż do pracowników swoich odnosi się z całą życzliwością i czyni dla nich wszystko, co leży w jej mocy.

Gruby pan siedział nieporuszony, pochlebstwo jednak dobrą widocznie było wędką, bo od tej chwili raczył uważniej słuchać i przestał patrzeć na obdartego natręta przez ramię.

— Tą właśnie dobrą sławą imienia pańskiego zwabiony, przyszedłem nie żądać, lecz prosić, bo wiem że żądać nie mam prawa.

— Właśnie!

— Niemniej przeto pozwoli szanowny pan przedstawić sobie straszne położenie tych dzieci. Pozostały one bez opieki i bez środków do życia. Litość budzi ich nędzny wygląd i lęk śmiertelny ściska serce na myśl, co się z nimi stanie, jeśli pan odmówi pomocy.

— Pan pięknie umie mówić, łaskawy panie, — drwił gruby pan — lecz mnie pan nie przekona.

— Skromny, miesięczny zasiłek — jęknął Stefan.

— Nie zawracaj pan głowy...

— Niech pan pomyśli, pańskie dzieci żyją w dostatku, syte i odziane... otoczone zbytkiem...

— Dzieci moje niech pana nic nie obchodzą... Żegnam.

— Więc? — zebrał się w sobie wzburzony i wyprostował się groźny, na wszystko gotowy.

Spojrzał mu gruby pan w oczy i snać dojrzał tam coś na ich dnie, bo zaraz uderzył w ton łagodniejszy.

— Gdybym chciał wszystkie sieroty po moich robotnikach opatrzeć, chodziłbym sam bez portek.

— Jeszczeby starczyło — odciął Stefan.

— Wy, socjaliści, wybyście chcieli tylko pieniędzy...

— Czy ten, kto żyć pragnie, jest socjalistą? tu o dzieci chodzi, nie o mnie...

— Wszystko jedno!.. pal djabli wreszcie — ile jest tych dzieci?

— Ośmioro.

— Po dwa złote miesięcznie na głowę — syknął — wypłata co pierwszego.

— Tak, ale te dzieci w tej chwili...

— Skończyłem — przeciął dalszą dyskusję ostro i zabrał się do przeglądania papierów.

Stefan, uniesiony niepohamowanym gniewem, gotował się już do skoku i prężył, by ucapić gbura za

tłusty, sfałdowany kark i rżnąć jego wielkim łbem o ścianę, lecz w ostatniej chwili zmitygował się i ostygł. Dał za wygraną i wyszedł bez słowa. Wlókł się wśród zabudowań fabrycznych zwolna, ociężale, napróżno szukając sposobu zdobycia jakich takich funduszów.

— Wypłata co pierwszego...—myślał z goryczą — a do pierwszego jeszcze całych dni dwadzieścia. Z czego te dzieci wyżywię, skąd wziąć? copocząć?

Oparł się znękany o kamienny słup, sterczący u bramy i patrzył przed siebie bezmyślnie, nędzarz stroskany o dzieci dolę.

Głód doskwierał mu do żywego i szarpał wnętrznościami, zimny pot sperlił czoło, oczy ogarniała coraz gęstsza mgła, w której wszystko naokół zdawało się tonąć i ginąć.

— Żeby choć szklankę ciepłej herbaty?—przemknęła mu myśl.

Czuł, że za chwilę padnie. Sięgnął do kieszeni i przeliczył pieniądze.

— Dziewięćdziesiąt osiem groszz — z tego niewolno mi niczego ruszyć, z biedą starczy na dwa dni dla dzieci...

Nogi odmawiały mu coraz bardziej posłuszeństwa, uginały się raz po raz, w oczach coraz więcej mroczno, ciało ogarniała wzmagająca się niemoc i odrętwienie.

Co się z nim stanie?—było mu obojętne, bo do życia, które nie wydaje wartości trwałych, nie przywiązywał żadnej wagi, lecz chodziło mu o niezabezpieczony los dzieci.

— Ja zdechnę jak pies — dobrze! lecz co się z dziećmi stanie?

Nie mógł już dalej iść, więc by nie runąć na chodnik, wszedł do bramy jakiejś kamienicy, oparł się o ścianę i począł się obsuwać zwolna ku ziemi. Przycupnął, plecyma przywarłszy do ściany.

Tu przyjdzie mi zamrzeć — mignęła ostatnia myśl.

Snuły mu się przed oczyma jakieś koszmary i wizje, majaczyły jakieś urywane myśli, niby błędne ogniki na dalekim horyzoncie...

Wreszcie zwalił się nieprzytomny na ziemię i zasnął.

Biedny rozbitek, niesiony wrogą falą okrutnego ląsu, legł strzaskany, jak pień rażony gromem. Krwawy nurt życia porwał go w odmęty i rzucił w niezgłębioną toń, na samo dno nędzy.

Czy miał się kiedy jeszcze dźwignąć?

Lecz krótko miał się krzepić snem błogosławionym, bo wnet koło niego powstało liczne zbiegowisko gapiów, zwabionych krzykiem dozorcy, który brutalnie go zbudził, uważając go za domokrążcę lub złoczyńcę.

— Dalej. ptaszku, wstawaj! pijanego, szelmo, udajesz. żeby lepiej wypatrzeć, co gdzie zwędzić można. Czekaj, ja cię odzwyczaję od tych złodziejskich sztuczek!

Wstrząsał nim i szarpał, poczem chwycił go za kołnierz i bez oporu wyrzucił go za bramę.

Dźwignął znużone powieki i powiódł błędnym wzrokiem po twarzach gapiów, lecz zupełnie się nie

orjentował, co się z nim dzieje. Jak przez mgłę lub sen widział nad sobą pochylone jakieś obce twarze, słyszał jakieś głosy, nawoływania, aż wszystko wreszcie ucichło, znikło i zatraciło się w niepamięci, która wraz z nieprzytomnością, siostrzycą łaski zapomnienia pełną, wtórnie go naszła. Mrok zasnuł oczy, zastygły, obumarły wszystkie zmysły, zdrętwiało ciało.

Drugiego dopiero dnia nad ranem odzyskał przytomność. Otworzywszy oczy, znalazł się ku swemu zdumieniu na łóżku Antosia i żadną miarą nie umiał zdać sobie sprawy, skąd się tu wziął. Przypomniał sobie jakąś kamienicę, jakiegoś dozorcę, gromadę ludzi, lecz wszystko to było jakimś niewyraźnym, mętnym, zatartym w pamięci obrazem, który przesunął się gdzieś, kiedyś, jak dawno zapomniany, nic nieznaczący epizod życia. Usiadł na łóżku, rozglądał się po izbie, pogrążonej w ciemnościach i dotykał przedmiotów, jakby sam sobie nie wierzył, iż mógł się tu znaleźć jakimś dziwnym, niewytłumaczonym sposobem.

— Antoś! — krzyknął — by się ostatecznie przekonać, czy się nie myli.

— Czego? — odmruknął Antoś nawpół sennie — śpij, jeszcze bardzo wcześnie.

— Powiedz mi, mój kochany...

— Powiem ci później — bąknął i wkrótce zapadł w sen kamienny. Wszyscy naokół spali, krzepiąc się snem po znojnej pracy dnia poprzedniego. Równe, spokojne oddechy przerywały ciszę. Jasny świt coraz śmielej zaglądał w okna, zwycięsko zwalczając zwolna ustępujący mrok, z którego wyłaniała

się coraz wyraźniej obszerna izba, zastawiona ubogimi sprzętami, zarzucona siennikami, na których spały szczęśliwe dzieci, nieświadome smutnych przeznaczeń człowieka.

Stefan mimo usiłowań nie mógł już zasnąć. Z otwartemi oczyma leżał na łóżku i dumał, dręczony głodem i troską o dzieci. Nie mniej myślał i o swym własnym losie, który, jak na razie, najsmutniejsze przedstawiał widoki.

Znikąd nadziei, znikąd pomocy!

I wszerz i wzdłuż świat przeszedłszy, nie znalazłby jej może, bo oschłe są serca ludzkie, zapamiętałe w swej własnej nędzy i bólu. Kędy rzucić okiem, smutek wszędy gości, zawód i rozczarowanie serca wszędy w niepodzielne wzięły władanie.

Losy Stefana zdały się dopełniać, bo w gęstwię wpadł zdarzeń i faktow, z których nijak mu wybrnąć ani się wymotać. Na którąkolwiek wszedł ścieżkę, by drogi szukać, zaszedł nad zgubę wróżącą przepaść; z którejkolwiek przyglądał się strony swemu położeniu, wszędzie natknął się na zwarty mur niezwalczonych przeciwności. Choćby walił weń łbem, niczego nie dokona, bo tak się czasem w życiu człowieka wszystko przeciwko niemu złowrogo sprzymierzy, że albo podłość popełnić, albo życia się zbawić. Szarpiesz się i miotasz, próbujesz, idziesz naprzód, to się cofasz, by wreszcie przekląć dolę i rzucić ją na pastwę kapryśnego losu.

Lecz Stefan nie należał do tych, którzy łatwo daliby się pokonać i złamać; on był jednym z tych nielicznych, którzy do ostatniej chwili trwają na

swem stanowisku. Poddać się uważał za tchórzost[...], przerwać walkę za słabość.

Mozolił się nad wyszukaniem sposobów oszukania i podejścia losu, by, wyrwawszy się drapieżnym jego szponom, skupić nadwątlone siły i uderzyć weń całą mocą. Pragnął wytrwać do ostatniej chwili, a gdyby mu już paść przyszło, pragnął paść po dobyciu z siebie ostatniej siły i za najwyższą cenę.

Więc bronił się i skupił myśl. Chciał szukać przedewszystkiem pracy. Ta praca miała mu być walnym środkiem obronnym, miała mu stworzyć punkt zaczepienia i wyjścia do zwycięskiej walki, być podstawą do operacji, którą miał podjąć przeciw śmiertelnemu wrogowi. Lecz o tę pracę było w tej chwili niestety trudniej, niż kiedykolwiekindziej, bo w przemyśle srożył się zastój i pozbawiał zarobku tysiące ludzi, którzy ginęli z takiej, jak on nędzy. Fabryki albo całkiem stanęły, albo ograniczyły swą pracę do minimum. Tu więc nie było dla niego nadziei uzyskania pracy, tem więcej, że nadwątlone zdrowie i nadszarpnięte siły nie potrafiłyby sprostać ciężkim wymaganiom fizycznej pracy, którą mógłby dopiero wówczas podjąć, gdyby odzyskał utracone siły, co pociągnęłoby zbyt długą zwłokę, grożącą klęską głodową jemu i dzieciom.

Zarzucił więc myśl szukania pracy w fabrykach, a postanowił zwrócić się do biur i kantorów. Lecz i tu natrafił na trudności, o które rozbiły się plany, wszystkie bowiem biura, kantory i banki redukowały swój personel niemal do połowy.

— Cóż tedy? — myślał, ogarnięty coraz więcej wzmagającym się lękiem.

Począł w myśli szukać kogoś czy czegoś, o co mógłby się choć na kilka dni zaczepić, by bez troski o jutro o dalszych losach spokojnie pomyśleć. Lecz każda myśl trafiała w ponurą bezdeń absolutnej beznadziejności.

A przychodziły mu różne myśli do głowy: wyjazd do fabryki, w której praktykował, zgłoszenie się do tamtejszych robotników, jego przyjaciół, do dyrektora, do kuzynki wreszcie, pięknej Steni... lecz wszystkie te pomysły zarzucił, jako albo bezowocne, albo siebie niezgodne.

— Niema więc wyjścia! — pomyślał targany rozpaczą — tędy czy owędy, do niczego nie dojdę i z głodu zginę. Może i lepiej?

— Zdechnę, lecz skończę przynajmniej z tą hołotą — zniknie mi na zawsze z przed oczu to najwspanialsze bydlę, jakiem jest człowiek, ten dumny władca świata, podły niewolnik swych zwierzęcych instynktów.

Lecz z tłumu, który oplwał wzgardą, wychyliły się dobrze znane mu twarze ludzi, z których jednych kochał, drugich darzył przyjaźnią, którym życie upłynęło na znojnej pracy i szlachetnem poświęceniu.

— Oto... matka... ojciec — myślał — są żywem zaprzeczeniem... są i inni dobrzy, poczciwi i zacni. Jest ich wielu, bardzo wielu...

— Więc nie wszyscy są łotrami! — uradował się z odkrycia i z jednej ostateczności przerzucił się zaraz w drugą, która stanowiła właściwą treść jego

duszy, a której wypierał się tylko w chwilach gniewu i uniesienia. W istocie kochał ludzi i litował się nad ich dolą.

— Wszyscy ludzie — myślał — są biedni i nieszczęśliwi i nie potępiać ich a współczuć z nimi się godzi. Jeśli źle czynią i dopuszczają się win, przebaczyć im trzeba i cnoty wskazywać im drogi. Każdy broni się, jak umie i każdy chce się przebić zwycięsko przez życie, lecz nikt nie posługuje się właściwemi środkami, wiodącymi do celu. Wszyscy ludzie, niestety, z natury ułomni i słabi idą po linii najmniejszego oporu i wybierają fałszywe środki, jak egoizm, żądza pieniędzy, podstęp i fałsz, łudząc się, iż one zawiodą do celu—i dlatego sami przegrywają życie i drugim gotują klęskę. Wszyscy żądni łatwej wygranej, wybierają to, co najłatwiejsze, omijając to, co najtrudniejsze, lecz właśnie najpewniej wiodące do celu, t. j. cnota.

— A cnota — snuł dalej swe myśli — to umiejętność poskramiania pragnień i opanowania ambicyj. Im pragnienia i ambicje mniejsze, tem pewniejsza wygrana, tem większe widoki zdobycia szczęścia, dla którego szukają ludzie podstaw we wszystkiem, tylko nie w cnocie. A cnota właśnie jest najprostszą i najkrótszą drogą. Kto z tej drogi zboczy, przegrał życie; nie uratuje go ani pieniądz, ani sława, ani żadne inne wartości, o które się ubiegają, a które w istocie nie są wartościami. Porzuciwszy drogę cnoty, oddalają się od szczęścia, o którem potem napróżno całe życie marzą, bo szczęście wzgardzone odchodzi i nigdy już nie wraca. Zawód wówczas

wlecze się jak cień za ludźmi i smutek po duszy się ściele, niby mgła po łące, co chmurą jasne przesłoni słońce. Rozczarowanie, żal i nędza moralna wiodą się pod ramię, w nierozerwalnych więżąc duszę pętach, w żelaznych okowach.

I nie wybronisz się już nijak i więzów nie zerwiesz i nie zwalczysz już wroga, który cię wyzuł z najwyższego dobra, jakiem jest spokój sumienia, co szczęście zapewnia. I złudą, którą sobie stworzysz, nie zapchasz wyłomu i nie oszukasz sumienia, które ścigać cię będzie po grobową deskę. I nędza wszędy twoim śladem pójdzie, choćbyś ją workiem chciał przekupić złota i choćbyś ją wciągnąć pragnął w nastawioną przez cię pułapkę rozpusty... I niczem nie zabijesz rozdzierającego krzyku za szczęściem, co duszą twą aż po zgon twój wstrząsa. I jeśli nie chcesz udusić się w tej moralnej nędzy, w której podle żyjesz, to zrozum tę prawdę, że nadmierne pragnienia, niczem nie poparte, wiodą na bezdroża i gotują klęskę. O tej prawdzie, która jedynym jest dla ludzkości w tej chwili ratunkiem, trzeba ludzi pouczać, bo zmarnieją i zginą.

Pod wpływem tych rozmyślań stajała w nim wszelka do ludzi niechęć, której dawał jeszcze tak żywy wyraz w listach, pisanych do matki.

— Nie! — myślał — ludzi trzeba kochać i zło im przebaczać, bo ciemni są, biedni czy bogaci, tak! ciemni są i nie wiedzą, co czynią.

Apostołować pragnął i głosić prawdę, chciał być dusz mistrzem, nowego życia rzeźbiarzem i twórcą. Choć zdawał sobie z tego sprawę, że zamiar

przerasta jego siły, lecz mimo wszystko uznał, iż to jest tylko celem jego życia. I choć sam był w tej chwili nędzarzem, pozbawionym kęsa chleba, jednak o drugich myślał i pragnął im służyć, i tem dowiódł siły moralnej, która wróżyła mu najpomyślniejsze widoki. Pragnienia jego własne, sprowadzone do minimum, były tego nieomylnym znakiem. Nie obawiał się nędzy materjalnej, choć jest ona przykrą, lecz drżał przed nędzą moralną, bo ta jest śmiercią. Tej pierwszej mógł ulec nawet z uśmiechem na ustach, jeśli tylko nad tą drugą odniesie zwycięstwo. Do tej pierwszej przywykł od zarania i bez szemrania ją znosił, ni też zazdrości nie żywił, iż inny więcej niż on posiada; tej drugiej mężny stawiał opór i zahartował się w boju. Mimo więc głodu i ciężkiej doli, której złowrogi los mu nie poskąpił, otwierały się przed nim, był tego pewny, widoki zwycięstwa. Niby królem czuł się, który, sam będąc żebrakiem, miał dużo do rozdania z bogactw swej dostojnej i szlachetnej duszy. A wiele w tej mierze zawdzięczał swej matce, która pracowitem swem życiem, drugim poświęconem, a w pierwszym rzędzie jemu samemu i jego ojcu, samozaparciem aż do ostatecznych granic i umiejętnością rezygnowania wskazała mu bite drogi i wpoiła zasady, które w walce z życiem stały się niezdobytą twierdzą. O tę twierdzę rozbijały się wszelkie zakusy, które niósł z sobą rwący nurt życia, u jej stóp rozpryskiwały złe myśli, jak brudne, spienione fale o skały twarde rozłogi. Stąd szczególniejszą żywił dla matki swej wdzięczność i szczególniejszą otaczał ją czcią i miłością. Stąd też i tak

— Ja też przekonywać pana nie mam bynajmniej zamiaru. Chce pan podejmować tę prawdziwie syzyfową pracę, nie mam prawa bronić, lecz chyba radą służyć panu wolno? Otóż ja radzę bez względu na to, co pan dalej czynić zamierza, wyjechać, poratować zdrowie i wówczas dopiero zabrać się do pracy. Jeśli panu o te dzieci chodzi, to przez miesiąc pańskiej nieobecności nic im się tu złego nie stanie, nikt im dusz nie zatruje i serc nie zdeprawuje. Niech pan uzna słuszność moich zapatrywań i niech pan jedzie, a ja się przez ten miesiąc już dziećmi zajmę. Zgoda?

— Praca moja nie cierpi zwłoki, panie profesorze! Proszę pamiętać, że nędza w jednej godzinie porywa tyle ofiar...

— Pan jej nie zmoże, stera się pan tylko i zniszczy, zamiast siły swe zużyć na produktywną pracę, której rezultaty przy pańskich zdolnościach...

— Więc tę pracę, którą zamierzam...

— Uważam bezwarunkowo za chybioną i bezcelową.

— Panie profesorze,—odparł Stefan poważnie — w tym względzie różnimy się tak bardzo...

— Że lepiej o tem nie mówić, chce pan powiedzieć, jeśli nie chcemy naszej przyjaźni na szwank narazić? Nie, panie Stefanie, my zawsze będziemy dobrymi przyjaciółmi, bo, widzi pan, ja mogę pańskich zamierzeń nie aprobować, lecz je muszę szanować, bo świadczą one o pańskiej szlachetnej i pięknej duszy, którą kochać trzeba. Co do samej sprawy, o którą pan walczyć pragnie, jest ona w swem założeniu i piękna i godna — ja sam o niej kiedyś za

młodu dużo i tak jak pan myślałem — lecz niestety nie da się ona przeprowadzić i wybiega daleko poza możność i siły jednego człowieka choćby tak wytrwałego, jak pan. Trzebaby na to bardzo wielu danych w najidealniejszym składzie, by dojść do celu. Na przeszkodzie stają ułomności ludzkie, które przeciwstawiają się całą mocą. Zrozumiałem to rychło i zarzuciłem wielkie plany, które miały całą ludzkość ogarnąć i ścieśniłem ich krąg do tego małego światka, w którym los mi miejsce wyznaczył. Tu, w tym małym światku działam i czynię, jak umiem najlepiej, idąc po linji pierwotnych, wielkich moich zamierzeń lecz i tu nawet w tej pracy, podjętej na małą skalę, doznałem zawodu. Nieraz zdawało mi się, że wychowałem człowieka i szczęśliwym się czułem z powodu dokonanego dzieła, gdy nagle wyłaził z mego pupila potworny zwierz, który, bez skrupułu podeptawszy w duszy posiane ziarno, popędził do błota. Stąd płynie dla pana, kochany panie Stefanie, nauka, że trzeba być bardzo ostrożnym i że nie należy zbytnio angażować się w tej pracy, bo oddanie jej się zupełne grozi rozbiciem, a zwłaszcza przy tak delikatnej konstrukcji psychicznej, jak pańska. Ludziom nie można chcieć dawać więcej, niż oni sami pragną — my chcemy podsuwać im pewne wartości duchowe, a oni marzą tylko o pełnym brzuchu. Oni krzyczą: panem et circenses! a my im prawimy o cnocie, o doskonałości i inne historje, które puszczają mimo uszu z pogardliwem skrzywieniem ust i obojętnem wstrząśnieniem ramion. I tu leży między nimi a nami zasadnicze nieporozumienie.

Rozwinęła się na ten temat ożywiona między nimi dyskusja, która kwestję ustaliła ostatecznie w ten sposób, iż Stefan podejmie bezzwłocznie akcję, planami swymi zamierzoną, lecz nie zaniedba studjów, którym poświęci się z równą gorliwością. Celem tem silniejszego związania go z techniką, powierzył mu profesor świeżo opróżnione stanowisko swego asystenta, przez co stworzył mu punkt oparcia materjalnego i zapewnił stały dochód. Lecz niedość było mu związać go stanowiskiem, pragnął pozostać z nim w stałym i bliskim kontakcie, który pozwoliłby mu rozciągnąć nad nim ścisłą i czujną kontrolę. W tym też celu prosił go o udzielanie synowi lekcji języka angielskiego, na co Stefan najchętniej się zgodził, nie przeczuwając podstępu troskliwego o jego dobro profesora, W ten sposób zacieśnić się miały jeszcze bardziej zażyłe między nimi stosunki i wpływać, jak sobie profesor obiecywał, na umiarkowanie fantastycznych planów Stefana, grożących mu niechybnem, jak mniemał, rozbiciem. A klęskę tę przewidywał niemal z matematyczną dokładnością, znając konstrukcję psychiczną Stefana i przewidując opór, na jaki w ciągu swej pracy się natknie. Zawód, który go czekał, uważał za pewny i tem sroższy, im śmielsze były zamysły i rozleglejsze plany. Dlatego całą jego troską w tej chwili było uchronić Stefana, rokującego wielką przyszłość, od katastrofy, którą uważał za wielką stratę, tak dla niego samego, jak i dla dobra społecznego. Oddziaływać zatem na niego w tym duchu, by ścieśnił rozmiary swych zamierzeń i nie dał się wciągnąć w niebezpieczną i zdradliwą

głębię pracy, która, zdaniem jego, nie rokowała widoków, uważał za swój obywatelski i społeczny obowiązek. I w myśl tego obowiązku postanowił działać systematycznie a niespostrzeżenie.

Miał więc Stefan wkrótce znaleźć się wobec dwóch nieustępliwych i silnych przeciwników: Antosia i profesora. Obydwaj byli równie niebezpieczni, jak mocni, różni między sobą co do metod walki i jej celów, zgodni natomiast w postanowieniu zniweczenia jego planów. Profesor czaił się, Antoś wystąpił otwarcie; profesor zarzucał delikatne, niewidzialne sieci, Antoś chwytał za gardło; u profesora motywem działania była obawa o losy Stefana, który porwany w wir walk społecznych, łatwo mógł się zatracić i zginąć, u Antosia rozgorzała nienawiść klas posiadających.

Z nimi niebawem miał się Stefan zmierzyć, choć na razie nie przeczuwał walki, owszem uważał, że profesor w zasadzie aprobuje jego plany, Antoś zaś wprawdzie wybucha, lecz da się zjednać i przekonać. Snuł nawet co do nich obydwóch złudną nadzieję, iż z biegiem czasu zdoła ich całkiem dla swych zamierzeń pozyskać. W chwili, kiedy wyszedł od profesora, przedstawiała mu się sytuacja więcej niż korzystnie. Przedewszystkiem, dzięki profesorowi, odpadała najważniejsza troska o chleb codzienny dla niego samego i dla dzieci. Wprawdzie obowiązki przyjęte na siebie krępowały poniekąd swobodę jego ruchów i absorbowały mu czas, nie były jednak ani zbyt trudne, ani uciążliwe, zapew-

niały natomiast spokojną egzystencję i umożliwiały podjęcie dalszych studjów.

Idąc za tokiem swych myśli, skierował swe kroki ku technice. Tu natknął się na znajome, życzliwe twarze kolegów, którzy, otoczywszy go zwartem kołem, rzucali jeden przez drugiego dziesiątki pytań o zdrowie i powodzenie. Wdzięcznem sercem przyjął te objawy serdecznej życzliwości.

— Pytacie, jak mi się działo? ot! jak studentowi... Szkoda o tem mówić, — dodał ze smutkiem — straciłem matkę...

Cisza nagła zaległa dookoła — drgało w niej żywe współczucie. Wyciągnęły się wraz ku niemu krzepkie dłonie na dowód odczucia boleści i chęci niesienia pociechy. Lecz Stefan wymknął się myślą z zwartego koła przyjaciół i przebiegł w pamięci te wszystkie chwile, pełne tragicznego bólu i gwałtownego załamania się duszy, które groziło zagładą. Uratował się wówczas niemal cudem.

— Zdawało się, że się już nie dźwignę, — rzekł po chwili — lecz okazało się, że człowiek dużo zniesie. A cóż u was słychać? — przerwał smutne myśli.

— Ja piłem całe wakacje jak szewc.

— Ja pracowałem w fabryce maszyn.

— Ja u ojca w polu, kosiłem, wiązałem snopki, zwoziłem, młóciłem...

— Ja miałem ci, psiakrew, lekcję w wielkim domu — jak te cholery żyją! kryształy, srebra, służba — nie wiedziałem ci, psiakrew, jak jeść, jak pić, jak siedzieć — mamrotali po angielsku, a ja jak tabaka w rogu — kiwałem łbem jak osioł.

Buchnął głośny, wesoły śmiech i rozniósł się echem po auli.

— Ale forsy złapałem na pół roku — dodał z dumą, — nie zdechnę z głodu.

— A pani? zwrócił się nagle Stefan do eleganckiej, dystyngowanej koleżanki, która, ściśnięta w kole kolegów, wlepiła natarczywy wzrok w Stefana.

Rozgorzały jej tęskne oczy radością. Od dwóch lat po raz pierwszy nareszcie zwrócił na nią uwagę. Zaskoczona tym radosnym dla siebie faktem nie umiała wykrztusić słowa.

— Aa! koleżanka bujała po świecie — wyręczył ją któryś z kolegów w odpowiedzi — we Włoszech! a jakże! — dorzucił z pewną zawiścią w głosie.

— Była pani istotnie we Włoszech?

— Owszem, byłam — wysłałam nawet panu kilka odkrytek — dodała, czerwieniąc się.

— Odkrytek? nie otrzymałem ani jednej — a zresztą może? — czy ja wiem... w tym czasie tyle przeżyłem...

Wzrok jego przygnębiony, smutny wybiegł ku cichej mogiłce, świeżo porośniętej trawą i padł u stóp prostego, z dębowego drzewa ciosanego krzyża.

— Biedny pan! — odważyła się po długiem wahaniu przerwać jego zadumę — lecz trzeba rzeczy brać tak, jak one są. Są pewne, nieodmienne fakty, których nie potrafimy niestety odwrócić, więc trzeba się z nimi pogodzić.

— Mała to zaiste w nieszczęściu pociecha, lecz istotnie jest ona w takich razach jedyna.

— I koi ból, jeśli płynie z bardzo oddanego serca — podkreśliła z naciskiem.

Spojrzał jej po raz pierwszy uważnie w ciemne, przepaściste oczy. Drgała w nich tęsknota, łkała miłość wzgardzona, kołatało niesyte pragnienie, paliła się niezmierzona głębia uczucia, które teraz zdawało się nareszcie docierać do nieczułego jego serca. Rumieńcem spłonęły mu nagle lica i oczy zaszły mgłą pragnień, co w mgnieniu oka rozkwitły niby kwiat nad rankiem pod rosy kroplą tęczową. I wnet grać poczęły dotąd uśpione zmysły, podrażnione wonią młodego jej ciała, czarem ust rozchylonych, wilgotnych i kształtem krągłych jej piersi, co niespokojnie poczęły falować w takt gwałtownych wzruszeń, które z całą mocą sercem targnęły. Bił od niej blask młodości, buchał żar namiętnych pragnień, szedł niepojęty urok, upojny czar, niby w noc księżycową kwiatów wiośniane oddechy. Niby zjawa cudna lub królewna zaklęta w róży, niby czarodziejka zalotna lub łask pełna dostojna pani, stanęła przed nim piękna, promienna, kusząca, boska!... I jużby wyciągnął ku niej dłonie i ujął skrawek jej szaty i do ust przycisnął, gdyby nie kolegów grono i gdyby nie jakiś wstyd przed samym sobą. Wiedział, że od dwóch lat go kocha i wszędzie go ściga wzrokiem pełnym niemego wyrzutu i żalu wiedział, że skinieniem jednem i jednem słowem decydować mógł o jej losach i bez zastrzeżeń ją posiąć, lecz właśnie ta jej gotowość oddania, ta ślepa, niewolnicza miłość, miast go pociągać, odpychała go i budziła w nim tem większą złość i zaciętość. Była w tem niewątpliwie

pewna niechęć do „pani", wywodzącej się ze sfery bogatych fabrykantów, i satysfakcja, że taka „dama" dla niego i przez niego cierpi. Mścił się w ten sposób na niej za tych wszystkich, którym obcą była nędza, karał ją za zbytek innych jej podobnych i karmił wzgardą, chłostał ją lekceważeniem. Podejrzewał ją o oschłość serca i egoizm, którym się w każdym atomie swej duszy aż do wstrętu brzydził; wyczuwał w niej wszystkie wady, jej sferze właściwe, zwłaszcza po doświadczeniach, poczynionych z kuzynką dyrektora, która romansem z nim nawiązanym w sposób tak cyniczny utwierdziła go tylko w niekorzystnym sądzie, jaki miał o kobietach tej sfery.

W tej właśnie pięknej Ewie, która w tej chwili stała przed nim upojna, z namiętności drżąca, domyślał się zawsze kobiety, zdolnej każdej chwili do zdrady, widział w niej zawsze godną przestawicielkę swego rodu, który wyrósł i zbogacił się kosztem tysięcy nędzarzy, wyssanych do szpiku kości. Tem więcej jej wtedy unikał, tem więcej obojętnością ją smagał, choć miewał też i takie chwile kiedy Ewa działała na niego z taką siłą i tak go porywała swą dystyngowaną manierą, swym wdziękiem, swymi rozżarzonymi zmysłami, które wyzierały z każdego szczegółu jej kształtnego ciała, iż opanowywał się całą mocą woli, by nie runąć jej do nóg i nie żebrać o łaskę, albo raczej nie wziąć jej brutalnie, by zgryźć do krwi jej wilgotne, namiętne usta i... stać się wkońcu jej niewolnikiem, bo wszystkie wreszcie drogi, wiedział o tem, jeśli chodzi o stosunek kobiety do mężczyzny, wiodą nieodwołalnie do

niewoli tego ostatniego. Co do tego nie miał żadnych złudzeń, że kobieta zawsze sprawę wygrywa, że bankrutem z gry wychodzi mężczyzna, że przegrać mogłaby tylko kobieta głupia; lecz najgłupsza kobieta jeszcze jest mądrzejszą niż mężczyzna, jeśli oczywiście chodzi o kwestję ich wzajemnego do siebie stosunku. Mężczyzna nie jest w stanie rozwinąć tego sprytu ani w setnej części, jak to uczynić potrafi kobieta i zbyt mało jest subtelny, by zdołał wczuć się w nader skomplikowany labirynt niewieścich nastrojów i uczuć. Stefan nie znał kobiet, nie szukał ich znajomości, prócz niewielu przelotnych, które minęły bez śladu, nigdy nie kochał i do tej pory nie odczuwał braku tego uczucia, które ludzie zwą miłością. Kobiety napawały go jakimś dziwnym lękiem, z którego nie zdawał sobie sprawy. Nie umiał o nich wydać żadnego sądu, lecz zapytany o niego, raczej przechyliłby się na stronę tych, którzy w kobiecie dopatrywali się przyczyny wszelkiego zła, niż tych nielicznych, którzy kobietę wielbili jako źródło wszelkiego dobra. Mniemał, że w duszy każdego człowieka zmaga się dobro ze złem, lecz u kobiety dzieje się to w znacznie spotęgowanej mierze i z przewagą zła. Kobieta była dla niego dotąd czemś tak obojętnem i obcem, iż nigdy właściwie nad nią się nie zastanawiał; o ile z nią się zetknął, nie włożył w nią ni strzępa swej duszy i za rozkosz, którą mu dała, wdzięczności nawet przez chwilę nie żywił. W życiu swem znał tylko jedną kobietę: matkę, lecz w niej widział narzędzie wyższych przeznaczeń, posłanniczkę idei. przeszczepionych przez nią w jego

duszę i przez nią wypielęgnowanych. W perspektywie krótkiego zresztą czasu po jej zgonie przedstawiało mu się jej całe życie jako ofiara, złożona na ołtarzu miłości bliźnich, miłości, którą od niej przejął i z piersi jej wyssał, jako wyższą konieczność, bez której nie poczęłoby się przez niego dzieło odrodzenia. Na matkę patrzył innemi oczyma, niż na inne kobiety: matka zdawała mu się być jakąś inną, osobliwą, wysoko ponad zwykłymi ludźmi postawioną istotą, której znaczone były inne, wyższe cele, mocą których miłość bliźnich przelać miała na niego, by szedł między ludzi i w imię jej działał. Ta, która w tej chwili przed nim stała, piękna, młoda, porywająca, lubieżna, namiętna, nie miała z tamtą, uosobieniem prostoty, obowiązku, miłości i cnoty, nic wspólnego. Tamta wiodła go po drogach cnoty do szczęścia prawdziwego, ta pragnęła go porwać w rozkoszy taniec obłędny i stworzyć mu szczęścia złudę; tamta głosiła świętemi usty ofiarną miłość bliźniego, zapewniającą radość duchową, tej bujne ciało obiecywało pełną radość fizyczną w lubieżnem omdleniu i skurczach rozkosznych.

Stała przed nim kipiąca życiem. Przelewała się żądza zmysłowemi oczyma, buchała ust nabrzmiałych pragnieniem, pulsowała piersi przyśpieszonym ruchem.

Patrzył jej w oczy. Ogarnął ją całą namiętnem spojrzeniem. I nagle wstała w duszy tęsknota za jej wonnem ciałem, które całe we wszystkich szczegółach widział oczyma duszy. Zawisł w myśli ustami na jej ustach i wchłaniał do niepamięci nie-

pojętą, wszystko ogarniającą rozkosz, a potem runął na rozpalone jej łono i zwarł się, sczepił...

Obrazy mknęły, przesuwały się wizje, wstawało nieogarnione, potężne pragnienie. Dusza rwała się do niej, zmysły w ramiona jej niosły burzą.

Naszła go chwila jedna z tych, których się zawsze instynktownie lękał, przed któremi się bronił: chwila słabości, w której rzekomo miał stać się panem i władcą kobiety, w istocie przywdziać miał hańbiące niewolnika szaty.

Stanął przed tą wielką chwilą, zagadki tajemniczej pełną, po za którą kryje się tragiczne jutro, udrapowane w złudną szatę jasnego szczęścia. Na dno spojrzał chwili, lecz wszystko mgłą przesłoniły rozszalałe zmysły.

— Chciałbym się z panią dzisiaj zobaczyć, — rzekł nagle — czy może mi pani poświęcić chwilę czasu?

— Owszem, bardzo chętnie.

— Kiedy i gdzie?

— Proszę przyjść do mnie — dobrze?

— Do pani?—skrzywił się—jakżeż tam w salonach pani taki proletarjusz? — śmignął jakby batem ze złością — lokaj nie wpuści...

— Panie Stefanie!...—padł wyrzut miękko, ciepło, serdecznie. — Czekam na pana z herbatą o ósmej...

Po odejściu Ewy dumał jeszcze chwilę, śledząc ją wzrokiem, ginącą w tłumie. Czuł, że w życiu jego zaszło coś ważnego, coś, czego uniknąć już nie potrafi, a czego się lękać musi. Popadł w dziwny stan odurzenia, zmięszanego z uczuciem niewypo-

odniosła zwycięstwo i ujrzała go u swych stóp. Ta istota, wzgardliwie przez mężczyzn słabą nazwana, okazała się stokroć mocniejszą od niego, który pysznił się rzekomą mocą swej niezłomnej woli.

Nie było końca refleksjom, które wszystkie stwierdzały klęskę. Pogrom na całej linji zdawał mu się być tak oczywistym, że stał bezradny i wybrnąć nie umiał z zwartego koliska tysiąca uczuć rozbieżnych i sprzecznych.

— Na szczęście — pocieszał się — jeszcze się nic nie stało, jeszcze wszystkiemu można nadać całkiem inny bieg i wyjść z kabały zwycięsko.

Czuł jednak, że sam siebie okłamuje, bo zbyt potężnie rozgorzały w nim zmysły, rozbudziły się żądze, zbyt mocno kusiło go jej wonne, gibkie ciało i zbyt paliły błyszczące oczy. Otrząsnąć się nie mógł z tej myśli, iż posiąść ją może, jeśli zapragnie, a pragnął jej mocniej, niż myślał, pożądał tem więcej, im dłużej jej unikał. Już mściła się na nim wzgardzona kobieta.

Skręcał się, zwijał i szarpał, jak lew drażniony w klatce, aż zrozumiał wkońcu, że wszelki opór daremny.

Kobieta nie wie, jak straszną broń ma w ręku— gdyby wiedziała i umiała skutecznie jej użyć...

*
* *

Załatwiwszy formalności wpisu, zaszedł do kuchni akademickiej, kędy koledzy hojnie raczyli się wódką.

Łatkowi przypłynęła „flota" — stąd libacji powód. Łatek był to zadzierzysty kawaler, syn zamożnego, małomiasteczkowego mieszczanina, który,

oprócz uprawy dość sporej i bujnej roli, trudnił się handlem. Nędzny był to kramik, lecz niosący zyski, z których zapobiegliwy a ambitny kupiec mógł słać dzieci na wyższe studja do stolicy. Łatek pił w miarę i uczył się w miarę, lecz mimo średnich zdolności zawsze w przepisanym czasie składał kollokwja i egzaminy z postępem, który zaspokajał ambicje surowego ojca.

— Grosza nie szczędzę, — mawiał stary — dam wszystko, żebyś biedy nie cierpiał, lecz egzaminy muszą być w porządku.

I Łatek stosował się z całą ścisłością do woli rodzica, czem zaskarbiał sobie łaski, dzięki którym czasem grosz „nadprogramowo" nań spływał i pozwalał okazalej wobec kolegów wystąpić, zgodnie zresztą z ambicją ojca. Ze strony Łatka nie była taka „feta" jednak nigdy aktem pychy lub chęci wynoszenia się nad kolegów, lecz była wyrazem szczerych uczuć przyjaźni, którą koledzy cenili i odwzajemniali. Łatek był też po Stefanie pierwszą osobistością w ścisłem kółku najbliższych kolegów.

— Chodźno prędko, Stefan — krzyknął przez stół Łatek, ujrzawszy go wchodzącego — bo flaki wystygną! Bycze, jak Boga kocham, bycze! Z tą kucharką, co te flaki gotuje, chyba się ożenię!

Przepił do Stefana raz i drugi, lecz Stefan nie tknął kieliszka.

— No, nie rób komedji, tylko wal-no, proszę cię, Stefan, nie rób szop...

Postawił kieliszek na stole.

— Nie pijesz? to i ja nie piję.

— Zostaw go! — rzekł drugi — poco go zmuszać?

Stefan usiadł zasępiony i milczał. Nie bawiły go facecje, które Łatek z swadą opowiadał i sypał, jak z worka ku uciesze rozbawionych kolegów, nie słuchał przytyków i aluzji odnośnie do jego stosunku do Ewy, który, ku powszechnemu zdziwieniu, nagłej dzisiaj uległ zmianie. Rozglądał się po sali, przez którą przewijały się coraz inne twarze, coraz inni napływali studenci, obsiadając ceratą obciągnięte stoły. Wszystko to garnęło się żwawo do niewyszukanych a tanich potraw. Szybko wchłaniali blaszanemi łyżkami cienką zupkę, niecierpliwie szarpali kawałki twardego mięsa, ginącego wśród czubatej góry kartofli, zmieszanych z kapustą.

Gwar, krzyk, hałas, dyskusje, sprzeczki, kłótnie... — —

Rojno tu było i gwarno, jak w ulu, aż wszystko to bractwo nawpół głodne wyroiło się śpiesznie: jedni na wykłady, drudzy na lekcje. inni do zajęć, które stanowiły nędzne źródło lichego utrzymania. W tej kuchni, w tych marnych warunkach wykuwała się dola setek młodzieży, która dzięki podłemu odżywianiu i jeszcze podlejszemu ulokowaniu w suterynach i ciemnych, wilgotnych norach przychodzi do celu śmiertelnie znużona, do czynu niezdolna.

Tak nędznie wegetuje młodzież i przymiera głodem, ta młodzież, na której barkach spocząć mają losy narodu!

— Ale, słuchaj-no Stefan, — próbował go Łatek wyrwać z odrętwienia — opowiem ci kawał, że ryczał

będziesz, jak tur, bierz brzuch na pasek. Nalej, Stasiu, wódki!

— Walę dziś rano na wykłady, patrzę, sunie ci jakaś „podwika", jakby podkasana muza, że tak powiem, bo ci łydki wywaliła po kolana. Zerkam i widzę: nóżki w kabląk. Psiakrew, myślę sobie, muszę jej coś palnąć a propos tych nóżek, i powiadam, zatrzymując się tuż przed nią: — Trzeba być bezczelną, żeby mieć tak zgrabne nóżki! I pomyślcie, ta głupia uwierzyła i mówi zalotnie: — Podobają się panu? Przywaliłem się do niej z kantu i cyk z nią za miasto. Ledwie nam ostatnie domy znikły z przed oczu, a ja łap spódnicę do góry i powiadam: — A pokaż-no panna te bezwstydnie niezgrabne pedały! Trzasnęła mnie w pysk... no, niby tak tylko zlekka...

— I cóż dalej? — posypały się pytania.

— Ano, nic! Człek jestem rycerski, choć niby mieszczuch z prowincji—ale w herbie mam karczmę z kogutkiem na dachu — poklepałem rzetelnie po udach, no i tego... przyrzekłem, że jak chce, to jej zrobię na św. Mikołaja dziecko...

Głośna salwa śmiechu zagrzmiała w sali.

— No, dalej, Stefciu—zwrócił się do Stefana— walże tę gorzałę! Co się trapisz? do nas świat należy! kto to nim niby będzie rządził, jak nie my? Ale wam przysięgam, jak ja będę prezydentem, to ci będę walił same sześciopiętrowe domy akademickie i z burżujów darł będę skórę; niech płacą, cholery, na biednego akademika. „Vivat academia" — zaintonował, a wnet mu zawtórowały liczne głosy.

I niosła się piękna pieśń „Vivat academia", „vivant professores" po sali, aż się ściany trzęsły.

Było w tem wszystkiem, mimo nędzy, tyle radości życia, tyle humoru, tyle nadziei i tyle dumy, że serce rosło i łzy się cisnęły ze wzruszenia do oczu.

Dzielna, kochana młodzież!

Niby na rubieżach dawne rycerstwo, co wśród głodu i chłodu utrzymywało stanowiska, mierząc się z przemożną nawałą wrogów!

Czapka zamaszyście na bakier, łeb do góry zadarty i gęsta mina, choć puchy w kieszeni, ale głupstwo wszystko, byle humor był i miłości nie zbrakło!

* * *

Stefan szybko zjadł obiad i niepostrzeżenie wysunął się z sali. Te wszystkie nastroje i kawały nużyły go dzisiaj i irytowały.

Wlókł się do swych dzieci posępny, zadumany. Myśl jeszcze ciągle uparcie krążyła koło zdarzeń, które wprawdzie jeszcze się nie stały, lecz które przeczuwał i za nieuchronne uważał. Dręczył go lęk i niepokój, a równocześnie żarła go nieprzeparta żądza dreszczem wstrząsających wrażeń, męczyła ciekawość poznania czegoś, co jakby objawienie nagle na niego zstąpiło i stało się jakimś ponad wszystko górującym imperatywem, któremu nieodmiennie poddać się trzeba. Nie miał w sobie dość mocy, by odwrócić los, ku któremu szedł, jak dziecko z zamkniętemi oczyma. Nie mogąc go zwalczyć, ani mu się oprzeć, wypuścił z rąk swych ster wątłej barki i puścił ją wolno na rwące, niebezpieczne wiry. Niby jeździec w śnieżną zawieję zbłąkany, zdał los

swój na instynkt konia, pędząc przed się naoślep w zadymkę, co świat nieprzejrzanym tumanem zasnuje.

Pędził.

Szedł ku kobiecie, której dusza kryje wszystkie możliwe, a nigdy nieprzewidziane ewentualności. Dlatego jest zagadką, której rozwiązanie kosztuje życie.

Szedł ku kobiecie, która tworzy tragedje, komedje układa i snuje dzieje.

Nagle stanie na życia twego udeptanej ścieżce i odwróci drogi, cofnie cię wstecz lub naprzód posunie, zepchnie cię w przepaść lub porwie pod obłoki — wszystko rzecz jej przez nią samą niezgłębionego kaprysu, którym nie włada.

Kobieta jest zamkniętą księgą tajemniczą, w której fantazja zapisuje karty.

Cokolwiekbądź stać się miało, postanowił pójść wieczorem do Ewy. Narazie zaszedł do dzieci, których od rana nie widział, z czego czynił sobie wymówki. Rzeczy szły tu normalnym, uregulowanym trybem, nad którym czuwała przynajęta praczka Teresa. Całem sercem oddała się dzieciom, jak rodzona matka. Małe dzieci, używane do drobnych posług, krzątały się po izbie, starsze chodziły od kilku dni do szkoły, wolny czas poświęcając młodszemu rodzeństwu lub pomagając Teresie w pracy, której nawał zwalił się na stare jej barki. Krzątania było po uszy. Umyć, ubrać, gotować, nakarmić, dozorować, uczyć karcić, karać, bawić, niańczyć, do pracy wdrożyć — z roboty w robotę, z trudu w trud.

Stefan zachodził do nich codziennie najczęściej

wieczorem. Odbywał z Teresą konferencje i plan wychowania szczegółowo omawiał, poprawiał i radził, sam dzieci pieścił i sam je uczył, sam karcił, zachęcał, opowiadał bajki lub starszym coś czytał. Czuł się tu dobrze. Na kominie raźno trzaskał ogień i nęcił dzieci, które gromadnie obsiadały ławę, słuchając z zajęciem baj, które Stefan, siedząc w pośrodku, plótł o zaklętych księżniczkach, o walecznych rycerzach i grzecznych dzieciach. W ten sposób docierał do dzieci dusz, zjednywał je i zdobywał ich zaufanie. Nie był już dla nich jakimś obcym panem, był kimś, bez którego nie mogły już wyobrazić sobie swego istnienia, za którym tęskniły i którego witały z uśmiechem radości. Rosło mu serce, radowała się dusza, koił się ból, zabliźniały rany. Te dzieci, garnące się z zaufaniem ku niemu, były całym jego światem. Tu u progu ginęły troski, witała go cicha, jasna, pogodna radość, kiedy dzieci, spragnione jego widoku, wyciągały ku niemu wątłe swe ramiona, prosząc, by opowiadał im baje. Tu nawijały się tak proste a wdzięczne i miłe obrazki, iż łzy cisnęły mu się ze wzruszenia do oczu i wymuszały na nim ślubowanie, że nigdy tych dzieci z swej opieki nie wypuści. Jakżeż cudnym i szczerym zdał się być widok, kiedy głodne dzieciska zasiadły do czystego stołu, by raczyć się kaszą, skąpo okraszoną masłem. Twarze ich blade, nad blaszanemi pochylone misami, promieniały radością, oczy jarzyły się blaskiem szczęścia.

Jak skromne były ich wymagania, jak mało potrzeba było, by radość rozjaśniła tych dzieci lica!

Niestety, dziwnym porządkiem dziwnie poplątanych rzeczy, nawet i tego musiano im dotąd odmówić!

A wszystko odbywało się w największym spokoju i ciszy, bo Stefan wprowadził rygor i karność. Choć pojęcia nie miał o sztuce wychowania, rozumiał przecież, że życie rodziny, społeczeństwa i narodu oprzeć się musi przedewszystkiem o bezwzględne posłuszeństwo i surową karność. Ład i porządek, dyscyplina i karność są podwalinami zdrowego rozwoju, i dlatego z całą troskliwością wartości te w duszach dzieci zaszczepiał i skrupulatnie rozwijał, polecając Teresie ściśle je przestrzegać i każde wykroczenie w tej mierze surowo karcić. Cały nieomal plan wychowania przejął od swej matki, która, mimo wielkiej miłości, jaką dla niego żywiła, nie przebierała w środkach, jeśli chodziło o karę i choć prostą była kobietą, orjentowała się trafnie w wadach, które należało tępić, i w zaletach, które umiała powiększyć i pomnożyć. Najprostszymi środkami osiągała cele, których nie zdołały osiągnąć inne matki, mimo stosowania do dzieci całkiem specjalnych, wyszukanych metod. Niewątpliwie korzystnym i sprzyjającym czynnikiem wychowania w domu jego matki była atmosfera czysta i zdrowa, atmosfera pracy i miłości bliźniego. Tę to atmosferę przeniósł na grunt, na którym sam zapragnął hodować dusze. Rozumiał, że przyjął na siebie trudne i ciężkie zadanie, bo największą ze wszystkich sztuk jest sztuka wychowania, lecz nie skąpił trudu i dokładnie przemyślał, jak i co czynić należy i jakie obrać

drogi. W ciągu choroby dziecka, które pielęgnował, zapoznał się dokładnie z odpowiednią lekturą i wczytał się w najwybitniejszych autorów, których rady pragnął zasięgnąć. Na podstawie tej to obfitej lektury łącznie ze wspomnieniami, które wyniósł z domu, pracowicie obmyślił i nakreślił cały plan działania. Praca więc nad dziećmi nie była dorywczą, doraźną — (wychowanie nie śmie toczyć się od przypadku do przypadku, utykać i kuleć, lecz musi iść po równej, prostej, z góry wytyczonej linji) — lecz opartą o program, we wszystkich szczegółach obmyślany, wysnuty z doświadczeń zacnej jego matki i poważnych studjów. Jedna tylko kwestja nasuwała obawy, a mianowicie ta, że nie mógł się dzieciom poświęcić bezwzględnie i wyłącznie. Jednolitość i ciągłość kierunku wychowania, konieczna i ustawiczna kontrola, czujne, nieprzerwane czuwanie nad dziećmi — uważał za nieodzowne postulaty, jeśli pomyślny wynik wieńczyć miał dzieło; lecz tu wobec zajęć, które go czekały, nie znalazł już sposobu rozwiązania kwestji, przez co otwierał wolne pole przypadkowi, który rad był zupełnie wykluczyć. Mógł w tym względzie wprawdzie liczyć w pewnej mierze na Teresę i jej dobrą wolę, której składała widoczne dowody, lecz nie dowierzał jej miernej inteligencji, czem różniła się bardzo od jego matki. Nie mogąc jednak na tę bynajmniej nie nic nieznaczącą okoliczność znaleźć rady, musiał nad nią przejść do porządku dziennego, ograniczając się tylko do prośby, wystosowanej do Teresy, o jak największą w tym względzie czujność. Nie mniejszą

jego troską była zupełna nieznajomość życia i charakteru rodziców dzieci. Ze szczegółów, które zdołał pozbierać, niewiele się dowiedział. Życie ich naogół nieciekawie się plotło, przedstawiało się dość niepewnie i niejasno. Fakty, o których od sąsiadów lub od dzieci słyszał, budziły w nim pewne obawy i nasuwały wątpliwości co do ich charakterów, które bynajmniej nie były nieposzlakowane. Coś tam na dnie zgasłego ich życia wiło się posępną nicią, która dużo dała do myślenia. Między innymi stwierdził, że matka dzieci nie cieszyła się dobrą wśród sąsiadów opinją, ojciec zaś nie gardził kieliszkiem. Wedle wszystkich danych dusze tych ludzi przedstawiały mu się jako gniazda brudnych i niskich instynktów, które prawdopodobnie odziedziczyły dzieci. Dostrzegł nawet w Zośce pewien charakterystyczny, a niemiły rys, który szczerze go zmartwił. Lubiła kraść i kłamać. Rys ten wyłonił się zrazu nikły, niedostrzegalny, a później wzmógł się i rozrósł. Był to sygnał dla wytężenia tem większej czujności. Zośkę też szczególniejszą otoczył opieką i ścisłą nad nią rozciągnął kontrolę. Praca nad Zośką okazywała się znacznie trudniejszą, niż sobie wyobrażał. Dziecko nabierało już zdecydowanie skrystalizowanych pewnych indywidualnych cech, które bujnym chwastem w młodej duszy porosły. Tu już był pełny człowiek, ze wszystkimi niemal złymi instynktami i namiętnościami, które, na razie przyczajone, jeszcze się nie wypowiedziały. Odkrył w niej rys zalotności, stwierdził zazdrość i nienawiść do tych dziewczynek, które lepiej były ubrane niż ona, podpatrzył łakomstwo

i niechlujstwo. Wszystkiem tem stropił się niezmiernie i stanął wobec trudnego problemu, którego nie umiał rozwiązać. Zgoła nie wiedział, co czynić, i jak dalszemu rozwojowi tych złych instynktów zapobiec, o czem ze względu na młodsze rodzeństwo należało co rychlej pomyśleć. I teraz dopiero widział, jakiego trudnego imał się zadania i jaką wielką przyjął na siebie odpowiedzialność, i zrozumiał, że wychowanie to nader delikatna, zawiła i kunsztowna sprawa, której nikt należycie nie przygotowany nie śmie podejmować; że bakałarze, którzy coś niecoś jakiejś wiedzy polizali i udają pedagogów i niesumienni rodzice są zbrodniarzami. Niezrażony zabrał się jednak nad Zośką do pracy. Zaczął łagodnie, ostrożnie stosować leki, które wydały mu się być odpowiedniemi. Tłumaczył, perswadował, pouczał, z pośród dzieci troskliwą opieką i szczególną dobrocią wyróżniał—i czekał. Unikał morałów i kazań, które u pewnych indywiduów wywołują wręcz odmienny skutek. Rzucał zdrowe ziarna w duszę i śledził, czy wschodzić poczną. Ucha nastawił i słuchał, wzrok przenikliwy w twarz jej wpijał i badał, niepokojem targany.

Praca nad dziećmi przyczyniła mu wiele trosk, których brzemię dźwigał cierpliwie i bez szemrania, bo rozumiał, że człowieka wychować, a zwłaszcza takiego, jakim widzieć go pragnął, to arcytrudna sprawa. Lecz otuchą mu była niemałą myśl, że działa w myśl swych założeń, które jedynym były celem jego życia. Tak się przynajmniej dotąd ta rzecz przedstawiała. Teraz, pod wpływem całkiem nieprzewidzianego zbliżenia się do Ewy, nabrała nieco

innego wyrazu, innej fizjognomji. Teraz na tę sprawę padło zgoła inne światło, które w sposób rażący, jaskrawy wyświetliło odwrotną jej stronę i wywołało całkiem dziwne, niespodziewane i niepokojące refleksje, a treść ich i wyraz tchnęły wyraźnym buntem.

— Niby skąd ja właściwie, do djabła, — myślał zadumany — mam obowiązek myśleć o drugich? co mię ci drudzy obchodzą? Czy o mnie troszczył się kto prócz Antosia, kiedy umierałem z głodu? Dlaczego mam się wyrzec w życiu wszystkiego, co jest radością, rozkoszą? w imię czego i dla kogo mam żyć, jak asceta i zrezygnować z tego wszystkiego, co wziąć można z życia i co inni biorą? Czy to nie słuszniejsze? Czy nie jest to wszystko głupstwem, co ja zamierzam? i czy cel osiągnę, choć się nawet i poświęcę? Ot i ta Zośka! już się rozparło w niej bydlę, pociągnie do błota, jak mówi profesor i trud mój przejdzie po jej podłej duszy bez śladu!

I burza szła potężna, ogromna. Zdało się, że bez szczętu zmiecie piękne jego plany i w gruzy obróci te szlachetne myśli, które wypełniały duszę. Zdało się, że koniec pisany wielkiemu dziełu.

— Taki Łatek żyje sobie bez troski — myślał — skończy technikę, zajmie stanowisko...

— I co? — ryknął nagle ktoś, niby głos z za kurtyny — i będzie żył, jak bydlę. Jeść, spać, dzieci płodzić... Czy to celem życia?

Odwróciła się nagle karta, zmieniły bieg myśli i wpadły na dawne tory, u końca których leżały zasady potężne i niewzruszone, jak granitowa skała.

— Lecz właśnie dlatego, że prawie wszyscy ludzie tak żyją, jak życ będzie Łatek... zapatrzeni wyłacznie w swoje własne, egoistyczne cele, wszyscy źle żyją i wszyscy są, mimo wszelkich pozorów szczęścia, bardzo nieszczęśliwi.

— Dlatego — mknęły myśli spokojniejszą falą — trzeba zacząć inne, nowe życie, a zacząć je przedewszystkiem od siebie. Będę dobrym, będę uczciwym, będę miłosiernym, współczującym z ludzką niedolą, będę wszystko czynił, bym zgotował ludziom lepszy los. Nie uda się dzieło, jak je zamierzyłem, ograniczę je i choć najbliższych, losem mi powierzonych, szczęśliwymi uczynię. Poświęcę się dla nich i dam przykład, jak żyć należy, bym innych za sobą porwał i wciągnął w światła i prawdy świetlane kręgi.

Uspokoił się, uciszył — i doznał ulgi.

Radził teraz z Teresą nad zakupieniem ciepłej dla dzieci bielizny i odzieży.

— Pan zakupi materjał, ja pójdę z panem, a w domu się uszyje — tłumaczyła Teresa.

— Jakto uszyje? niby kto? przecież pani sama.

— Jest tu jedna biedna dziewczyna, wezmę do pomocy.

— Dobrze — zatwierdził i wyjął z kieszeni zwitek banknotów, otrzymanych od profesora i część z nich wydzielił.

— Od jutra więc robota?

— Tak, proszę pana.

— Doskonale! a chciałem jeszcze panią prosić, na tę Zośkę niech pani uważa.

— Pilnuję, jak mogę...

— Boję się, żeby to z tego co podłego nie wyrosło.

— Ha! od jabłoni niedaleko jabłko pada.

— Trzeba leczyć, radzić — odrzekł zafrasowany — nie gderać, nie huczeć, broń Boże! lecz zapamiętać, w czem zawiniła i mnie zawsze...

— Dobrze, proszę pana.

— Zapasów jest co jeszcze?

— O, starczy jeszcze...

— Więcej marchwi im dawać, trochę szpinaku małym mleka nie skąpić — pieniądze się znajdą.

Obszedł po kolei wszystkie dzieci już we śnie pogrążone i nad każdem dumał, jakby chciał prześwidrować ich dusze i przejrzeć ich przyszłe losy sobie powierzone — i czuł w tej chwili cały ciężar odpowiedzialności, jaką na siebie przyjął.

Ogrom pracy piętrzył się przed nim i niezmierzone otwierało się pole wysiłków i trudu, a zapewne i ciężkich zawodów. Lecz nie zrażał się niczem, owszem tem więcej się podniecał i do zamierzonych przedsięwzięć zapalał, a przykład w tej mierze czerpał z życia swojej matki. Ten przykład szlachetnej ofiarności, całkowitego oddania i pracy na rzecz drugich był dla niego wśród burzy ostoją, był źródłem otuchy i siły. I teraz, kiedy w myśli przemierzał czekający go ogrom zadania, rozumiał wielkość jej ofiar i tem większy hołd składał dostojnym jej cieniom i tem głębszą żywił cześć dla jej nigdy niewygasłej pamięci. W sercach powierzo-

nych sobie dzieci pragnął jej pomnik nieśmiertelny wykować i świadectwo wystawić jej cnotom.

Pogrążony we wspomnieniach o matce, zaprzątnięty planami, które snuł bez końca, poprawiał i ulepszał, modyfikował i zmieniał, szedł bulwarami, ciągnącemi się wzdłuż rzeki, we mgłę spowitemi. Ginęły gdzieś w bezkresnej, zadumanej dali, przeciętej tu i ówdzie blaskiem latarni, co szparkim płomieniem na krótki dystans ciemność rozwiewały. Nad spienioną rzeką, co rwała mętnym, wichrowatym wirem, niosły się rojnie skłębione tumany gęstych oparów, co się po świecie nieprzejrzaną rozlawszy falą, tchnęły weń melancholję i smutek. Deszcz siekł bez przerwy i wicher smagał, kapryśnie szalejąc po drzew smutnych szczytach, z liści odartych, w jesiennej pogrążonych zadumie. Nigdzie nie ujrzeć ludzkiej twarzy, jakby się świat wyludnił lub schował kędyś, przerażony rozszalałych żywiołów rozpętaną mocą.

Z bulwarów skręcił w jedną z głównych ulic, przy której mieszkała Ewa. Zmoczony do nitki, obryzgany błotem, wstąpił do kawiarni, by ociec z deszczu i jako tako przyprowadzić garderobę do ładu, bo i jakżeż — myślał — o tym wyglądzie przed nią się zjawię?

Ta mimowolna uwaga, która mu się nagle nasunęła, była bardzo charakterystycznym symptomem tego stanu uczuć, w jakim się zgoła nieprzewidzianie znalazł. Kilka godzin temu wstecz byłby o tym drobnym szczególe nawet nie pomyślał, kwestja bowiem garderoby i zewnętrznego wyglądu nigdy dla

niego nie istniała. Skupiony w sobie, zasłuchany w szepty wielkiej swej duszy, zapatrzony w górne, wzniosłe swego życia cele, wyniósł się na te wyżyny, z których szczytów pogardliwie patrzył na wszystko, co tchnęło głupstwem i pustką, i wszystko odrzucał bezwzględnie, co nie należało do istoty rzeczy, około której kręcił się świat jego myśli. Do samego dna życia sięgnął i wydobył z niego to, co w niem było najważniejszem, t. j. duszę człowieka zbolałą, cierpiącą, złamaną. Uleczyć ją i uratować, uczynić ją zdolną do życia, nadać jej pęd do wielkich lotów — to było tem zagadnieniem najistotniejszem, od którego rozwiązania zawisły wszystkie inne problemy. Wszystko inne, co nie zostawało z tą sprawą w najściślejszym związku, było bagatelą i głupstwem, na które niewarto zwracać uwagi. Czem może być sława, karjera, powodzenie i złote góry wobec chorej i złamanej duszy, w drodze zbłąkanej, wędrówką śmiertelnie znużonej? czem brak obiadu albo brak butów wobec nieszczęścia, które całą ludzkość dotknęło wskutek niemożności wywikłania się z poplątanych dróg? czem wojna wygrana wobec klęski dusz zatracenia? czem przepych i zbytek monarchy wobec nędzy duszy, wlokącej się w strzępach, w łachmanach?

Ludzkość, zatraciwszy duszę, zmarnowała skarb najpiękniejszy i największy, zatruła źródło dobra wszelkiego, wyzuła się z bogactw nieocenionych i niewyczerpanych i skazała na mękę i nędzę. Wyrzucona z równowagi wskutek utraty duszy, pędzi niby meteor oderwany od gwiazd systemu na nieznane szlaki, nieogarnione czasem, aż zderzywszy

się z drugiem ciałem, rozbije się na strzępy i runie w przepaść.

Taka była oś jego rozumowania odnośnie do najważniejszych i najistotniejszych zagadnień, około których zszeregowały się wszystkie inne, jako tamtych pierwszych następstwa.

Odrodzone dusze ludzkie, czyste, szlachetne i piękne rozwiążą pomyślnie wszystkie najzawilsze problemy i one tylko zawyrokują o dalszych losach ludzkości.

Jak długo trwać będą w swym dzisiejszym stanie upodlenia i nędzy, zawiści i złości, i jak długo nurzać się będą w bezdennej toni brudu i kału, nie dotrą do wrót upragnionego szczęścia.

I utopją na zawsze zostaną marzenia Romain Rollanda, wypowiedziane w „Janie Krzysztofie" o zgodzie i harmonji narodów, i próżną będzie męka wszystkich jasnych duchów, uczonych i myślicieli, męczenników w imię idei, które się nigdy nie spełnią.

O tem wszystkiem w tej chwili nie myślał, na chwilę zapomniał i spłynął z wyżyn, kędy duch jego mocną dłonią dzierżył władne berło. Na chwilę oderwał się od tych myśli, które wlokły się za nim wszędzie, jak cień, a całą uwagę skupił na zgoła innej, całkiem dotąd mu obcej, która. przekradłszy się podstępnie przez zastępy innych, niby przez wrogów czujne czaty, wybiła się na czoło i rozparła się dumnie na opróżnionym stolcu, wzgardliwie porzuconym przez tamte, inne, dostojne, co pierzchły, by nie kalać oczu widokiem myśli lekkiej, jak kokota płochej.

— Jak ja się jej pokażę? — myślał — portki wystrzępione, krawat? Boże, zmiłuj się!...

Przeglądnął się w lustrze.

— Koszula?!! broda zarośnięta — policzki zapadłe — oczy podkrążone.

— Niepodobna! — nie mogę! — zadecydował — napiszę chyba bilet, albo... zatelefonuję...

Podszedł do telefonu.

— Panna Ewa? — moje uszanowanie — tu Kos mówi — niestety, proszę panią, mimo najszczerszych chęci nie będę mógł przybyć... dla... bardzo ważnych powodów... żałuję, lecz istotnie są bardzo ważne...

Prawił jej rzeczy, których w chwili, kiedy je mówił, już żałował, bo jednak ta Ewa... — namiętnością płonął — mogła dać z siebie tyle...

— Dobrze więc — rzekł w końcu po dłuższej rozmowie — przyjdę.

Krew pulsowała mu w skroniach, oczekiwanie czegoś niezwykłego rozsadzało pierś, zmysły pieniły się żądzą.

Niósł się ku niej na skrzydłach nieprzepartych pragnień, pędził oszalały.

Zadzwonił. Stary, typowy lokaj zjawił się u drzwi i obrzucił go pogardliwem spojrzeniem od stóp do głów, wydął wygoloną gębę i bąknął półgębkiem:

— Pa-a-an?

— Pannę Ewę zastałem?

— O... owszem...

— Zechce mnie pan zameldować — nazywam się Kos.

Dostał się wreszcie do salonu. Miękkie, perskie dywany, gobeliny, brokaty, lustra, kandelabry, bezcenne empirowe meble, sztukaterje, obrazy — jednem słowem cichy, cudowny zakątek, stworzony do marzeń o kochanym. Rozglądał się po pokoju, jak chłop po nowym kościele i czuł się tym zbytkiem dziwnie przygnębionym. Jakiś skowyt żalu, w gardle zduszony, wyrywał się z piersi, jakaś nagle rwała się w nim tęsknota za tem innem, dostatniem, wygodnem i spokojnem, uregulowanem życiem, obfitującem we wszystkie przyjemności, rozrywki i rozkosze, jakie tylko pieniądz dać może. Nie pragnął go tyle dla samych wygód próżniaczego życia, ile dla estetycznych potrzeb, które aż nadto często odczuwał.

I tak dusza jego jeszcze ciągle balansowała między zasadami, które sobie wytknął, a budzącemi się pragnieniami, które tłumił. Mimo ustalonych punktów widzenia na rzeczy i ludzi, nie mógł jeszcze uchwycić tej pewnej, zdecydowanej, niczem niezachwianej równowagi, mocą której potrafiłby raz na zawsze uchylić wstrząsające nim burze. Na to nie miał jeszcze dość siły, lecz dość już miał mocy, by im się oprzeć. Obecność jego w domu Ewy była niewątpliwym dowodem tych wahań, którymi jeszcze ciągle ulegał, choć przeczyć im usiłował, zapisując pragnienie posiadania Ewy w kategorje pragnień, które na jego system myślenia i program zamierzeń rzekomo nie mogły mieć żadnego wpływu. Był to oczywiście fałsz i wybieg, którym przed samym sobą pragnął pokryć słabość swej woli w stosunku do Ewy. W zasadzie rzecz sama w sobie tak, jak on

sobie ją wyobrażał, nie mogło mieć istotnie dla niego poważniejszych skutków, lecz zapominał, że wchodzi tu w grę druga, silna indywidualność, która zgoła inny bieg mogła nadać wypadkom. Nie biorąc całkiem niewytłumaczonym sposobem tej ważnej okoliczności pod uwagę, mógł się łudzić, że czyni tylko to, co chce i dojdzie tylko dotąd, dokąd mu się spodoba. Mylnemi jednak miały się okazać te rachuby, oparte w kłamstwie wobec samego siebie. W głębi duszy czuł on ten fałsz, leżący na dnie jego kombinacji, nie mniej przecież pragnienia odnośnie do Ewy nie umiał się wyrzec, choć wszystkie inne potrafił już opanować i tłumić.

Dumał nad tem wszystkiem, gdy nagle wpadła do salonu Ewa, wytworna, bujna, piękna, w wykwintnej toalecie, stanowiącej ostatni wyraz szyku i mody.

Przez szereg salonów przeszli do Ewy zacisznego gabinetu. W abażurowem, przytłumionem świetle ginęły ciemno-granatowe kluby. Każdy drobiazg tchnął tu przepychem i wykwintnym smakiem. Istny to był świat zaczarowany, który mamił oczy, bajka, której nikt nie wierzy. Tu królowała Ewa, w wieczornych godzinach rojąc o swym niezłomnym rycerzu marzenia i snuła nić tajemnych pragnień. Tu opadała ją beznadziejna rozpacz i zwątpienie, iż nigdy, zdało się, nie posiędzie tego, którego całą duszą kochała. I tu naprzemian budziły się i rosły nadzieje, z których czerpała wytrwałość. Instynktem niewieścim czuła, że mu się podoba, że na niego działa i że pogarda, którą ostentacyjnie jej okazywał, płynęła zgoła z innych, nieznanych jej bliżej pobudek, choć co do

ich natury snuła domysły w rzeczy samej najzupełniej trafne. Domyślała się, że przyczyną tej szorstkości czy pogardliwej obojętności, z którą się do niej stale odnosił, a którą, jak sądziła, maskował niewątpliwe zainteresowanie się nią, była różnica stanowisk społecznych, nienawiść proletarjusza do bogacza. Ta nienawiść, zdało jej się, była zaporą w spełnieniu jej marzeń. I było w tych domysłach dużo prawdy — nienawiść zapewne w grę nie wchodziła, bo Stefanowi obcem było to uczucie — pewna niechęć jednak zaważyła niezawodnie na szali zwłaszcza w tym okresie czasu, kiedy jeszcze nie zdołał wzbić się na te wyżyny, na których znajdował się w obecnej chwili.

Lecz niechęć ta, którą dawniej do sfer posiadających żywił, a której dawał wyraz w listach do matki, nie płynęła bynajmniej z zazdrości, iż posiadają więcej niż inni, lecz z żywego, dojmującego współczucia z upośledzonymi, przez te właśnie sfery bezlitośnie wyzyskiwanymi. Tu leżał ten martwy punkt, który rozłożył się głazem w poprzek jej zamiarom i paraliżował wszelkie jej zabiegi. Całe tygodnie, miesiące włokła się ta straszna, wyczerpująca walka o szczęście, aż nawinęła się wreszcie szczęśliwa chwila, kiedy strzała puszczona z cięciwy dosięgła celu.

Miała go u siebie. Był to sukces bezsprzecznie wielki, horoskop pomyślny, z którego wysnuć mogła najśmielsze nadzieje. Łuna radości biła jej z lica, triumf w oczach gorzał.

— Więc mam go wreszcie—pomyślała—i już go nigdy z rąk mych nie wypuszczę!

I sądziła się już niemal być bliską celu, jak Stefan, który mniemał, że starczy tylko sięgnąć ręką po dojrzały owoc, podczas gdy w istocie oddalił się od tego celu w ciągu kilku godzin więcej, niżby był przypuszczał, Ewa bowiem, dopatrując się słusznie w jego zjawieniu się wróżby zwycięstwa, zmieniła nagle lekkomyślny plan pójścia naoślep za popędem zmysłów, postanawiając zdobyć go dla siebie na zawsze i niepodzielnie. W myśl swych zamierzonych założeń uderzyła wprawdzie w pewien ton zażyłości koleżeńskiej, lecz narzuciła dość znaczny dystans, nakreślając granicę, o której przekroczeniu nie było i co marzyć! W tym względzie rozczarował się Stefan i zdziwił niesłychanie, obiecywał sobie bowiem łatwe i pewne zwycięstwo, gdy tymczasem zaraz na wstępie uczuł się tak mocno na miejscu osadzonym, iż czuł całą śmieszność i bezpodstawność swych rachub. Wprawdzie i teraz Ewa nie przestała go kusić i w wir gry go wciągać, lecz czyniła to tylko w tej mierze, jaką dla utrzymania napięcia uważała za potrzebną. Stefan nie orjentował się w tej nowej jej taktyce i raczej sądził, że dla nieznanych mu bliżej powodów zarzuciła zamiar, rano dość niedwuznacznie akcentowany, niżby był przypuszczał, że go pogłębi i oprze o moralne podłoże, za jakie uważane bywa małżeństwo, do którego zmierzała.

— Jakaś pani jest inna, niż rano.

— Skądże to wrażenie?

— Jest pani jakaś, powiedziałbym, nienaturalna, sztywna, nawet obca...

— Aż tak?

— Rano... było w pani...

— Co takiego?

— Nie umiałbym tego określić, nie nasuwa mi się w tej chwili właściwy termin...

— Powiedzmy... kokieterji...

— Przyjmijmy, że tylko tyle...

— Czy więcej?

— O! znacznie, znacznie więcej!

— Czyżby? takie miał pan wrażenie? I cóż pan myślał?

— To istotnie byłoby trudno... — odrzekł zakłopotany.

— Rozumiem, lecz mogę pana zapewnić, że myśli pańskie biegły po linji tak odemnie dalekiej, jak gwiazdy od ziemi, zbyt pochopnym jest pan w sądach — to brzydka wada.

— Sądy opieram na spostrzeżeniach.

— W takim razie musiały być spostrzeżenia mylne.

— Owszem, były pewne. Były tak pewne, jak pewnem jest to teraz, że radaby je pani zatrzeć w mej pamięci.

— Zdaje mi się, że jest pan w błędzie.

— Być może — odburknął — myślę jednak, że niewarto wogóle nad tem się zastanawiać.

— Zapewne! cóż ja? czemże ja jestem w oczach pana? czemś, czem tylko można pogardzać, co też pan zawsze dotąd czynił aż z nazbyt dokładną ścisłością.

— Podobno odczuwamy tylko to, co odczuwać chcemy, jak i widzimy tylko to i tak, jak widzieć chcemy — odczucie czysto subjektywne.

— Niemniej przecież właściwe i odpowiadające prawdzie.

— Myli się pani.

— Nie mylę się — był pan dla mnie niedobry, choć niczem na to nie zasłużyłam.

— Do czego pani zmierza?

— Do tego, by stosunki nasze raz wreszcie wyjaśnić i nadać im właściwą podstawę.

— To znaczy?

— Żyć w przyjaźni, o którą w tej chwili proszę.

Wyciągnęła ku niemu miękką, białą, po ramię odkrytą rękę, w którą wpił się rozpalonemi usty, przesuwając je od dłoni do łokcia. Nagle padł u jej stóp na kolana i objął ją ramieniem. Ewa stanęła cała w płomieniach, lecz wierna swej z góry powziętej myśli, wnet odzyskała równowagę i wywinęła się z objęć, ku którym zmysły niosły ją całą mocą i o których marzyła we śnie i na jawie. Pokusa była zbyt silna, by jej nie ulec, bo wszak to był ten, którego zdobyć i posiąść było najwyższem jej pragnieniem, lecz wyrachowany, zimny zmysł kobiecy wziął górę. Rozumiała, że tylko taktyka zwlekania, potęgującego namiętność, może ją zawieść do celu, natomiast puszczenie wodzy pragnieniu wróżyło klęskę. A wysnuła tę naukę z pewnych w tym względzie doświadczeń, które już miała za sobą. Wiedziała, że ciekawość mężczyzny w stosunku do kobiety jest początkiem jego klęski, zaspokojenie zaś jego ciekawości jest początkiem jej końca. Fakt posiadania się wzajemnego stwarza tysiące możliwości, z pośród których niestety najpospolitszą i najczęściej znacho-

dzącą się jest rozwianie złudzeń, wychynięcie z pośród masek, które cisną się koło nas w godzinie szału, smutnej rzeczywistości, niosącej za utracony płaszcz, szkarłatny, królewski — nędzne, cuchnące łachmany. Oddać mu się bez zastrzeżeń, ku czemu rwały ją rozhukane zmysły, ociekające krwią gorącą, wzburzoną, znaczyło: utracić go na zawsze — podniecać go i zapalać, wieść przez mękę umiejętnie podsycanych a niezaspokojonych pragnień, znaczyło doprowadzić go do szczytu obłędnego pożądania, które czyni ślepym niewolnikiem i w moc bezwzględną oddaje. Prawdę tę odkryła i wypróbowała na swym kuzynie, który, jak pies, u nóg jej się tarzał i o łaskę żebrał od lat bez skutku. Ta prawda miała być, mimo burzy uczuć. które targały jej piersią, jej wytyczną w stosunku do Stefana. Odchylenie od niej groziło hańbą i upadkiem, a nadewszystko jego utratą, nigdy już nieodzyskaną.

— Niech pan siądzie.. ja proszę...

— Pozwól...

Garnął się ku niej, coraz natarczywiej napierał i przywarł ustami do kolan. Drżał na całem ciele, zęby zacinał i palce kurczowo w nogi jej wpijał.

— Panie Stefanie, ja stanowczo proszę...

Pocisnęła dzwonek. Podniósł się blady i drżący — burzył się i pienił.

W drzwiach stanął lokaj.

— Podaj herbatę.

Stefan cisnął się w fotel i milczał, myśląc z największą pasją o poniesionej porażce.

— Zwabiła mnie tutaj — myślał — by wydobyć

ze mnie moje najskrytsze pragnienie i rzucić je na pastwę szyderstwa. Uplanowała przywieść mnie pod same wrota, by mi je zatrzasnąć przed nosem. Chciała mi pokazać, że umie na mnie działać i zawiedzie mnie, dokąd zechce. Głupia!

Zerwał się z fotelu i począł się żegnać.

— Co się panu stało?

— Nic.

— Nie rozumiem doprawdy...

— Czego? — wpadł w szorstki ton, w jakim się do niej zawsze odnosił.

— Czy wyrządziłam panu jaką przykrość?

— Poco mnię tu pani właściwie zwabiła?

— Zwabiła? przecież pan prosił...

— Prosił?

— Nie?

— A więc tak! prosił!

Rzucał się, z kąta w kąt biegał, uniesiony wzrastającą pasją.

— Jakieś miny pani robi, oczyma wodzi, a potem niewinną udaje... i poco ta cała komedja? czego pani właściwie chce odemnie? a może mnie pani kocha? Ha! ha! ha! to byłby kawał!

Szalał w gniewie, bryzgał ironją i plwał szyderstwem.

Przycupnęła w milczeniu i skuliła się w sobie, chcąc przeczekać burzę, nazbyt bowiem była sprytną, iżby rozumieć nie miała, że jedno nieostrożne jej słowo może w gruzy obrócić jej plany.

— Trzeba zawsze wiedzieć, czego się chce! —

huczał — człowiek, który nie wie, czego chce, jest głupcem, albo... kapryśną kobietą.

Naprawił jej impertynecyj bez miary, wreszcie rzucił się w fotel i zamilkł zirytowany jej uporczywem milczeniem. Spodziewał się ostrej repliki, wybuchów gniewu, liczył się nawet z tem, że każe mu wyjść i nie pozwoli już nigdy wrócić, gdy tymczasem Ewa zdawała się wszystko przyjmować z największym spokojem i czekać tylko spokojnej chwili, by wziąć odwet. Burzyła się w głębi duszy, lecz panowała nad sobą, posiadała bowiem kunszt władania sobą w doskonałej mierze i tem nad nim górowała. Wyrachowała, że zimna rozwaga będzie w tym wypadku najskuteczniejszą bronią, którą go zwalczy i zmoże. Sama forma i ton monologu były obelżywe — kogoś innego byłaby niezawodnie kazała lokajowi wyrzucić za drzwi — lecz treść jego była niezbitym dowodem namiętnych, a zawiedzionych pragnień. Im więcej sypał obelg, tem więcej obnażał swą duszę. Przeoczył w gniewie ten moment, podchwycony przez Ewę, i natychmiast wciągnięty w kalkulację.

— Gdybym była mu obojętną — myślała nie przyszedłby tutaj, nie padałby na kolana, on, niezłomny, pełen dla mnie pogardy, i nie burzyłby się, nie osiągnąwszy tego, co zamierzał. Pragnie mnie — z najwyższą radością stwierdzała — to doskonale! tu źródło jego klęski, a mego zwycięstwa. Pragnienia jego — snuła dalej swe myśli — nie mogły zrodzić się dzisiaj, muszą sięgać w przeszłość, więc muszą być głęboko zakorzenione, zatem nie byłam i nie

estem mu obojętną, czyli z osobą moją musiał się zróść kawał jego duszy, i miłość moja wplotła się w jego historję, a w takim razie dziś poczyna się nowy rozdział.

Rozumowała jasno i logicznie, wyławiała z przedziwną bystrością z dna jego duszy wszystkie te momenty, z których wysnuć mogła pewne wnioski, mądrze potem zestawiane w logiczny, ścisły schemat, wiązane niby oczka w sieć, którą miała zarzucić. Było w tem wszystkiem dużo może nawet nadmiernego poczucia realnej rzeczywistości, trzeźwej i zimnej kalkulacji, pozornie nawet sprzecznej z namiętnem uczuciem, które pierś rozsadzało, lecz Ewa należała do tych w szczególny sposób skonstruowanych natur, które choćby najżywsze pragnienia umieją z łatwością podporządkować nakazowi chwili. Była w niej wielka trzeźwość szybkiej i łatwej orjentacji i był wysoko rozwinięty zmysł praktyczny, kupiecki, po ojcach odziedziczony. Kalkulowała w zupełnie identyczny sposób, jak jej ojciec, zawierający umowę: miłość? to bardzo pięknie, lecz nie za każdą cenę — poznać warunki kupna i sprzedaży przeciwnika, nigdy nie szkodzi. Chcąc poznać te warunki, zaprosiła go do siebie, by go wybadać i przejrzeć, przejrzawszy, pomyśleć, co i jak czynić należy, by dojść do celu. Natknął się więc Stefan, wbrew przewidywaniom na bardzo silną i wyjątkową indywidualność, wdał się w grę z kobietą wprawdzie zapalną namiętną i zmysłową, lecz zawsze świadomą dróg swoich i celów, a przez to podwójnie niebezpieczną. Tu siła jego woli miała przebyć ciężką, ogniową próbę,

tem cięższą, że ani przez chwilę nie przypuszczał możliwości jakichś zawiłych kombinacyj, przeciwnie, sytuacja zdawała mu się być przedziwnie łatwą i prostą. Zaraz jednak u wstępu przekonał się o czemś wręcz przeciwnem, wobec czego namyślał się, czy się natychmiast wycofać, czy też posunąć się o krok naprzód, i zbadać — ot tak, dla eksperymentu, zamierzenia Ewy. Poczęła go ta dziewczyna teraz interesować nietylko z punktu widzenia fizycznych rozkoszy, które sobie po niej obiecywał, lecz także i ze stanowiska psychologicznego. Ciekawą przecież byłoby rzeczą — myślał — wtargnąć do tej duszy i zajrzeć, co się w niej właściwie dzieje. Bliższe zetknięcie się z Ewą pociągało za sobą ciekawość poznania. Zdawała się być, wbrew jego dotychczasowym przypuszczeniom, nietuzinkową i nieprzeciętną, a wszystko, co wybiegało ponad szablonową przeciętność, pociągało go i interesowało. Przywykł znajdować się w niezwykłych sytuacjach i rozwiązywać trudne problemy, a czynił to z przyjemnością i z pasją. Ewa ta, którą widział od dwóch lat zawsze koło siebie z tym niemym wyrzutem skargi i z tem poziomem banalnem pragnieniem rozkoszy w oczach, ta zmysłowa, brutalna niemal w żądzy swej Ewa, którą rano przed sobą widział, była przeciętnym typem kobiet, szukających wrażeń, a więc niczem niezwykłem ani ciekawem; ta Ewa zaś dziwna i tajemnicza, mimo niezaprzeczenie, płomieniem ogarniajacych ja pragnień powściagliwa w wyrazie, była zagadką, która nęciła więcej niż jej zmysły, i o której rozwiązanie warto było się kusić.

Tak więc rozpocząć się miała gra, której wyniku żadne z nich przewidzieć nie mogło, a której stawką miał być po stronie Ewy lot wielki, podniebny ku szczęściu, za jakie uważała związek małżeński lub upadek w bezdenną przepaść rozpaczy, — po stronie Stefana podtrzymanie i zahartowanie woli albo jej utrata.

Splotły się losy dwojga ludzi w nawale wypadków, które sami sprowadzili, oplątały ich nici namiętnych pragnień, wiodących w nieznane jutro, na nieznane drogi.

Jak ślepcy szli przed się, tykając przed sobą patykiem, nie wiedząc, co krok następny przyniesie. Wolną niby mieli wolę, mocą której mogli kierować swymi losami, lecz działali pod jakimś wewnętrznym przymusem, któremu ulegli. Jakże problematyczną jest zaiste ludzka wola! Chcesz iść w prawo, możesz wedle swej wolnej woli iść w prawo, ale... musisz iść w lewo, chcesz poczynać to lub tamto, możesz poczynać wedle twej wolnej woli to lub tamto ale... musisz poczynać zgoła co innego.

Stefan zamierzał posiąść Ewę, nasycić się nią i porzucić, a ugrzązł na niewiadomej, która tysiączne mogła przynieść ewentualności, wiodące zgoła do odmiennych celów od tych, które zamierzył.

Chciał iść w prawo, mógł wedle swej wolnej woli iść w prawo a... musiał iść w lewo.

Moment miał to być, epizod w życiu nic nieznaczący, jeden z pośród wielu, a niepostrzeżenie powstawał cały splot niezamierzonych faktów i zda-

rzeń, przekradających się potajemnie przez czujne straże.

Usidliła ich pragnień zwodnicza mara i zwiodła na bezdroża, kędy gubi się mądrość, poczyna się klęska, bo klęską jest gonitwa za rozkoszą. Stąd mądrem i słusznem jest zdanie Arystotelesa:

„Mądry nie szuka radości lecz unika smutku". co Schopenhauer [1]) interpretuje: „zdanie powyższe uważam za najwyższą regułę wszelkiej mądrości życia — mądry nie dąży do użycia, lecz stara się uniknąć bólu. Prawda tego twierdzenia zasadza się na tem, że wszelkie użycie i szczęście jest negatywne, pozytywnym natomiast jest tylko ból".

Już samo zetknięcie i skojarzenie dwojga ludzi gotuje ból, choć powszechnem jest mniemanie, że niosą sobie wzajemnie szczęście. Są to jednak niestety tylko pozory, o czem się sami rychło przekonają, bo człowiek szczęśliwym może być tylko sam przez siebie, a nigdy przez drugiego, bo „każdy może być w najzupełniejszej harmonji tylko ze samym sobą, a nie z swoim przyjacielem lub z swoją kochaną, ponieważ różnice indywidualności i nastroju zawsze sprowadzają pewien, choćby nieznaczny, dysonans. Dlatego pradziwy, głęboki spokój serca i zupełną równowagę ducha, to obok zdrowia najwyższe dobro, znaleźć można tylko w samotności i zupełnem izolowaniu" [2]).

Pewną jest rzeczą, że szczęście zapewniają tylko wewnętrzne nasze wartości, z pośród których

[1]) Schopenhauer. Aphorismen zur Lebensweisheit, Stuttgart, str. 51.

[2]) Schopenhauer, tamże, str. 60.

na pierwsze wysuwają się miejsce: skupiona i silna, nieugięta wola, opanowanie pragnień i wielkie niezgłębione bogactwo ducha, — jednem słowem wielka, nieprzeciętna dusza, wyniesiona na najwyższe poziomy. Jeśli tak nie jest, jeśli warunków wyżej wymienionych nie umieliśmy zdobyć, przegraliśmy życie, które wówczas staje się podobnem do gry w szachy, jak mówi wyżej przytoczony Schopenhauer, gdzie układamy plany, ulegające przeciw akcji drugich w takiej mierze, iż w końcu planów naszych poznać nie możemy i nigdy ich nie wykonamy.

Nad tem wszystkiem dumał teraz właśnie Stefan, który do wszystkich innych problemów, jakie życie niesie, umiał przyłożyć właściwą miarę i ustosunkować się do nich we właściwy sposób, w stosunku zaś do Ewy stracił równowagę i wplątał się w chytrze nastawione sieci, na których poszarpanie nie stać go było. Tu łamała się jego wola, przez co wypadał z rachuby najważniejszy rachunek, stanowiący o nim samym i o jego zamierzonem dziele. Idąc za pragnieniem poznania, tracił swobodę, wikłał się w absorbującą, a bardzo niepewną kabałę, której skutków nie mógł przewidzieć, choć próbował się okłamywać, że zaspokoiwszy ciekawość, nasyciwszy pragnienie, odejdzie i rychło zapomni o marnym, przemijającym, nic nieznaczącym epizodzie. Lecz za kotarą czyhało żywe życie, które kłam zadaje planom, krzyżuje zamiary i z pustotą kapryśnego dziecka mięsza zapamiętale w kotle ludzkich zamiarów i pragnień, których ostateczny

rezultat oglądać dopiero możemy, stojąc nad grobem, a rezultaty te bywają niemal z reguły całkiem odmienne od tych, nad którymi pracowaliśmy całe życie i które pragnęliśmy widzieć jako koronę i nagrodę naszych wysiłków.

Dumali obydwoje — każde na swój sposób, dumanie wlokąc po różnych drogach. Lecz cokolwiekby wydumali, zgodni z sobą w ostatecznych dróg swoich celach, czy różni, w tym stanie rzeczy musieli się na razie poddać wewnętrznemu a niezwalczonemu przymusowi, któremu ulegli i który za gardło całą siłą cisnął.

Chcieli iść w prawo, mogli mocą swej wolnej woli iść w prawo, lecz... musieli pójść w lewo, kędy los im gotował zasadzki, wydoły, walki i wiry, by w końcu doszli tam, dokąd dojść nie chcieli.

To życie ludzkie!

— Więc niema ratunku? — myślał — niema sposobu, by iść tylko tą drogą, którą iść się pragnie?

Plątał się, wikłał, wreszcie zniechęcony porzucił myśli zagmatwanych ostępy, by przejść mimo wahań, wątpliwości i obaw do kwestji, która go jednak w tej chwili najwięcej absorbowała, t. z. do Ewy. Wzmożone pragnienie wierciło w duszy, rozkołysało ją i puściło w taniec szalony, obłędny.

— Czemu pani milczy?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Nic? to szkoda!

— Bo cokolwiek powiem, wszystko poczyta mi pan za złe i przeciw mnie obróci, więc wolę milczeć.

— D[illegible] pewną delikatność, która mnie [illegible] nie potwierdza pani, lecz ja wiem, że zasłużyłem na porządne cięgi. Niech pani smaga, nie szczędzi, bryzga, żebym aż wył z bólu — to mnie otrzeźwi... no, proszę, niech pani smaga...

Przypadł jej do białych rąk i całował, tulił i szalał w niewyczerpanej, najsłodszej pieszczocie.

Począł gorzeć, zapalać się, płonąć. Runęły nawałą zmysły, rozniosła się z hukiem i łomotem burza. Drgały wszystkie napięte nerwy niby na instrumencie naciągnięte struny, w które uderzysz i wygrasz pieśń szału.

Ewa trzymała się mocno, dzierżąc rozżarzone zmysły, niby mistrz, który na chwilę nie straci z oczu orkiestry i nie przepomni żadnego instrumentu. Silną dłonią tłumiła w duszy żar naniecony, który buchnął na lica krwawym rumieńcem, napłynął purpurą na spieczone usta i rozjarzonym blaskiem miesiąca osiadł na oczach. Spienioną falą płynął z dusz czar i niósł się kusząco, upojnie, niby zapach z pąka w kwiat wykwitającej róży. Rozkołysały się stęsknione dusze, niby gitar wdzięcznych tysiące, co pieśnią ból koją i do snu kołyszą, rozdzwoniły się rozbudzone serca, niby słowiki w noc jasną, księżycową na gałęziach lip, pachnących słodko.

— Panie Stefanie — próbowała się bronić — proszę — bardzo — ja — bełkotała coraz więcej omdlewającym głosem, aż ustami utonęła w ustach i zwarła się z nim w boskiej niepamięci...

Ostygli, z żalem żegnając cudną chwilę pierw-

szego pocałunku, w któr[illegible] ojąc [illegible] romans. Mija i już nigdy nie wraca. Ten [illegible] pocałunek jest jakby białym, jak łza czystym, granicznym kamieniem, od którego nowa poczyna się droga. Jakżeż często w zawieji życia wracamy myślą do niego, błogosławiąc go, albo przeklinając. Ten pierwszy pocałunek otwiera tajemnicze wrota, poprzez które ciekawi ciśniemy się szybko, by szczęścia dopaść i zakląć je w nasze dusze na wieczne posiadanie.

O! złudo cudowna, a zarazem przeklęta!

Miasto przez kwiatów łąki, wiedziesz nas przez cierni gąszcze, miasto przez siejne, pachnące niwy, wleczesz przez stęchłe, ugorne pola, miasto przez jasnej radości gwiezdne szlaki, wodzisz nad otchłanną przepaść rozpaczy!

Ślepcy! pędzimy za tobą — ufni, jak dzieci, by paść w pościgu, zmarnieć i zginąć.

Stefan i Ewa minęli wrota, rzucili kamień biały, graniczny, weszli w cudowne miłości gaje, owiane tchnieniem kapryśnego bożka. Ciągnęły się hen bezkreśnie. Nie dojrzeć ich końca. Nigdzie ścieżyny, nigdzie drogowskazu. Ciągle trzeba iść przed siebie, aż zgubi się z oczu biały kamień graniczny, który niknie, zostawiając w duszy jeno wspomnienie. Cisza naokół i gąszcz nieprzejrzany. Drzewo do drzewa podobne i murawy rozłożne, mchem gęstym porosłe. O nic wzroku zaczepić — tonie wylękły w bezdennej przestrzeni...

Snują się kochankowie, zrazu radośni, jak dwa białe duchy, spleceni w uścisku, wiodą się w zgod-

nej harmonji, jakby w tęczy blaskach i miłości nigdy niesyci, otulą się płaszczem miłości różanym, miłością oddychają i miłością żyją.

Aż... przyjdzie czas, kiedy, znużeni wspólną, uciążliwą drogą, radziby z drogi zawrócić. Oglądają się wówczas raz wraz za białym, granicznym kamieniem, który jeno we wspomnieniach majaczy. Zbłąkani, już nigdy nie odnajdą powrotnej drogi. Serca lęk zdejmuje, dusze żre żal i tęsknota. Naokół cmentarna cisza i mogiły wspomnień.

* * *

Rozstali się późnym wieczorem pod silnem, niezapomnianem wrażeniem. Z trudem wyrwali się sobie z objęć, unosząc w duszy tem potężniejsze pragnienie.

Toczył się pół-przytomny ulicą i myślą po sto razy wracał do chwili, którą przeżył. Czuł zapach jej ust na swych ustach, włosów woń odurzającą i żar pieszczotliwego jej ciała i każdy szczegół przeżywał, zapisany w pamięci niezatartemi głoskami. Wpiła się w jego duszę całym swym urokiem i czarem, wżarła się w pamięć i zmysły, niepodzielnie biorąc je w swe władanie. Rozbudziła w nim coś dotąd mu nieznanego, co coraz wyraźniej przybierało na treści i sile. Przepadły bez śladu wątpliwości, skrupuły, obawy; przycichła skulona jak pies pod razami wola; zasunęły się plany poza nawalne obłoki pragnień, które, napłynąwszy w nigdy dotąd niewidzianej sile, świat przesłoniły nieprzejrzaną kurzawą. A ponad wszystkiem górowała jakaś huczna,

słoneczna radość, z której istoty nie próbował nawet zdać sobie sprawy. Raźno mu było na duszy. Świat przybrał odświętne szaty. Już dawno, dawno nie czuł się tak dobrze, wesoło. Wpadł w swobodny, beztroskliwy nastrój i niósł się niefrasobliwie kędyś ku nieznanym, pełnym tajemniczych przeznaczeń szlakom.

Lecz rychło radość rozprysła, zmrożona ponuremi obrazami życia, które w barze zbierał, dokąd na chwilę wstąpił, by zaspokoić pragnienie.

— Panie — mówił jeden sąsiad — jak to wziąć tak życiowo? Wszedłem do spółki z jednym piekarzem. Okradł mnie psubrat na cztery tysiące, więc ja, rozumie się, poszukałem zemsty. No, czy miałem słuszność? no, powiedz pan, no, tak czy nie? Zdradziłem w sądzie tajemnicę, że do mąki dodawał różne świństwa, byle chleb miał przepisaną wagę. Pracownicy wobec mnie to potwierdzili, lecz kiedy przyszło do sądu, oświadczyli, że o niczem nie wiedzą. Groził mi kryminał za oszczerstwo, więc cóż było robić? przekupiłem jednego z nich i skłoniłem do krzywoprzysięstwa. Teraz, psiakrew, mam wyrzuty sumienia...

Pociągnął mocno z kieliszka.

Przy drugim stole zwalił się jakiś jegomość, pogrążony we śnie. Zbudzono go i kazano mu iść do domu.

— Do domu? — bełkotał pijany — do... domu? — kiwał się tam i sam — po, co? żona, psiakrew... cholera... jędza... do domu?... nie pójdę do tej... kochanków kopa...

Trzeci opowiadał zawiedzionego serca swego dzieje:

— Bijaliśmy się co wieczór wszystkiem, co pod rękę wpadło. Ja sińce i guzy, ona sińce i guzy, aż raz jak ją zamalowałem w łeb pięścią, tak padła zemdlona. Myślę sobie, zdychaj, cholero. Położyłem się spać, aż ci nagle czuję ból straszny, krótki, kłuty jakby nożem. Dźnęła mnie nożem — rozumiesz? jej szczęście, że leżałem bez ducha...

Przy innym stole jakiś biuralista zajadał w milczeniu nędzną kolację. W oczach niezgłębiony smutek, w ruchach ciężka apatja człowieka śmiertelnie znużonego życiem. Na twarzy wynędzniałej, bladej rozparł się jakiś wielki ból za utratą czegoś, co nigdy nie wraca.

Stefan patrzył i słuchał. Ze wszystkich kątów wyzierała nędza. Ach! jaka straszna, ludzka nędza! Ze wszystkich dusz wypełzały straszne, niskie, ohydne instynkty, brutalne namiętności, potworne żądze, dla których zaspokojenia nie istnieją żadne skrupuły i żadne granice. Na przebój i za każdą cenę! — to powszechne hasło. Co później? — pal djabli! a padnę, ale i drugi zginie

Oto zasady, etyka! Zaiste trzeba jeszcze bardzo wiele nad ludźmi pracować, by zrozumieli tę prostą i jasną prawdę, że przyczyną ich nieszczęść, ich klęsk jest ich własne sumienie, wytarte jak dziadowski kaftan, ich własne, nędzne dusze, wyzute doszczętnie ze wszystkiego, co dobre i piękne.

Gruzy, ruina, śmierć zdeptanych, zatraconych dusz!

O! jakże serdecznie godzi się z ludźmi współczuć, jak żałośnie litować nad ich strasznym losem, jak co prędzej należy podjąć pracę około ratowania ich dusz!

Wszyscy imajmy się wielkiego dzieła, dźwigajmy się wzajemnie z upadku i leczmy rany, poniesione w życiowej walce; otwórzmy sobie wzajemnie serca, niech płyną z nich doznanych zawodów żałosne skargi, na których ukojenie wszyscy środków szukajmy. Wszyscy jesteśmy biedni, ułomni, wszyscy nieszczęśliwi, więc wszyscy w imię spólnego dobra, wspólnego ocalenia, pomóżmy sobie wzajemnie wykuwać w nas ducha hart i woli moc!

Co prędzej wyszedł Stefan z baru, by nie sycić dłużej oczu widokiem tej straszliwej nędzy, która wstrząsała nim do głębi. Nie była mu ona obcą — wszak postanowił zwalczaniu jej poświęcić całe swoje życie — lecz nigdy dotychczas nie zetknął się z nią oko w oko w takich bezdennych, przepastnych rozmiarach, w takiej sile i potędze. Widział jej poszczególnych wypadków dziesiątki i setki, lecz każdy z osobna — tu wpadł w rojowisko skupionej w jednem miejscu, straszliwej, ze wszystkiego pod wpływem alkoholu obnażonej nędzy. Skręcał się z bólu i wił się na myśl o tem, co widział i słyszał. I nagle rażący kontrast, niby błyskawica, rozdarł wnętrze jego duszy, kontrast tego, co jest i tego, co ma być, a stąd wyłoniły się jeszcze wyraźniej uwypukliły zadania, które założył sobie podjąć. Drgnął w nim, niby z wiosną lodu bryła ruszona siłą promieni słońca, imperaty w potężnym jak piorun:

działaj natychmiast, bez zwłoki! i ruszył i szedł wszystko łamiący, nieugięty, ogromny. W najczystszem kryształowem świetle jego potęgi i blasku jakże zmaleć musiało jego pragnienie rozkoszy z Ewą, które w jaskrawym refleksie, rzuconym ze szczytów najwznioślejszych ideałów, odbić się musiało czarną, brudną plamą.

— Pragnąc Ewy — myślał — idę niezawodnie za prawami natury, idę w ślad radości należnej młodości, lecz równocześnie też idę za takim samym brudnym, niskim instynktem, jak ci wszyscy, których teraz widziałem. I dokąd doszli, popadłszy w niewolę instynktów? Czy mnie znaczone są takie same drogi, czy też zgoła inne? O! tak, z pewnością inne!

Na chwilę stanął, jakby przygwożdżony w miejscu tym pewnikiem niezbitym i dumał.

— Wynikałoby z tego, że powinienem wyrzec się Ewy...

Znalazł się nagle w pragnień sprzecznych błędnem kole. Jedne skupiały się około osoby Ewy, a więc wybitnie egoistyczne, drugie około odrodzenia dusz ludzkich — altruistyczne. Jeśli chodziło o doniosłość i wagę, to oczywiście nie ulegało żadnej dla niego wątpliwości, że te drugie są najistotniejsze, jedyne, że dla nich tylko działać i żyć się godzi, lecz te pierwsze miały w sobie tyle siły i powabu, iż wyrzec się ich zdawało mu się być rzeczą całkiem niepodobną.

I jeszcze raz stanął w ogniu zażartej walki z samym sobą. I na tyle okazał się ułomnym i biednym,

jak wszyscy inni ludzie, że nie zdołał rozstrzygnąć problemu w sposób pewny, zdecydowany. I począł się oglądać za sposobami kompromisowego rozwiązania kwestji. Radby był uciec się do jakichś połowicznych środków, którymi ludzie tak chętnie się posługują, zapominając, że połowiczność mści się zawsze okrutnie i że ona właśnie jest najgorszem załatwieniem sprawy. Nie nasunęła mu się wprawdzie w tym względzie żadna konkretna, sprecyzowana myśl lecz ten sposób połowicznego rozstrzygnięcia kwestji najwięcej mu w tej chwili dogadzał i przypadł do gustu.

•

• •

Niebawem wszedł w krąg wytężonej pracy, której ogrom zdawał się przerastać jego siły, czem się bynajmniej jednak nie zrażał, owszem, czuł się rzeźkim i mocnym. Zwalczać trudności, mierzyć się z przeciwnościami aż do wytężenia ostatnich sił, walczyć do upadłego, do ostatniego choćby tchnienia, było jego naturą, jego żywiołem. Gardził gnuśnem, leniwo w ciasnem korycie sączącem się życiem, brzydził się tchórzostwem, wskutek którego ludzie starają się skwapliwie ominąć wszystko, co trud gotuje i siły wystawia na próby. Było w nim coś niezrównanie żywiołowego, co pchało go w najgłębsze wiry i stawiało wobec najzawilszych zagadnień, ku którym szedł bez trwogi, zbrojny od stóp do głów w niezłomną wolę poznania i rozwiązania.

Praca jego szła w dwóch kierunkach: podniesienia dusz ludzkich z straszliwej ich nędzy i stwo-

rzenia głodnym, zgnębionym rzeszom możliwych warunków egzystencji. Spełnienie tych zadań, było tem trudniejsze, że środki, którymi rozporządzał, były nikłe i kruche, grunt zaś, na którym operować zamierzał, był twardy i nieustępliwy, bo trafić do serc ludzkich jest arcytrudną, karkołomną sztuką. Lecz nędza materjalna i moralna, z którą na każdym kroku się stykał, była mu bodźcem w trudnem przedsięwzięciu.

Za teren działania, na którym skupił całą swą uwagę, obrał stowarzyszenie robotnicze „Zjednoczona praca". Tu zjawił się pewnego wieczora i przed wydziałem wyłuszczył swe plany. Przyjęto je z niedowierzaniem i wstrząśnieniem ramion, a nawet uznano je z góry za chybione i niepotrzebne.

— Panie — mówiono mu — co im tam pan będzie prawił mądrości, daj im pan jeść— kto to tego będzie słuchał! To do niczego, na nic, szkoda czasu!

— Niezawodnie — odpierał zarzuty — że prawić głodnemu o cnocie wygląda na szyderstwo, lecz nie jest to moim zamiarem, choć nie przeczę, że celem moim jest wyzwolić duszę z pęt złych instynktów, dźwignąć je z upadku i nędzy i wskazać im drogi, po których pójść mają ku swemu ocaleniu. Rozumiem to, bo sam przeżywałem nieraz bardzo ciężkie chwile, że niedostatek i nędza materjalna są bolesne i przykre, lecz niczem są w porównaniu z tą nędzą, w której pogrążone są dusze ludzkie. Jeśli chodzi o szczęście, majątek o niczem nie stanowi. Im większym ktoś jest bogaczem, tem więcej jest nieszczęśliwy, jeśli dusza jego pogrążona w nę-

dzy. O zadowoleniu i szczęściu — argumentował — decyduje nie pełny brzuch, lecz dusza czysta i w treść bogata. Jeśli człowiek piękno i prawdę ukocha i skarby te pomnaża, jeśli opanuje swą wolę i pragnienia okiełza, posiadł warunki, by zdobyć szczęście, które bynajmniej nie zasądza się na tem, by tylko mnie było dobrze, lecz na tem polega, by przezemnie drugim było dobrze. Ja sam schodzę na plan ostatni, na czoło wysuwa się dobro innych, bo szczęście nasze mierzy się tylko zasługą wobec drugich. Czy sądzicie, że bogacz nie dławi się w swem bogactwie, że nie dręczy go pustka życia i nie zabija nuda, jeśli poza swym brzuchem i zaspokojeniem swych namiętności nie ma w życiu żadnych innych celów? O! wierzcie mi, że cierpi on więcej niż ten, który pozbawiony jest kawałka chleba. Moi rodzice, których wszyscy znaliście, moi panowie, byli szczęśliwi, choć życie spędzili na ciężkiej pracy, która tyle nawet im nie przyniosła, jak panowie wiecie, by grosz uskładać na trumnę.

— Czy to sprawiedliwie? więc nie jest to krzywdą, której winniśmy raz wreszcie kres położyć? — odezwały się głosy protestu.

— Czy to sprawiedliwe, o tem w tej chwili nie mówię...

— A właśnie o tem pan teraz mów... Djabli mi tam z pięknej duszy, jeśli ja zdycham z głodu, a drugi nurza się w zbytku...

— A właśnie! a dlaczego tak jest?

— Bo użyć chcą sami szelmy, nażreć się...

— Więc na moje wychodzi, świat ich myśli i pragnień obraca się koło ich brzucha.

— Rzecz wiadoma!

— A... wasz świat myśli i pragnień? — zaskoczył ich Stefan pytaniem, które wprawiło ich w zakłopotanie.

— Czyż wy też nie myślicie tylko o tem, jak w życiu użyć?

— Każdy człowiek ma prawo do życia...

— Niezawodnie, ale tylko wedle tych wartości, które sam przedstawia.

— A oni?

— Jeśli to nazywacie życiem, to w grubem jesteście nieporozumieniu.

— A czego mi więcej trzeba ponad to, bym się zabawił, zjadł porządnie i wypił — rzucił ktoś.

— A ponieważ nie ma pan możności zaspokojenia tych pragnień...

— Powinienem mieć, na to pracuję.

— Jeśli zaspokojenie tych niskich, poziomych pragnień nazywa pan szczęściem, to istotnie mocą pańskiej pracy powinien pan być bardzo szczęśliwym, lecz zapewniam pana, że gdyby pan nawet osiągnął to, czego pan pragnie, nie byłby pan szczęśliwym, jeśli te tylko pragnienia byłyby wyłącznym celem pańskiego życia. Wspomniałem, że rodzice moi, mimo wytężonej pracy całego życia i mimo nędzy — czy to sprawiedliwe, to inna kwestja, o tem pomówimy później — byli bardzo szczęśliwi właśnie dlatego, że umieli wyrzec się tych niskich pragnień, które niestety są ideałem prawie wszystkich ludzi.

— Niech się tam ci wyrzekną, co syci — cisnął ktoś ze złością — pan nam tu prawi, abyśmy się wyrzekali! czego jeszcze wyrzec się mamy? tego powietrza, którem oddychamy, czy tej nędznej strawy? Jaki mi to z pana apostoł!

— Jeśli nie pozwolicie mi dokończyć myśli...

— Co kończyć? Głupstwa i basta!

— Porozumiemy się może łatwiej, jeśli rzecz rozważymy z innej strony. Czy nie sądzicie, że nie byłoby wśród was tej nędzy, gdyby bogaci umieli i potrafili wyrzec się pragnień w znaczeniu materjalnem na waszą korzyść?

— Czy zechcą te cholery!

— Nie nie chcą, ale nie potrafią, bo zbyt są dzięki swym małym, nędznym duszom do dóbr materjalnych przywiązani. Otóż trzeba rozbudzić w nich dusze, odrodzić, tchnąć w nie nowe życie, oparte o piękno i prawdę, pouczyć ich, że poza ich niskiemi pragnieniami jest jeszcze inny, olbrzymi świat, którego upośledzeni ślepcy nie widzą, świat pięknej pracy i poświęcenia dla drugich. Jakżeż inaczej przedstawiałoby się wasze życie pod względem materjalnym, gdyby bogaci mocą swych wielkich wartości duchowych umieli wyrzekać się na rzecz drugich! Nie umieją tego niestety, bo nędzne i małe są ich dusze, podobnie jak nędznemi są wasze dusze, skoro waszych pragnień wyrzec się nie umiecie i myśli waszej ku niczemu innemu skierować nie potraficie, jak tylko ku żarciu. I tu leży przyczyna zła, pod którego jarzmem wszyscy cierpią, bo wszyscy niestety są niewolnikami swych namiętności

i pragnień. Im szybciej zdołamy się z ich pęt uwolnić, tem szybszy wszystkich ratunek, im rychlej staniemy się ludźmi wolnymi, tem rychlejsze wszystkich zbawienie. Dzisiejszy smutny stan rzeczy wróży zagładę i śmierć.

Nie zdołał się nimi porozumieć. Pierwsza rozmowa, jaką nawiązał, przekonała go, jak trudnego podjął się dzieła. Nie mógł doszukać się w tych ludziach dusz, podobnie jakby ich nie znalazł u tych, którzy syci pędzą życie w pustce i nudzie. Jednych zabija nędza, drugich dostatek, a wszystkich toczy pragnienie, które dusze przeżera i niszczy: znaczyć więcej niż w istocie są, posiadać jeszcze więcej niż mają. Stąd to słusznie mówi o nich Goethe w „Wahlverwandschaften": „kto zła chce uniknąć, zawsze wie, czego chce; ten kto pragnie czegoś lepszego nad to, co posiada, jest ślepcem".

Pracę rozpoczął od odczytywania najpiękniejszych wyjątków najwybitniejszych utworów światowych, dobierając starannie ustępy, które odpowiadałyby poziomowi inteligencji słuchaczy. Były to krótkie, półgodzinne, nie nużące posiedzenia, mające na celu odwrócić myśl od rzeczy poziomych, codziennych, szarych. Tajemnica ich powodzenia zasadzała się na ich ciągłości i interesującym sposobie podawania wiadomości. Chodziło o to, by pozyskać jak największą liczbę słuchaczy, którzy, raz wciągnięci w tok interesującej ich lektury, sami jej zapragną. Od łatwych tekstów przechodził zwolna do coraz trudniejszych, poprzedzając je krótkim, zwięzłym a jasnym wstępem. Opisy bitew, żywoty

wielkich królów, myślicieli, odkrywców, działaczy społecznych, muzyków, malarzy — opisy przyrody, miast starożytnych, sposobu życia zwierząt i ludów, ilustrowane przeźroczami, były dalszym etapem pracy. Wszystko to podawał w pewnym, z góry obmyślonym, systematycznym porządku. Od czasu do czasu ściągał śpiewaków na krótkie występy, urządzał przedstawienia amatorskie, śpiewy chóralne, deklamacje zbiorowe, zwolna, ostrożnie, tak mimochodem zachęcał do czytania dzieł łatwych, przystępnych, które sam wyszukiwał i poddawał.

Włożył w to wszystko dwa miesiące wyczerpującej pracy, każdego wieczoru gromadząc garść słuchaczy, lecz stwierdził ze smutkiem, że ziarna rzucane w dusze padają na grunt doszczętnie zamulony troską o chleb codzienny. Śmiertelne znużenie ciężkiem życiem krwawiło w duszach tych ludzi, męka dławiła i głód szerzył dzieło zniszczenia, niecąc w duszach myśli występne. Na nic się zdało wskazywanie na życie wielkich ludzi, którzy nieraz w niedostatku tworzyli wielkie, nieśmiertelne dzieła, na nic odczytywanie najpiękniejszych utworów, porywających bogactwem myśli, na nic zachęcanie do wytrwałości, niesienie pomocy, której użyczał wedle możności, samemu sobie od ust odejmując — wszystkie najlepsze wysiłki tonęły w burzliwem morzu klasowej nienawiści, która rosła z dnia na dzień, przeradzając się w zemstą dyszący, otwarty bunt.

Stał wobec tego groźnego, klęskę wróżącego faktu bezsilny i bezradny, nie mając możności ani

przyjść tym znękanym ludziom z pomocą, ani wybuchowi ich gniewu zapobiec. Nie widział absolutnie żadnego sposobu, mocą którego mógłby nurtującym wśród nich prądom przeciwdziałać i osłabić akcję, idącą z zewnątrz, propagowaną przez partję czarnych, na czele których stał Antoś.

Jedynym ratunkiem, który zdołałby odwrócić niebezpieczeństwo, było wyszukanie bezrobotnym zajęcia, co jednak z powodu zastoju w przemyśle było rzeczą niepodobną, widoków zaś na jakąkolwiek inną, choćby doraźną pomoc nie było stanowczo żadnych. Sytuacja przedstawiała się więc rozpaczliwie i doszła do napięcia, grożącego katastrofą. Uwijał się wśród wzburzonych, prosił, przedkładał, zaklinał, lecz prócz pustych słów pociechy nie potrafił niczego zaofiarować, co wpłynęłoby na uspokojenie, podczas gdy partja czarnych, nie przebierając w rzucanych hasłach, rosła w siłę i zyskiwała coraz większe wpływy. Czuł, że w najkrótszym czasie znajdzie się osamotniony i pozbawiony zaufania i wpływu, że z chwili na chwilę traci coraz więcej grunt pod nogami. Był nawet moment, kiedy pozycję uważał za beznadziejnie straconą i przez chwilę zwątpił już o wszystkiem, lecz niebezpieczeństwo zaostrzyło jego czujność i zdwoiło energję. Począł rozglądać się za jakiemś wyjściem z niebezpiecznej sytuacji i szukać sposobów rozwiązania kwestji. Zgłosił się do Ewy, u której od owego pamiętnego wieczoru codziennym bywał gościem, domagając się od niej pomocy. Za jej instancją ulokował znaczną część bezrobotnych w fabrykach jej ojca, inną zaś

partję umieścił za protekcją profesora w przedsiębiorstwach miejskich i prywatnych.

W ten sposób udało mu się chwilowo zażegnać niebezpieczeństwo i sparaliżować zabiegi czarnych, którzy, podnieceni poniesioną dotkliwą porażką, grozili zemstą, — niewykluczonem jednak było na przyszłość, iż nowa zerwie się burza, wobec której nie ostaną się niespokojne żywioły, rozkołysane w swych najniższych namiętnościach. Należało je tedy co prędzej opanować i ująć w karby, co osiągnąć można było przedewszystkiem przez zapewnienie znośnych warunków egzystencji. To pewne minimum, które bodaj z biedą wystarczałoby do życia, musiało stanowić punkt wyjścia dla uskutecznienia dalszych, rozległych planów. Tak rozumując, doszedł do przekonania, że, podejmując pracę około leczenia dusz bez zaspokojenia koniecznych potrzeb materjalnych, ponosił bezowocny trud i rzucał wysiłki w próżnię. Świeże doświadczenie pouczyło go, że błędną dotąd szedł drogą, bo najpierw należy odjąć robotnikowi troskę o chleb codzienny, a potem pomyśleć o jego duszy. Rodzice jego, których stawiał wydziałowym za przykład, nie mogli uchodzić za wzór, byli to bowiem ludzie wyjątkowi, którzy doskonale umieli borykać się z nędzą i opanowywać swe pragnienia, podczas gdy ogół niezdolny był wznieść się na te wyżyny cierpliwości, zaparcia i rezygnacji, powtóre; rodzice jego nigdy nie znaleźli się jednak w położeniu, w którem byliby pozbawieni środków do życia. Środki ich bywały nieraz skromne, nawet bardzo szczupłe, czy niewystarczające,

lecz nigdy ich nie brakło, podczas gdy ci, z którymi w „Zjednoczonej pracy" się zetknął, byli ich całkiem przez dłuższy czas pozbawieni. Kwestja, co byłby ojciec jego był począł, gdyby był znalazł się w podobnem położeniu? Jakkolwiekbądź rzeczy się miały, przecież jednak nieomylnym był fakt, iż ludzi ze „Zjednoczonej pracy" nie powinien był mierzyć miarą swych rodziców, a uczyniwszy to, popełnił błąd, który zgotował mu przykry zawód pierwszej nieudałej próby. Niemniej przeto nie dał za wygraną i postanowił dalej działać, rozumując, że przerwanie już podjętej pracy byłoby przekreśleniem wszystkich dotychczasowych wysiłków, które przecież, mimo wszystko, nie były widziane niechętnie. Lecz równolegle z pracą nad robotnikami zamierzył podjąć bezzwłocznie drugą akcję około zjednania i przekonania sfer posiadających o konieczności jak najszybszego ratunku. Przygotował dwie serje wykładów, z których jedna traktowała o doli robotnika, jego potrzebach i pragnieniach, o jego stosunku do kapitału i pracodawców, do społeczeństwa i całego narodu, druga o sposobach dźwigania dusz z upadku. W dwudziestu drobiazgowo obmyślanych wykładach miał dotknąć najżywotniejszych problemów i sięgnąć do nigdy niezagojonych ran, które organizm społeczny bez przerwy jątrzyły i zatruwały. Walną pomoc okazywała mu w tym względzie Ewa, która mocą swych szeroko rozgałęzionych stosunków zdołała zainteresować sporą garść najwybitniejszych przedstawicieli wielkiego przemysłu i handlu. Pobudki, dla których to czyniła, były

niewątpliwie natury czysto egoistycznej, lecz dla sprawy wydały rezultaty dodatnie, przez nią bowiem jak i przez osobiste zetknięcie się u niej z temi sferami mógł więcej zdziałać i osiągnąć, niż przez broszury, wykłady i artykuły, które stanowiły główny rdzeń jego pracy. Pisał je po całych nocach z uszczerbkiem dla nadwątlonego zdrowia, o które nie dbał. Noc spędzał przy biurku, dzień na wykładach, ćwiczeniach i lekcjach, wieczory rozdzielał między dzieci, Ewę i „Zjednoczoną pracę". Od świtu niemal do świtu stał u warsztatu, wykuwając ludziom lepszą dolę. W znojnym trudzie i bezgranicznem poświęceniu, w zapomnieniu o samym sobie i swoich potrzebach wiódł pracowite, twarde życie. Jedynem wytchnieniem były chwile, spędzane u Ewy, z którą sprawy posunęły się w międzyczasie znacznie naprzód. Szedł szybko ku ich ostatecznemu wyjaśnieniu w myśl pragnień Ewy, która finezją wyszukanych, namiętnych pieszczot, rozbudzeniem w nim pragnień nieprzepartej siły i swą wolą hartowną, niezłomnie narzucającą ściśle, określone granice i cele, owładnęła nim stanowczo i niepodzielnie. Dochodził tam, dokąd dojść nie zamierzał. Zbliżał się do ślubnego kobierca, wstępował na szafot, by złożyć głowę pod topór kobiecego kaprysu, a nici dzierżyła w swej dłoni Ewa, Stefan bowiem w stosunku do niej był człowiekiem pozbawionym woli, był niczem. Zjawisko zresztą nader powszechne, że mężczyzna, owładnięty przez kobietę, staje się w jej ręku idjotą.

Kochał ją! ach!... kochał!

Uległ nieznanej sobie dotąd potędze, która zwaliła się nań lawiną. Zrazu szamotał się z sobą, walczył i bronił, lecz wkońcu podał szyję w obrożę i legł jak pies u jej stóp.

Stanął u wrót, za któremi kryła się nieznana, tajemnicza przyszłość, przedstawiająca mu się w tej chwili jak cudna, barwna malowanka, w rzeczy samej bowiem rad był z tego obrotu sprawy, z którego najpomyślniejsze wróżył sobie horoskopy. Rzekomo badał jeszcze, analizował, rozważał i bacznie się rozglądał, dokąd zmierza, w istocie pędził przed się naoślep.

Bo nie uchylisz się popędowi, który tkwi w tobie z niezwalczoną mocą i serce nanizać musisz na znaczonych ci losów nić, której koniec dzierży nieznana ci, tajemnicza siła.

Małżeństwo z Ewą sprzyjało jego planom. Rokował sobie, że przez nią wejdzie w bliski kontakt z posiadającemi sferami, wżyje się w nie i dla swych celów pozyska. A widoki te, pełne najlepszych wróżb, zdawała się popierać sama Ewa które z całą gotowością objawiła chęć poparcia jego prac i zamysłów, dla których zawsze okazywała żywe zainteresowanie. Wspólnie z nim rozważała jego plany i niejednokrotnie służyła mu radą, zwłaszcza, kiedy chodziło o trafne ujęcie tematu, dla którego pragnął zjednać i zainteresować sfery posiadające. Była w tem niewątpliwie chęć przypodobania się Stefanowi, lecz w dużej mierze odegrała też rolę i szczera chęć niesienia mu pomocy w zamierzonem dziele, które w całości (choćby nawet miało się nie udać, czego

osobiście w głębi duszy była pewną) rzucało ciekawe i szczególne światło na jego nieprzeciętną duszę i stanowiło ten imponujący rys charakteru, który zaostrzył jej ciekawość, zainteresował ją i porwał, by w końcu uróść do rozmiarów czynnika, wiele stanowiącego o obojga ich losach. Z drugiej strony Stefan oceniał ważną rolę, jaką mogła Ewa odegrać w doprowadzeniu do pomyślnego skutku zamierzonego dzieła i okoliczność tę wśród wielu innych rzucił na szalę decyzji, którą już konkretnie powziął. Tak więc myśl zrodzona na podłożu obustronnych, gorących pragnień i wspólnych rzekomo ideji, miała niebawem znaleźć swoje urzeczywistnienie.

Okres przedświąteczny Bożego Narodzenia zastał go w gorączce zdwojonej pracy. Do zwykłych zajęć przybyły zabiegi około urządzenia publicznej składki na rzecz biednych dzieci oraz na bezrobotnych, którzy, przymierając głodem, tułali się po mieście w poszukiwaniu zajęcia. Do akcji, rozrzuconej gęstą siecią po mieście, wciągnął całą młodzież studjująca, z Łatkiem na czele, który, wbrew fałszywym przypuszczeniom Stefana, okazał się ponad spodziewaną miarę współczującym z nędzą i uczynnym. Łatek wyręczał go z całą gotowością we wszystkich czynnościach związanych z kwestą, których Stefan dla innych zajęć nie mógł doglądnąć. Niemałą zasługę w tym względzie położyła też i Ewa, która, ku podziwowi Stefana, zajęła się sprawą z taką gorliwością, jakby o jej własną chodziło. Od rana do wieczora objeżdżała znajomych, wyciskając z nich hojne na piękny cel datki. Cały dzień przelatywała uli-

ce, kontrolując sprawność karotujących. Wieczorem obchodziła w towarzystwie Stefana wszystkie teatry i kina, grosz spory wydobywając swą inteligencją i zalotnością. Dzięki też jej głównie sukces przedsięwzięcia był ogromny. Uzyskana gotówka pozwalała zaopatrzyć w środki do życia pozostałą jeszcze grupę bezrobotnych, dla których za staraniem Stefana, a pod dozorem i zarządem Ewy, otwarto w „Zjednoczonej pracy" bezpłatną kuchnię oraz stworzyć kurs wycinanek pod kierunkiem Łatka. Na kurs ten przyjęto najbiedniejsze dzieci, które zabrały się zrazu niedołężnie do pracy, w ciągu kilku dni jednak doszły do takiej wprawy, iż wycinanki znalazły się na rynku, przynosząc już pewne dochody, równo rozdzielane między małych pracowników.

Stefan, rad z dzieł dokonanych, coraz nowe snuł pomysły. Wszędzie obecny i czynny, zdawał się dwoić i troić. Nie było dla niego przeszkód, których nie potrafiłby usunąć, nie było trudności, których nie umiałby rozwiązać. Niespożyte wprost siły zdały się drzemać w tym nieugiętym, mocnym człowieku, który z niczego umiał tworzyć nieprawdopodobne dzieła, wykazując przytem niepospolity zmysł orjentacyjny i niedościgniony spryt. Kwestje, nad któremi każdy inny łamałby sobie głowę, rozwiązywał szybko i trafnie i każdy pomysł wprowadzał natychmiast w czyn. Błyskawiczną szybkością działania osiągał nadspodziewane rezultaty, wytrwałością i energją dochodził do celu.

W dzień wigilijny, idąc za tradycją przez matkę przekazaną, zawiesił wszystkie prace. Od wczesne-

go ranka objeżdżał dzielnice robotnicze, niosąc dzieciom w podarku gwiazdkowym ciepłą odzież, zakupioną za uzyskane kwestą fundusze. Między innemi zaszedł i do Antosia, który przyjął go mrukliwie i niechętnie.

— Precz z tem! nie chcę odzieży za burżujskie pieniądze! — ryczał, miotając odzieżą po ziemi — ochłapami chcą nam zatkać gęby!

Stefan słuchał wybuchów gniewu cierpliwie. Czuł, że przyjdzie niechybnie do ostatecznej, walnej między nimi rozprawy, stali bowiem na dwóch wprost przeciwnych biegunach, wykluczających wszelkie porozumienie. Rysa, która swego czasu ujawniła się na gmachu ich zażyłej przyjaźni, pogłębiła się po ostatniej klęsce czarnych i rozwarła w końcu przepaść przeciwieństw, które wiodły nieuchronnie do stanowczego zerwania. Stefan bolał szczerze nad tym stanem rzeczy, który pozbawiał go przyjaciela z lat dziecinnych i w ciągu kilku rozmów usiłował go przekonać i przeciągnąć na swą stronę lecz wszystkie wysiłki miażdżył Antoś argumentami, zdradzającymi niczem nieprzejednaną nienawiść.

— Słuchaj, Antosiu...

— Poszedł precz, podły zdrajco!

— Pomnij na naszą przyjaźń...

— Skończyła się chwała Bogu...

— Czy ci nie żal tych pięknych lat...

— Czego ty właściwie chcesz do djabła?

— Chcę jeszcze raz podać rękę do zgody.

— Na barykadach pomówimy o tem!

— Szalony człowieku...

— Dosyć! milcz!

— Pchasz siebie i drugich w nieszczęście...

— To moja rzecz! zabieraj te burżujskie łachy i wynoś się!

— Antosiu!... — szepnął przez łzy

— Idź precz!

— Więc chcesz, by rozstały się nasze drogi?

— Na zawsze!

— I niczego nie uczynisz, by sobie i mnie oszczędzić bólu rozstania?

— Ani palcem nie kiwnę.

Zadumał się Stefan niezmiernym ogarnięty żalem. Grzebał mogiłę uczuciu, które zrosło się z jego duszą, jak niemowlę z matką, noszone w jej łonie, wydzierał je z piersi i żegnał z serdecznym bólem i ze łzami w oczach.

— Czyż myślałbym kiedy... — począł złamany — że tak nam kiedyś rozejść się wypadnie? Nie wiem, jak ty, lecz ja odczuję twoją stratę głęboko, bo byłeś mi po ojcach moich pierwszym na świecie.

Antoś, odwrócony do okna, milczał zawzięcie, zapatrzony w śnieżną biel, co w blaskach słońca skrzyła się stu barwami.

— Stanie się, skoro tak chcesz — ciągnął Stefan — lecz wiedz, że nienawiścią, dla której naszą przyjaźń poświęcasz, niczego nie zbudujesz. Nienawiść gotuje zniszczenie, zagładę. W sercach ludzi siać trzeba miłość...

— Zwąchałeś się z popami!

— Bądź zdrów!...

Wyszedł, dźwigając ciężkie brzemię przytłacza-

jącego bólu. Pękło ostatnie ogniwo, wiążące go z przeszłością, która bezpowrotnie minęła, garść wspomnień w duszy zostawiając, niby prochy świętych, złożone w urnie. Na myśl o tem ogarnął go wielki, niezgłębiony smutek. Poczuł się nagle sam, rzucony w wir walk, których niewiadomy koniec krył się w nieznanej przyszłości. Szedł kędyś, coś czynił, działał, coś roił, snuł... niepewny wyników nadludzkich przedsięwzięć. I zdało mu się w tej chwili, że uległ jakiejś fatalnej złudzie, gotującej mu najboleśniejsze zawody, których nieprzejrzany pochód rozpoczął przyjaciel. Stracił go w imię i dla celów, których może nigdy w życiu nie osiągnie? może te cele są złudą, jak wszystko w życiu, jak samo życie? Skoro ostateczny cel, początek i koniec wszystkiego zawsze pozostaną rozumem ludzkim nieogarnione, nieznane, niewiadome? skoro życie ludzkie jest dla natury igraszką, jest liściem jednym z miljonów, który jesienią z drzewa opadnie? czy warto walczyć, zyskiwać i tracić, kusić się w trudzie o coś, co celu niema ni sensu?

Błąkał się samotny myślą po zwątpienia bezdrożach, gubiąc się w rozstroju nadszarpanych nerwów. Wlókł się wolno ze zwieszoną głową, rojną od rozgwaru chaotycznych, poplątanych myśli, uparcie dociekając celu ludzkich przeznaczeń. Napłynęły nań gromadnie myśli identycznie te same, jakie swego czasu matkę jego przed zgonem opadły: dokąd i poco? Gubił się w próżnych domysłach, szarpał w męce i szalał w beznadziejnem zwątpieniu. Czuł się śmiertelnie znużony. Pragnął spocząć, odejść na

zawsze, zasnuć się w wieczny spokój i ciszę, i wyjść poza życie, które z hukiem toczyło się wszystko miażdżącą falą ku nieznanym celom.

— Lecz skoro już istnieć musimy, skoro bez naszej woli zawitaliśmy na ten padół nędzy? — błysnęła nagle myśl otrzeźwienia — więc tak czynić trzeba, byśmy w tej wędrówce dusz nie zatracili, bo dusze będą zawsze w czas największej burzy pewnym drogowskazem, co od rozbicia uchroni.

Uspokoił się i wrócił na myśli swych utarte szlaki:

— Dobro drugich jest najwyższym celem — tem różni się człowiek od zwierzęcia!

Po nawalnej burzy radość rozsłoneczniła mu duszę, kiedy z rozbyśnięciem pierwszej gwiazdy na niebie znalazł się wśród dzieci przy czysto nakrytym, stole, strojnym w pachnącą zieleń. Tu, wśród radosnych, rozśmianych dzieci, gotujących się do wigilji, odsapnął i pełną piersią wchłaniał krzepiącą otuchę, która rychło rozproszyła ostatnie chmury. Tu w tym małym światku kipiało jasne, słoneczne życie, jakby litym oddzielone murem od tamtego ponurego, nurtującego mętną, wzburzoną falą. Wprawdzie i tu już chyłkiem prąd jego dotarł i w duszę Zośki muł naniósł, lecz w głębi było to życie czyste i piękne jak przeźroczysta tafla jeziora. Prócz skaz nielicznych, jaśniał ten cichy, sierocy domek czystością duszy anioła i skrzył się pogodą gwiazdami wyiskrzonej nocy.

Zapadł już wieczór, kłócący się z blaskiem jarzących świeczek na skromnej choince, zdobnej

w wycinanki. Dzieci czysto pomyte, starannie ubrane, ciekawe, radosne, zasiadły u stołu, na którym wnet pojawiła się jedna misa, pełna kaszy z suszonemi śliwkami, druga płatków z powidłami. Lecz nim przystąpiono do wspaniałej uczty, Teresa nabożnie uklękła przed obrazem Chrystusa a za nią szeregiem pochyliły się dzieci, do modlitwy złożywszy rączęta. Chórem odmawiały głośno pacierze.

Stefan stał w kącie izby z oczyma pełnemi łez. Nie mógł się oprzeć wspomnieniom, które piersią wstrząsnęły. Otóż przypomniał sobie swoje dziecinne lata, kiedy matka jego, kapłanka ogniska, wysunąwszy się na czoło, kornie słała modły do Boga, a wtórował jej basem ojciec i syn. Wszystkie szczegóły wieczoru wigilijnego z ich piękną prostotą nasunęły mu się przed oczy, nabrawszy takiej żywej siły wyrazu, jakby toczyły się właśnie w tej chwili. Więc najpierw modły, a potem łamanie opłatkiem, życzenia, skromna wieczerza, a potem kolędy chórem śpiewane przy dźwiękach harmonji.

Ileż w tem wszystkiem było prostoty, szczerości, ile pogody, otuchy, ile umiłowania piękna i prawdy!

A potem ojciec zapalał fajeczkę i snuł baje lub opowiadał o Chrystusie legendy, co w noc wigilijną chodzi po świecie i biednych do serca przygarnia.

Tkwił myślą serdeczną w niezapomnianej przeszłości.

— Gdzież to wszystko przepadło, przeminęło? Śmierć przecięła złotą nić miłości rodzinnej — zagasło ognisko, wypaliły się światła dusz jasnych,

czystych — ciemność zaległa i pustka zapadła, choć naokół roiły się twarze lecz obce, nieznane.

— Gdziekolwiek jesteście — słał niezapomnianym, ojcom westchnienie — cześć waszej pamięci, dostojne duchy!

Po skończonych pacierzach zasiedli wszyscy do stołu, starym obyczajem łamiąc się poprzednio opłatkiem.

— Moja Zosiu — odezwał się Stefan do Zośki— jesteś w gronie dzieci najstarszą i winnaś świecić dobrym przykładem. Bądź posłuszną, grzeczną i pilną. Zmartwiłbym się bardzo, gdybym się dowiedział, że nie jest tak, jak cię o to proszę. Czy przyrzekasz, Zosiu?

Ta Zośka była zawsze przedmiotem jego szczególniejszej troski, budząc poważne na przyszłość obawy. Nie umiał złemu zaradzić, a nawet nie miał możności przeciwdziałać, będąc pochłonięty nawałem pracy, prowadzonej w tylu różnych kierunkach. Zaabsorbowany myślami o dziele całego swego życia, nie spostrzegł, że dla braku czasu musi z konieczności wychowanie dzieci powierzyć Teresie, która uczciwie i sumiennie spełniała swoje obowiązki, lecz o tej arcytrudnej i delikatnej sztuce, jaką jest wychowanie, nie miała najmniejszego pojęcia. I jeśli chodziło o tę stronę życia sierot, to raczej stwierdzał szkodę, jaką Teresa wyrządzała, niż pożytek, który przynosiła, kierowała się bowiem w tym względzie wzorami, które czerpała z najniższych, grubo ciosanych środowisk. Mimo wielu du-

żych zalet, na wychowawczynię nie nadawała się żadną miarą, choćby tylko z tego powodu, iż za grosz nie miała w sobie umiejętności wczuwania się w nastroje duszy powierzonych sobie dzieci. Impulsywna, dość gwałtowna, szła za pierwszym odruchem namiętnego gniewu, wywołując przykre z Zośką zatargi, których ostatecznym rezultatem było obniżenie się jej autorytetu i coraz widoczniejsza utrata wpływu. Ten niepokojący stan rzeczy, który widocznie pogarszał się z dnia na dzień, co stwierdzał za każdorazową bytnością, kazał mu oglądać się za sposobami, przy pomocy których sprawy weszłyby na właściwe tory. A najważniejsza z pośród wszystkich kwestyj, które napawały, go ciągłą troską, był zupełny brak kontroli i wytężonej czujności nad szybko wzmagającemi się wadami Zośki, które otwierały obawę budzące horoskopy. Natura bujna, nieokiełznana, niesłychanie skomplikowana, nastręczała trudności wprost nieprawdopodobne, którym Stefan choćby dla braku czasu i doświadczenia nie mógł sprostać, a tem mniej nieinteligentna Teresa. Wszystko to poczęło się wikłać w splot okoliczności, które sprzyjały rozkwitowi zła, zagnieżdżonego drogą dziedzictwa w sercu dziewczęcia. Ratunek natychmiastowy okazał się konieczny, tem więcej, że młodsze dzieci niewątpliwie ulegały jej złemu wpływowi, lecz trudność niestety rozwiązania zawiłej tej kwestji leżała w braku środków materjalnych, dzięki którym możnaby dziecko oddać do zakładu wychowawczego. Gotówka uzyskana z kwesty rozpłynęła się na różne cele, skromne zaś fundusze Stefa-

na z trudem starczyły na utrzymanie jego własne i dzieci oraz na stałe wsparcie niewidomego, z którym zaprzyjaźnił się w czasie swej praktyki w fabryce. Poza tymi szczupłymi dochodami nie rozporządzał żadnemi źródłami, z których mógłby czerpać. Z tej więc strony rzecz rozważana przedstawiała się więcej niż rozpaczliwie, lecz i inna jeszcze okoliczność wpływała na zwłokę decyzji, a mianowicie ta, iż Stefan zasadniczo był przeciwny powierzaniu dzieci ludziom obcym. Teresa była mu oddawna znaną przyjaciółką jego matki, była uczciwą i zacną i jako taka dawała pełne gwarancje, że niepomyślny stan rzeczy wynika stanowczo nie z jej złej woli, lecz z nieświadomości. Był przekonany, że Teresa nie byłaby zdolną działać świadomie na niekorzyść lub szkodę dzieci. Do zakładów wychowawczych i szkół publicznych w zasadzie nie miał zaufania. Z swego życia studenckiego notował pewne bardzo przykre fakty, które uprawniały go do uzasadnionej nieufności. Gruboskórność, chamstwo i ignorancja pedagogów, udrapowanych w togi dostojników i myślicieli, puste łby i kacze mózgi budziły w nim wstręt. Ta miałka umysłowość „rzeźbiarzy" dusz, to gonienie za tanimi efektami, te wszystkie bengalskie rakiety rzekomo strasznie głębokiej wiedzy, podawanej z uroczystą miną kapłana, namaszczonego powagą, no... i bezdennem lenistwem (co w języku potocznym zwie się: jestem „zaorany"), te strącone z wyżyn „orły", skazane mocą metampsychozy (djabli ją tam wymyślili!) na dożywotnie uwięzienie w ciałach pospolitych kogutów,

którzy o sławnej przeszłości zapomnieć nie mogą... to wszystko usposabiało go jak najnieprzychylniej.

Ważył to wszystko, siedząc z dziećmi przy wigilijnym stole. Przebiegał wylękłym wzrokiem ich radosne twarze i wzdrygał się na myśl, ile zła kryć się może w ich duszach i ile wybuja z nich wstrząsających tragedyj, w które uwikłają siebie i drugich.

— Dusza ludzka — dumał — jest jak morze, czegóż na brzeg nie wyrzuci? co kryje się w przepastnem jej łonie? i jakie sypać groble, by zapobiec niszczącemu wylewowi? czem karmić te dusze? jakie stosować metody, skoro każda dusza inna, niby nam znana, a całkiem obca? Dla jednej — to, a dla drugiej — tamto stanowi środek leczniczy (w szkole jest to wszystko jedno, zbyt są „zaorani", by mieli czas indywidualizować), co dla jednej — ratunkiem, dla drugiej jest śmiercią...

Wpadł w matnię skomplikowanych problemów, z której nie mógł znaleźć wyjścia.

O! wychowanie, ty, sztuko wielka i tajemnicza, ty rzeźbisz dusze i wykuwasz dzieje! od ciebie zależą losy świata! (dlatego pedagogowie są tak marni i przeciętni!).

Ustąpił z pola, uciekł, stchórzył — nie czuł się na siłach sięgnąć do niezgłębionych tajni wychowawczego problemu. Postanowił tylko na razie zdwoić czujność i instynktem kierować się w wyborze metod i środków.

— Matka moja — zakonkludował — z pewnością tak nie filozofowała, jak ja, a jednak...

— Tak, pewnie — nasunęły się wątpliwości —

lecz mogło też być inaczej, bo dusza ludzka to morze... olbrzymi, bezkresny, tajemniczy świat nieprzeliczonych, nieprzebranych możliwośei, z których każda kryje w sobie piorun zniszczenia lub źródło łaski.

Wstał zmęczony znojnym trudem zmagania się z myśli burzą. Zośkę pogłaskał, spojrzał jej w oczy, dzieci kolejno wszystkie do piersi przycisnął i szybko, wyszedł, ścigany niewytłumaczoną trwogą o losy tych przyszłych ludzi. Radby ich uczynić wolnymi, o duszach czystych i wielkich... lecz jest coś — myślał — co często trud próżnym czyni. Przypomniał sobie słowa profesora Szelskiego: „nieraz zdawało mi się, że wychowałem człowieka, gdy nagle wyłaził z mego pupila potworny zwierz, który chyżo popędził do błota".

— Czyżby miał słuszność? — drgnął nagle.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy, przypadek, który tak ciężko na losach ludzi waży, starać się będę ograniczyć do minimum...

I cały szereg środków zaradczych obmyślał, które go miały zawieść do celu. W każdym bądź razie jednej doznawał w tem wszystkiem pociechy, że dzieci uratował od głodowej śmierci i na ich licach wykrzesał radość. Wśród tysiąca myśli panurych i mrocznych ta myśl była mu jasną przewodnią gwiazdą, w ślad której postanowił iść dalej wytrwale.

Resztę wieczoru spędził u Ewy, wstąpiwszy poprzednio do „Zjednoczonej pracy", gdzie zgromadził na wieczerzę wigilijną wszystkich bezdomnych

i biednych. Wśród przybyłych zauważył kilku zwolenników Antosia.

— Łamią się szeregi — pomyślał z radością i podszedł ku nim, by sercem okazanem zwieść ich z wyboistych bezdroży.

— Proszę, siadajcie panowie do stołu i spożyjcie z nami skromną wieczerzę. Ubogo tu jest, lecz pogodnie. Serdecznie jesteśmy wam radzi i jeśli tylko wasza wola, będziecie nam zawsze miłymi gośćmi.

U Ewy rozstrzygnęły się ostatecznie jego losy. Rzucił kości i stosownie do życzenia Ewy, dokonał ceremonji oświadczyn, choć do niej z trudnością się nagiął. Moment ten sprowokowała Ewa, oświadczając, iż ojciec jej domaga się stanowczo wyjaśnienia ich stosunku.

— I ma słuszność — dodała — ludzie biorą mnie na języki...

— Cóż z tego?

— Dla ciebie — zapewne! — dla ciebie to bagatela, lecz dla mnie...

— Słuszności twego życzenia bynajmniej nie kwestjonuję, owszem uznaję i dziś stanie mu się zadość.

— Ach! Stefku! doprawdy? oświadczysz się o mnie?

— Czy mogłaś wątpić, moja Ewo?

— Ach! jakżeż się cieszę!

Wszedł dostojny papa w nimbie chwały i dumy.

— Pierwszy raz podobno — cedził przez zęby — mam przyjemność...

— Nie miałem nigdy dotąd szczęścia...

— Tysiące zajęć... proszę, racz pan spocząć.

Podał mu dwa palce, krzywił się, nadymał nie kryjąc ani pewnej wyniosłości ani niechęci, trzymanej jednak mocno na wodzy wzrokiem Ewy, która na godzinę przed przybyciem Stefana stoczyła z nim bój ostatni, zażarty, papa bowiem, pan na kilku fabrykach i wioskach, zamiarom Ewy stanowczo był przeciwny. Toczyły się o to między nimi walki namiętne, zakończone ostatecznie pełnym tryumfem Ewy, która jasno postawiła kwestję, krótko oświadczając, iż za zgodą lub bez zgody rodziców należeć będzie do Stefana. Złożył broń dostojny pan wobec siły takiego argumentu, lecz dwa wysunął warunki:

— Niechże się lepiej ubiera — strzepnął z pogardliwym grymasem palcami — no i koniecznie, ale to koniecznie, sama Ewciu rozumiesz, niech zaniecha tych socjalistycznych agitacyj. Przecież byłoby to dla nas kompromitacją, gdyby twój mąż... Nie po myśli mi to wszystko, bo całkiem inaczej sobie układałem...

— Papusiu! — rzuciła mu się na szyję, zamykając pocałunkiem usta.

— Dobrze to wszystko, moje dziecko, idź już za niego, skoro tak chcesz, lecz, jeśli kiedy co wypadnie, pamiętaj, że sama ponosisz winę...

Toczyły się te zawzięte dyskusje, przeplatane wzajemnem sobie schlebianiem i pieszczotami, aż wreszcie dojrzały i doprowadziły do zgody. Po wypowiedzeniu przez Stefana sakramentalnej formułki, nadającej tytuł i charakter narzeczonego, zabrał głos papa:

— Zgodnie z życzeniami Ewusi przyjmuję pańskie oświadczenie do wiadomości, lecz muszę stanowczo uczynić jedno zastrzeżenie: musi pan bezwarunkowo zaniechać tych socjalistycznych agitacyj...

— Agitacyj? — nie rozumiem.

— No, te wszystkie jakieś fantastyczne, z mego stanowiska niedopuszczalne poczynania, które kontynuowane przez pana w charakterze mego zięcia, okryłaby mnie śmiesznością i podważyłyby mój autorytet. Nie na to, proszę pana, pracowałem całe życie, abym pozwolił panu pozbawić się owoców mej pracy.

Powiedział to szorstko, twardo, cisnął poprostu w twarz.

— Ależ papo... — wtrąciła Ewa.

— Moja Ewuś — albo, albo...

— Przecież, papuś, mówiłam ci...

— Co ty mi mówiłaś, to bez znaczenia, ja muszę mieć od twego narzeczonego uroczyste w tej mierze przyrzeczenie.

— A ja go odmawiam — odparował ostro i stanowczo Stefan.

— W takim razie...—podniósł się papa z krzesła i skłonił z przesadną dystynkcją o lekkiem zabarwieniu lekceważenia i pogardy.

— Papuś... papuś... — nalegała Ewa.

— Proszę cię, tylko bez dyskusji — odrzekł sucho i wyszedł.

Ewa wybuchnęła płaczem, potem prosiła, nalegała, lecz Stefan okazał się hardym i nieustępliwym.

— Więc czemu kłamałeś mi miłość?

— Kłamałem?

— No, skoro nie chcesz dla naszego szczęścia uczynić żadnego ustępstwa...

— Podobnych ustępstw nikt nie ma prawa odemnie żądać — dzieło mego życia jest mi droższe ponad wszystko!

— Rozumie się! nawet ja! — ach! jaki ty jesteś podły!

— Ewo!

— Tak, podły jesteś!

— Dość wcześnie szafujesz epitetami, których nie zniosę.

— Jak ci się podoba!

Cisnęła się zadąsana w fotel. Stefan świdrował ją przenikliwym wzrokiem. Był to ten nagły, jeden rzut oka, który na chwilę pozwala zajrzeć na dno duszy.

Wstrząsnął nim dreszcz złowrogich przeczuć. Jakby ujrzał ją w innej, nigdy niewidzianej szacie, o innej, całkiem obcej twarzy, jakby nagły błysk rozświetlił ciemnię i cisnął migotliwy refleks na rojowisko potwornych, pełzających gadów, skłębionych gromadnie w cuchnące oślizgłych ciał zwoje.

Uląkł się i na chwilę zachwiał się w swem postanowieniu, ogarnięty dziwnym lękiem. Jakiś nowy stan uczuć zrodził się w nim nagle, jakby nowe, obce w jego ciele powstało ciało, co cuchnie czemś, czem się brzydził, czem gardził. Ten nagły wybuch jej gniewu był jakby iskrą, co przebiegnie elektryczne zwoje, był pobudką zagraną na alarm, był me-

teorem, co przepadnie w przestworzu, wróżąc nieszczęście.

Długo patrzył zdumiony, w oczach błąkało się rozczarowanie.

— Więc byłaby zdolna?

Ach! do czego kobieta nie jest zdolna! Jakiż repertuar jej obfity, ileż zmieni masek, ile wyczaruje uczuć, a ile ich zgasi? ile odgrać potrafi komedyj, jak umie kwilić i odzież w pasji szarpać w strzępy!

Ewa burzyła się w sobie, gniew miotał nią, jak wicher nędzną barką, lecz od czegóż maska?

Zorjentowała się w wyrazie wielkich, szerokootwartych, zdumionych jego oczu i do ust mu przypadła, miażdżąc je pocałunkami i pieszczotami zmysły zapalając pożogą.

Ocknął się, obudził jak zwierz napastliwy, kiedy wieczorem z legowiska się dźwignie i po łup rusza, i przywarł do niej potężnie w płomiennym uścisku. Czuł na swych piersiach jej krągłe piersi i gorące jej usta na spragnionych ustach. Kołysali się w namiętności żarze.

— Puść! dość! — padła bezwładna na fotel.

Cały świat, zdało mu się, stanął w płomieniach — tam na fotelu leżała w niedbałej pozie kusząca Ewa.

— Kochasz mnie?

— Do szaleństwa! — ryknął; padł jej do nóg i ustami wrył się w jej śnieżne piersi.

— Słuchaj, stracisz mnie, jeśli ojcu nie przyrzekniesz.

— Ewuś! żądasz niemożliwych rzeczy... niepodobna!

Zwarł się w sobie, gotowy mimo wszystko stawić opór.

— Ja tego nie żądam, ja tylko proszę, abyś przyrzekł, póki nie będę twoją, potem będziesz robił, co zechcesz — dobrze?

— Kłamstwo!

— Cóż to szkodzi? tam, gdzie gra o szczęście...

— Więc i kłamać umie! — pomyślał.

Był to drugi nieomylny znak, wróżący klęskę, jeszcze jeden moment na gorąco pochwycony. Niestety przesunął się cicho jak cień i przepadł w piekle rozszalałych zmysłów.

— Dobrze! — rzekł.

Ruszyli do ojca. I nowe poczęli życie od kłamstwa.

Wyszedłszy późną porą od Ewy, rozważał to wszystko, co przeżył.

Ileż uczuć przewinęło się w ciągu tych kilku godzin przez jego duszę! Zanalizowawszy je, przyszedł do przekonania, że właściwie wszystkie były przykre. Rozstanie się z Antosiem, lęk o budzące obawę złe instynkty Zośki, wspomnienia z lat dziecinnych, wywołane wieczorem wigilijnym, który obudził w nim świadomość osamotnienia, scena z Ewą... Ta ostatnia zwłaszcza, rozważana na zimno, uwypukliła dwie bardzo niesympatyczne cechy Ewy, skłonność do gwatownych wybuchów gniewu i kłamstwa. W podnieconej atmosferze rozżarzonych zmysłów zatracały się i nikły, gubiąc się w roz-

kołysanej toni nieprzepartych pragnień, lecz przepuszczone przez pryzmat zimnej reflcksji, nabierały siły i wyrazu, który oświetlał Ewę z nieznanej mu dotąd strony, budził podejrzenie i napawał lękiem. Do tej pory, prócz raczej śmiesznych niż złych upodobań czy nawyczek, nie stwierdził niczego, co mogłoby budzić na przyszłość obawy; ujemne cechy natomiast, które dzisiaj podchwycił, były zasadnicze i ważne, dawały dużo do myślenia i mogły nawet stanowić o całem dalszem jego życiu. Nie miał co do tego żadnej wątpliwości, że kłamstwo jest początkiem wszelkiego zła, bo człowiek zdolny dopuścić się kłamstwa, zdolny jest popełnić każdą zbrodnię. Fakt kłamstwa, podsuniętego mu z całym cynizmem przez Ewę, wbił mu się klinem w mózg, który począł pracować niby maszyna, wydobywająca piasek z dna rzeki. Wywlekał szczegół po szczególe, przeglądał je, rozkładał, ważył, w jedną całość układał i wizerunek duszy Ewy odtwarzał. Ostatecznie sąd wypadł niekorzystnie, a zimny rozum, sędzia sprawiedliwy, zaraz skwapliwie ferował wyrok.

— Cofnij się, póki czas — podsuwał mu rozum myśl—jutro może być zapóźno. Konsekwencje lekkomyślnego kroku mogą być nieobliczalne.

Podejrzenie, obawa, lęk ruszyły tłumnie w bój z rozumem na czele, tumult podnosząc i szczękając orężem. Zwycięstwo szło za nimi w trop i zdało się na korzyść rozumu przeważać szalę, lecz oto nagle miłość wystąpiła w szranki i jednem skinieniem powaliła wrogów, którzy sromotnie pobici pierzchli z pola bitwy. Miłość lica swego żarem

i skrzydeł swych blaskiem pogrążyła w nicość „nędzny" rozum, co zuchwale się ważył bunt podnieść i marzyć o podboju. Wypełzał z swych jam i śmiał stawić czoło miłości — królowej!

Zdeptany legł kornie u jej stóp i wlókł się za jej zwycięskim rydwanem.

O! jakże przemożną jest miłości siła! któż jej się oprze i kto ją zwycięży?

Do późna w nocy dumał Stefan nad nowem położeniem rzeczy, które zbudował na kłamstwie. Coś mu szeptało z chichotem szyderstwa, że pałac buduje na ruchomych piaskach. Lecz znowu miłość, sypiąc z kosza pieściwą dłonią czarowne kwiecie, oślepiła go barw płonącym szkarłatem i odurzyła wonią upojną.

Legł na spoczynek, a miłość u wezgłowia pilnie czuwając, przykre rozpraszała myśli.

* * *

W ciągu świąt przygotował do druku artykuły, które zamierzał umieścić w pismach jako wstęp do wykładów. Streszczał w nich cele i wytyczał program. Żywo i dobitnie przedstawiał dolę robotnika, dla której domagał się zrozumienia i której nieodzowne a rychłe poprawienie podawał za obowiązek szerokiego ogółu zamożnych, żyjących z pracy robotnika. Całość utrzymania była w tonie zrównoważonym, spokojnym i miała charakter raczej informacyjny, niż agresywny.

Niestety we wszystkich pismach, do których się zwrócił, spotkał się z odmową. Dla różnych zmyślo-

nych powodów, podanych w formie oschłej, wyniosłej, najczęściej chamskiej, wzdragano się je przyjąć. Przy tej sposobności dopiero po raz pierwszy miał możność przekonania się, jak wielką jest potęga a równocześnie i głupota prasy, gdzie byle pismak i nieuk wyrokuje o najdonioślejszych zagadnieniach, nie mając o nich wyobrażenia i w sposób decydujący wpływa na urobienie publicznej opinji. Bezczelna ignoracja i butna pewność siebie są niestety właściwościami olbrzymiej większości tych ludzi. Pierwsze zetknięcie się z nimi otworzyło mu oczy i nasunęło konieczne przekonanie, że prasa, nie okazująca zrozumienia i zainteresowania dla problemów, poruszonych przez niego w jego artykułach, składa oczywisty dowód swego niemowlęctwa z jednej i pyszałkowatości z drugiej strony. „Tylko my coś o tem wiemy i tylko my coś o tem możemy napisać" — rzekł mu pewien redaktor, mierząc go wyniośle od stóp do głów. „Na razie zaś — uczynił Stefan szyderczą uwagę — ograniczamy się do partyjnego jątrzenia i rzucania oszczerstw na wszystkich sobie niewygodnych. Marna to prasa, iście w powijakach, które takie tylko wytknie sobie cele i w kółko drepta w tem błotku".

Z przykrością stwierdził, że prasa nie stoi niestety na wysokości swego zadania, czego codziennie składała dowody w artykułach, które od czasu do czasu przerzucał. Blaga i nieuctwo z nich wyzierały, plugawe oszczerstwo, albo banalność i głupstwo snuły się po szpaltach. Nie miał dość słów oburzenia, opuszczając progi każdej z redakcyj.

Prasa ma szczytne i piękne, wychowawcze zadanie, lecz musi spoczywać w ręku ludzi zdolnych i mądrych, którzy każde zjawisko rozpatrzą sumiennie i uczciwie. Prasa, która tylko jątrzy i sieje nienawiść, godną jest, by jej zakneblować usta i pozbawić ją praw, które sobie uzurpuje, wspierać natomiast należy tę, która krzewi oświatę, budzi obywatelskie poczucie obowiązku i wskazuje drogi do najwyższych celów, jakimi są potęga i chwała ojczyzny i dobro ogółu.

Miał dla tych pismaków, tępych jak pień, nadętych jak żaba, pogardę i wstręt.

— Nawóz wam wozić, moi panowie — cisnał jednemu — i worki nosić, a nie imać się pióra, które nigdy w waszem ręku znaleźć się nie powinno.

— Motykę wam do ręki — pienił się — i kartofle kopać, skoro tego nie rozumiecie, iż najwyższych zagadnień, jakiem jest problem robotniczy, nie-wolno wciskać w ramy partyjnych przywidzeń. Robotnik nie śmie być przedmiotem partyjnych targów, lecz jest tą okaleczoną, nadwątloną siłą narodu, której sercem okazanem trzeba wrócić zdrowie, bo zdrowie, jędrność i tężyzna robotnika, to zdrowie narodu!

Zmieszał się pan redaktor, poczerwieniał z pasji i próbował z wysokiego redaktorskiego stolca coś pleść, lecz Stefan machnął pogardliwie ręką i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Wykłady rozpoczął zaraz po świętach. W pierwszej serji omówił szczegółowo położenie robotnika, który, mimo ciężkiej pracy, nie potrafi z skąpego za-

robku utrzymać rodziny i żyje w nędzy, wiodącej do upadku moralnego, do występków i zbrodni.

— Chcemy mieć robotnika zdrowego moralnie — mówił — starajmy się o jego dobro materjalne. Na mocy swej ciężkiej i znojnej pracy, z której ciągniemy zyski, zapewniające nam zbytkowne życie, ma prawo żądać, by nie cierpiał nędzy i na starość, kiedy siły odmówią mu posłuszeństwa, nie był zmuszony żebrać. Zarzuty, które często podnosi się przeciw robotnikowi, iż leni się i minimalną wykazuje wydajność pracy, nie wytrzymują krytyki z tej prostej racji, iż pracy wydajnej żądać mamy prawo tylko wtedy, jeśli tę pracę należycie nagrodzimy, co czyniąc, stworzymy warunki, wśród których praca nie będzie mu ciężkiem jarzmem, lecz radością. Jeśli praca jego, choćby najintensywniejsza, przynosi mu w sam raz tyle, że dzieci jego chodzą obdarte i głód cierpią, to nie dziwmy się, że pracuje tylko tyle, ile musi. Jeśli będzie miał pewność, że praca jego zapewni mu spokojne życie, nie będzie się lenił.

Na dowód tej prawdy przytoczył szczegóły z życia robotników w Anglji, Ameryce i Australji, gdzie robotnik pracuje bardzo ciężko, lecz też i dużo zarabia.

— Mówi się zawsze — ciągnął — że robotnik tylko w kraju uchyla się od pracy, w Ameryce zaś staje się pracownikiem pierwszorzędnej wartości. Zagadka to nie tak trudna do rozwiązania: regulatorem wydajności pracy jest otrzymywana płaca. Wysokość jej rozwiązuje cały problem, który zre-

sztą streszcza się w maksymie: płacę i żądam, lecz nigdy: żądam a nie płacę, albo płacę tylko tyle, byś nie zdechł z głodu. Takie postawienie kwestji musi wydać te rezultaty, których jesteśmy świadkami. Nędza materjalna i upadek moralny, a temsamem podkopanie siły warstwy społecznej, stanowiącej walną część narodu, są zjawiskami, które budzić muszą trwogę. I tylko ślepy lub zacietrzewiony fakt ten może przeoczyć. Toż i koniowi odbierzcie jego rację lub mu ją zmniejszcie, a wkrótce utraci siły i przestanie na was pracować. Robotnik i chłop, to fundamenty narodu, jego zdrowia, mocy i jego przyszłości, więc pielęgnować ich trzeba i szczególniejszą otoczyć opieką, a skoro tak się rzecz ma — a temu chyba nikt nie zaprzeczy — to czas już nareszcie pomyśleć o ich losie serdecznie, czas już przełamać w sobie tę ku nim grzeszną i zabójczą niechęć. Okażcie im serce, a skoro serca odruchy tłumicie, niech rozum i zdrowa racja stanu do was przemówi. Gdyby więcej niż trzy ćwierci ornej ziemi kraju leżało odłogiem, zginęlibyśmy z głodu — chłop i robotnik to też więcej niż trzy ćwierci ornej ziemi, której nikt nie uprawia, a raczej uprawia ją każdy, kto chce i jak mu się podoba. Stąd wysnuwa się wniosek, którego chyba nikomu tu z nas zebranych podsuwać nie potrzebuję.

Były to rzeczy niewątpliwie wszystkim dobrze znane, lecz każdy przechodził nad niemi do porządku dziennego albo z lekkomyślności albo z zacietrzewienia. Tu sprawy, te przedstawione przez Stefana objektywnie i spokojnie, rozpatrywane nie pod par-

tyjnym kątem widzenia lub demagoga, pragnącego jątrzyć, by w wzburzonej i mętnej wodzie łowić złote rybki, uderzały w oczy i robiły potężne wrażenie.

— Kiedy po śmierci Ballanca w roku 1893 — mówił — objął w Australji ster rządów prezydent ministrów Seddon, pisał do niego stary lord Grey:

„Poczynaj z Bogiem i działaj dla dobra jego stworzeń. Co tylko ktoś inny może powiedzieć albo uczynić, dla ciebie jest to zabawką. Myśl o miljonach twoich współobywateli i o Stwórcy. Bądź dzielny, szlachetny, pozbawiony wszelkiego egoizmu i zdecydowany tam, gdzie chodzić będzie o to, by coś dobrego dla nich uczynić. Zanim podejmiesz działanie, rozważ je, bo wszystko, co czynić będziesz, musi zmierzać do dobra ogółu" [8]).

— I Seddon usłuchał rady Greya i zadanie, którego spełnienie uważał za cel swego życia, streścił w następujących słowach — czytał Stefan — „there is much talk of men being Radicals, Conservatives, Socialists and Liberals. I am none of these. I am humanist. Jestem człowiekiem i chcę poprawić dolę ludu, chcę mu życie opromienić nadzieją, radością, chcę dbać o jego dobro, dźwignąć go społecznie, moralnie i materjalnie".

— Ileż w tych słowach, prostych a serdecznych — ciągnął Stefan — kryje się szlachetności uczuć i prostego, uczciwego serca: „jestem człowiekiem".

---

[8]) Australien in Politik, Wirtschaft und Kultur von Robert Schachner, Jena, 1909.

— Bądźmy i my ludźmi — apelował gorąco — i zrozummy tę prostą prawdę, iż wszyscy mają równe prawo do życia. Skoro ja roszczę sobie to prawo, nic albo niewiele pracując, to tem większe prawo rościć sobie może ten, który na mnie pracuje. Nie odmawiajmy mu tego prawa, o które sami walczymy, nie skąpmy tego, czego sami pragniemy: radości życia. Jakże łatwo mu ją stworzyć, zapewniając mu dostateczne a wcale niewygórowane korzyści materjalne, dajmy mu za jego pracę nie to, co dać nam się podoba, lecz to, co mu się należy i co nam dyktuje sumienie i miłość bliźniego, a duszę jego napełnimy radością, życie opromienimy mu słońcem, zyskamy jego wdzięczność i zamkniemy mu drogi do zła, w którem dziś, pogrążony w nędzy materjalnej i moralnej, po szyję się nurza, szukając w niem zapomnienia.

O! jakże wdzięczne i piękne leży przed nami zadanie, którego jednak spełnienie nie może być przedmiotem naszej dobrej woli, lecz jest naszym koniecznym, nieodzownym i najważniejszym obowiązkiem. Odpowiedzialność na nas ciąży wobec potomnych ogromna, biada! gdybyśmy chcieli ją z siebie zrzucić!

Przytoczyć cyfry, fakty i daty, wspomniał, nie wymieniając nazwisk, o losie sierot, pozostających po Silniku, który na stanowisku zginął śmiercią tragiczną, o swym niewidomym przyjacielu, o rodzeństwie Antosia, który, pozbawiony pracy, wpadł w odmęt zła i znalazł się nad przepaścią; domagał się ubezpieczenia robotnika na starość, jego rodziny na

wypadek jego śmierci lub przypadku, który pozbawi go zdolności do pracy, opieki nad bezrobotnymi i bezdomnymi, ochrony robotnicy w okresie macierzyństwa i t. d.

— Projekty te moje — mówił — nie są nowe, są one już znane i gotowe, lecz dotąd niestety pozostały projektami. Nie w tem jednak rzecz, by rzucać pomysły nowe, które znowu miałyby pozostać w sferze pomysłów, lecz w tem leży sedno rzeczy, by to, co dobre, co konieczne, wprowadzić, nie zwlekając ni chwili, natychmiast w czyn, bo nikt nie przypuszczałby, ile zła rodzi się w każdym dniu, któremu pozwolimy upłynąć, nie dokonawszy zamierzonych, zbawiennych dzieł. Tu i ówdzie podejmuje się nawet i jakiś w tej mierze czyn, buduje się ochronki, przytułki i t. p., lecz są to naogół wypadki sporadyczne, są niczem w porównaniu do potrzeb, a jeszcze więcej w stosunku do posiadanych a chciwie w sakwach ściskanych środków. Budowane wreszcie ochronki czy przytułki nie zapobiegną złemu — kres położyć nędzy, która źródłem jest wszelkiego zła, może tylko należycie, sumiennie i uczciwie unormowana płaca.

W pierwszych pięciu wykładach pierwszej serji omówił położenie materjalne robotnika, w drugich pięciu wyłuszczył swoje poglądy na jego stronę moralno-duchową.

— Duch w nim nędzny — mówił — bo i ciało jego nędzne, od zarania głodem zżarte. Nie jest nieuzasadnionem stare przysłowie: w zdrowem ciele zdrowy duch. Nie szukajmy jednak w robotniku zdro-

wego ducha, skoro, mimo dostatku, w sobie samych go nie znajdujemy, gdyby bowiem był w nas ten zdrowy duch, nie ścierpiclibyśmy, by bliźni nasi żyli w tej strasznej nędzy, jaka nam co chwilę na oczy się nasuwa, a która wszędzie nas ściga jak ponure widmo, w towarzystwie niestety zbrodni i występku. Zanikł w nas, zda się, ten zdrowy duch, skoro spokojnie na to patrzymy i sumienia nasze zetlały na nice w egoizmu otchłani, skoro z tą nędzą materjalną i moralną nie współczujemy i niczego właściwie nie czynimy, albo też bardzo niewiele, by jej przeciwdziałać. Milczenie naszych sumień jest sygnałem na alarm, byśmy co rychlej ratowali nasze własne, wybladłe, w upadku pogrążone dusze — o sposobach ratunku pomówię w następnej serji moich wykładów — i o duszach drugich, tych upośledzonych, zapomnianych, szczerze i serdecznie pomyśleli.

— Weźmy się więc ochotnie do tej pięknej i wdzięcznej pracy, poczynając od zapewnienia robotnikowi spokojnego materjalnego bytu, a potem zastosujmy do duszy jego skuteczne leki. Próbowałem to czynić w „Zjednoczonej pracy", lecz słusznie mi powiedziano: zamiast o cnotach nam prawić, daj nam pan jeść. I trudno słuszności tego żądania zaprzeczyć. Lecz jedno przy tej sposobności uczyniłem radosne spostrzeżenie, którem muszę się tu z państwem podzielić, a mianowicie, że robotnik na punkcie chęci odbierania wrażeń nietylko tych płaskich, niskich, lecz tchnących pięknem, nie jest tak obojętny i tępy, jakby się zdawało. Znajdziesz i doszukasz się w nim duszy, łaknącej czegoś lepszego,

czegoś piękniejszego niż to, czem dotychczas oddychał i żył; jest w nim pragnienie za czemś, co zgoła jest odmienne od tego, co mu nędzne jego życie niesię; dopatrzysz się w nim tej iskierki boskiej duszy, którą jeno rozdmuchać i rozżarzyć trzeba. Odejmijcie mu troskę o chleb codzienny, dajcie mu godziwe rozrywki, dajcie mu teatr, widowiska, czytelnie, ogrody i domy ludowe, idźcie do niego z odczytami, pogadankami, wykładami, sięgnijcie do serca, ale też i dajcie serca, zajmijcie się nim bez zastrzeżeń gorąco i szczerze, a znajdziecie, że taka sama to dusza, jak wasza, że tak samo jak w waszej zmaga się w niej dobro ze złem. Lecz wy macie możność obronienia się złemu — wasza rzecz, że bronić się nie chcecie lub nie umiecie — on zaś, nie posiadając tych środków, któremi wy rozporządzacie, pozbawiony jest tej możności, i ciemnym będąc, brnie w złem coraz dalej, aż zwyrodnieje i zwierzęciem się stanie. Wówczas nim gardzicie i odsuwacie się od niego ze wstrętem, niepomni, że wasza to wina.

— Mówi się zawsze — gromił sine ira et studio — że robotnik to bydlę, które niczego nie pragnie prócz wódki, lecz nie zapominajcie, moi państwo, że wódka dla niego jest tem, czem dla was bal, jest oszołomieniem się, złudą, szukaniem zapomnienia o tem, co nas boli, o tem, czego pragniemy a czego posiąść nie możemy, a dalej nie spuszczajcie i tego z oczu, że, znalazłszy się w jego położeniu, kto wie, czy nie bylibyście od niego gorszymi. Sprowadza się to wszystko do tego — kończył wywody — że odpowiedzialność i wina za robotnika upadek moral-

ny spada wyłącznie na nas, bo my, jak ci starsi bracia, którym los uśmiechnął się w znaczeniu materjalnem i dał nam środki, winniśmy służyć młodszym naszym braciom radą i pomocą w znaczeniu materjalnem i moralnem. Nie powołujemy się, chcąc oszukać nasze sumienie, na pewne datki jałmużny, któreśmy rzekomo ofiarnie złożyli, i nie wyliczajmy naszych rzekomych zasług na polu kulturalno-oświatowem, bo to, cośmy uczynili, jest okruchem, jest niczem tak w stosunku do naszych środków, jak i w stosunku do potrzeb. Tu jest konieczną praca ciągła, trwała, ofiarna, chęć szczera, serdeczna, nigdy niewystygła, akcja ujęta w szerokie ramy, skupiona w pilnem i czułem ręku całej inteligentnej i zamożnej sfery społeczeństwa i całego państwa, z rządem na czele. Dopiero wówczas, kiedy ta akcja potoczy się szerokiem, rozlewnem i ciągłem korytem, wartkim, huczącym nurtem, kiedy wszyscy zakaszą rękawy i staną u warsztatu pracy nad bliźnim, dźwigną się ich dusze z upadku, a przez to i nasze własne. Wówczas przyjdzie to trzecie państwo, o którem mówi Ibsen w „Kaiser und Galiläer", państwo piękna i prawdy, o którem marzył Krasiński i Szyller i inni poeci i myśliciele.

Wykłady niestety padły w próżnię, nie zrobiły wrażenia, którego się po nich spodziewał. Miały się więc nadal rzeczy wlec leniwym, gnuśnym biegiem, wiodącym nad przepaść. Stało się to, czego się zawsze obawiał, co czasem przeczuwał: nie zdołał dotrzeć do ludzkich serc, nie potrafił zedrzeć z dusz tynku egoizmu, wyłusknąć zdrowego jądra,

trącić strun, które uderzone, wydałyby oddźwięk miłosierdzia i miłości bliźniego. Jeszcze kilka dni czekał, jeszcze żył nadzieją, że zjawi się ktoś, bodaj jeden, który, wzruszony nieszczęsną dolą bliźniego, objawi chęć niesienia pomocy, i zechce podjąć trud nakazany nietylko chwilą, lecz obowiązkiem wobec potomnych i przyszłości narodu.

Cisza niestety zaległa śmiertelna, przerywana jeno biciem własnego serca strwożonego. Lęk go ogarnął na myśl, że przegrał wielką sprawę i paść miał pod gruzami wielkich, szlachetnych wysiłków i myśli, z których nie pozostanie ni śladu, a dola tych ludzi, którzy byli przedmiotem jego niezmordowanych zabiegów i trosk serdecznych, powlecze się drogą krzyża i męki, pod której brzemieniem padną lub wyzwolić się zechcą, imając się środków, grożących zagładą. A środki te podsuwał coraz natarczywiej rosnący w wpływ i potęgę nieugięty i zacietrzewiony Antoś. Czysty był to człowiek i zapewne nie ulegał cudzym poszeptom, ani nie był niczyim płatnym agentem, lecz szedł przed siebie niesiony burzą zniszczenia, którą zrodziła nienawiść, poczęta w nędzy. Z głodu przymierał z licznem rodzeństwem, które chronił od śmierci głodowej Stefan, w największej przed Antosiem tajemnicy, zasilając wedle możności śpichrze jego matki. Bunt targał piersią Antosia, bunt rozpętał w nim złowróżbne siły, mocą których przerzedzał szeregi Stefana. Rósł w potęgę Antoś, nie szczędząc kuszących obietnic i wywrotowych haseł, malał i upadał Stefan, który wobec rzeszy nędzarzy stawał z próżne-

mi rękoma, środki bowiem wszystkie, któremi jeszcze rozporządzał, wyczerpały się do dna. Szanse zwycięstwa poczęły się zwolna przechylać na korzyść „czarnych", „Zjednoczona praca" zwijała zwolna skrzydła, tak pięknie rozwinięte do bujnego lotu. Część robotników, skupionych około Stefana, przeszła niebawem otwarcie na stronę Antosia, część inna politycznie przycupnęła, by w ostatniej chwili przerzucić siły na stronę zwycięzcy. Ostatni ratunek Stefana leżał więc w zwycięstwie, o które kusić się nie mógł, nie mając środków. Wykładami, siłą słowa spodziewał się otworzyć ludzkie serca i wyrwać z nich ofiary konieczne, nieodzowne, lecz niestety doznał w tym względzie najsroższego zawodu. Zachwiał się w swych zamysłach i zwątpił o wielkiem dziele. Natrafił na nieprzełamane trudności, które nieodwołalnie, zdało się, kładły kres wszystkiemu. Jakiś zły duch przekory, jakiś obłęd oschłego egoizmu owładnął duszami tych ludzi, do których serc pragnął trafić w ciągu dziesięciu wieczorów i dokopać się do tej dobrej i szlachetnej części ludzkiej duszy, która gdzieś tam w rumowisku zła się kalała.

Daremnym niestety okazał się trud — spełniło się to, co profesor Szalski przepowiadał i co Antoś przewidywał.

Zmierzył się raz i przegrał. Tak przedstawiała się rzecz na razie. Zostawała wprawdzie jeszcze w odwodzie Ewa z swymi potężnymi kapitałami, lecz te spoczywały w ręku jej ojca, który przedsięwzięcie Stefana nazywał utopją i nonsensem, pomijając już

to, że był zdeklarowanym przeciwnikiem podjętej przez Stefana akcji, której zaniechania domagał się kategorycznie w myśl złożonych przyrzeczeń. Przez chwilę zdawało się nawet, iż różnica zapatrywań na tę kwestję spowoduje rozbicie małżeństwa, czemu jednak Ewa, umiejętnie lawirując między Stefanem a ojcem, umiała szczęśliwie zapobiec. Z tej więc strony nie mógł się spodziewać żadnej pomocy.

Zamiast spodziewanych owoców swoich wysiłków doznał na całej linji klęski. Pogrom był to doszczętny, z którego, zdało się, już się więcej nie podźwignie, zwali się i runie, by pogrześć się w ruinach. Rozglądał się wokół siebie, szukał sposobów wyjścia z fatalnej matni, żarty gorączką zwycięstwa, które cios zadałoby „czarnym" lecz kędy wzrok swój obrócił, wszędzie natknął się na pustkę, z której duch zniszczenia i zagłady wstawał, zionąc śmierci niechybnej oddechem.

— Koniec memu dziełu — gorzał w zapamiętaniu, które mocą przerastało wszystkie dotąd przeżyte chwile walk i zwątpienia — nicość rozchyla wrota, ku którym ślepcy skwapliwie pędzą!

Widział już te chwile grozy, rozpętania namiętności, rozgorzenia walk, rozpasania nienawiści i ohydnych zbrodni.

Zdało mu się, iż rozstąpiła się pod nim ziemia, rozwarła się przepaść, której dna nie dojrzy.

Cierpiał, wił się w śmiertelnych skurczach nadludzkiej męki i wlókł się złamany, ze łzami w oczach żegnając życia cel, który pomykał w dal.

Prace rozpoczęte kontynuował i dzieci nie wy-

puszczał z opieki i kurs wycinanek doglądał, lecz czynił to wszystko już bez zapału, który, zdało się, wystygł w nim do dna. Jakby za jednym zamachem wypaliło się w nim już wszystko, jakby ognisko, które promieniowało, doszczętnie w nim wygasło. Zdało się, jakby losowi powierzał dalszy bieg rzeczy, który pozornie był mu już całkiem obojętny. Lecz serce, pochłonięte sprawą, duch uplątany w sieć planów, dusza uwięzła w szlachetnych zamysłach nie umiały się wyrzec idei, z którą się zrosły, bez których istnieć nie mogły. Więc choć się wzdrygał, choć w zapale ostygł, choć robak zwątpienia go toczył, jeszcze całą duszą tkwił w poczętem dziele. Mimo przeciwności, mimo nawet poniesionej klęski, która spowodowała przesunięcie sił na korzyść Antosia, nie mógł się od myśli oderwać i wracał do niej uparcie, choć się przed nią bronił.

W ciężkiem zmaganiu się z samym sobą, w borykaniu z przeciwnościami, które zwartą, litą ścianą, niby granitowa skała zawaliły mu drogę w szarpaniu z partją „czarnych", w przygniatającej świadomości upadku dzieła dowlókł się z trudem do końca stycznia. Był to okres najcięższej, wytężającej pracy. W ostatnim tygodniu zbiegły się nici wszystkich zajęć. Na technice kończył się semestr, a więc nadszedł czas kollokwiów, które sam musiał składać i egzaminów, przy których jako asystent profesora musiał być pomocnym, w „Zjednoczonej pracy" urządził wystawę wycinanek, które dzięki poświęceniu i pracy Łatka, mogły konkurować z zagranicznemi wyrobami. Wystawa przyniosła mu wskutek za-

biegów Ewy i profesora Szalskiego, dość spory dochód, rozwiązujący na jakiś czas trudności finansowe. Niemałą gotówkę przyniosło mu też przedstawienie amatorskie, które zaaranżował na rzecz biednych. Pomocnym okazał mu się w tym względzie znowu Łatek, który zwolna wciągnął się w tę piękną pracę i stał się, ku radości Stefana, doskonałym pracownikiem.

— Nie martw się nic, chłopie — pocieszał go Łatek — flota na wszystko się znajdzie. Urządzimy ci psiakrew bal, wentę i djabli wiedzą co i kram się ruszy, bo ludzie są głupi i talary na głupstwa wywalą!

Łatek w ciągu kilku miesięcy wyrobił się i spoważniał, zetknąwszy się oko w oko z nędzą. Jeszcze niejeden wymknął mu się figiel, który wypłatał, lecz na życie patrzył już poważnie i serjo, ujmując każdy jego przejaw rozsądnie i trzeźwo.

— O dzieci twoje się nie martw — krzepił Stefana — już się dla nich zawsze coś znajdzie; starego, a ckliwe ma serce jak dziewczyna, pompnę, jak się patrzy. I kartofel będzie i kaszy nie zabraknie, a i mąki z pewnością stary nie poskąpi, a w razie czego... — spojrzał mu jakoś dziwnie w oczy — ja się niemi zajmę, bądź o to spokojny.

— Staszku kochany! — rzucił mu się wzruszony Stefan w ramiona — źle cię sądziłem, wybacz!

— Myślałeś: ot! urwipołeć, dureń jak inny i kwita — prawda? jest we mnie dusza, odezwała się, ale to twoja zasługa, bo tyś mi mistrzem! Kiedy na twe życie patrzę...

— Zostaw!

Nie lubił pochwał, nie szukał uznania. Radość ludzi, których koło siebie gromadził, była mu za trud nagrodą.

Gotowość ofiar ze strony Łatka i grosz znaczny, uzyskany z wystawy i przedstawienia, natchnęły go nową otuchą i walnie skrzepiły. Dźwignął się znowu i otrząsł z zwątpienia. Wstąpił w niego duch dawny, rozbudził się zapał. I dalej znowu między robotników szedł i mozolnie w ich duszę się wkuwał, jak górnik w skałę. Kuł bez przerwy, pracował, siał ziarno zdrowe, jak siewca nigdy nieznużony. Dziećmi kierował i zdwoił czujność, z Zośką rozprawił się w sposób stanowczy.

— Słuchaj-no, moja kochana — rzekł dnia pewnego, wyczerpawszy poprzednio już wszystkie możliwe środki prośby, zachęty, pobłażania, pieszczot — stwierdziłem, że kradniesz.

Zaczerwieniła się, próbowała kłamać.

— I kłamiesz! Dlaczego to czynisz? czy nie masz co ubrać, czy jesteś głodna?

Zamilkła, głowę spuściwszy ku ziemi, a w oczach jej ciskał się błysk zawziętości i nienawiści.

— Odpowiadaj, kiedy pytam! — tupnął nogą — więc? — krzyknął groźnie. — Dlaczego kradniesz?

— Ja, proszę pana, ja... — jąkała z trwogą...

— A prawda? a ja cię prosiłem, tak? a ty nie słuchasz? no, to ja tu znajdę na ciebie sposób! Teresa, proszę pas podać.

Zośka wybuchła płaczem, czepiała się nóg, przyrzekała poprawę.

Bił pasem bez końca, do krwi.

— Przez dwa dni nie dostaniesz za karę nic jeść i przez dwa dni będziesz siedziała tu w kącie, a jeśli się ruszysz, dostaniesz takie lanie, jak dzisiaj albo i lepsze. Skończyły się już, moja droga, dla ciebie czasy pieszczot i głaskania, teraz każde najmniejsze przewinienie będę karał surowo. Wiedz o tem! albo będziesz taką, jak ja chcę i każę, a wtedy nie zbraknie ci niczego, wszystko dostaniesz i znowu będziesz dobrą Zosią, albo będę prał, że ci skóra popęka. Ruszaj do kąta. A was, moje dzieci — zwrócił się do zdjętych trwogą dzieci, skupionych w kącie — proszę, abyście przez dwa dni za karę do Zośki ani nie mówiły, ani się zbliżały. Pani Tereso — wydał polecenie — proszę przypilnować, aby się wszystko tak stało, jak każę.

Wyszedłszy, miał wątpliwości, czy dobrze czynił, lecz z lat dziecinnych przypominał sobie, że matka jego, choć go bardzo kochała, nie szczędziła cięgów. Metody tej w zasadzie nie uważał za zbawienną ani polecenia godną, lecz po zastosowaniu bez skutku wszystkich łagodnych środków uznał, że godzi się spróbować surowej kary. Na wypadek, gdyby i ten środek zawiódł, zgoła nie wiedział co począć. Postanowił w tym względzie zasięgnąć rady profesora Szalskiego, głębokiego znawcy dusz ludzkich i sposobów wychowania.

Na znojnej pracy zeszedł mu ostatni tydzień stycznia, w ciągu którego nocami począł pisać książkę z materjałów, przygotowanych do drugiej serji wykładów, których postanowił nie wygłaszać

ze względu na bierność, z jaką spotkał się z racji pierwszej serji.

Początek lutego przyniósł gruntowną odmianę położenia rzeczy, która zrazu rokowała najpiękniejsze nadzieje, później niestety obrócić się miała na niekorzyść Stefana. Ślub, który ukoronował bieg spraw, nawiązanych z Ewą we wrześniu, położył kres ich wspólnym pragnieniom i otworzył im szeroko wrota rozkoszy. Akt zawarcia związków małżeńskich, dla każdego doniosły i ważny, był w życiu Stefana punktem zwrotnym, tem donioślejszym, iż stał w ogniu prac, zasadniczo sprzecznych z poglądami rodziców Ewy i że do życia rodzinnego przykładał szczególniejszą wagę, twierdząc, że zdrowa i czysta atmosfera ogniska domowego jest podwaliną życia społecznego i narodowego. Kobiecie przypisywał tu specjalną misję kapłanki, która strzeże czystości obyczajów i wychowuje przyszłe, zdrowe pokolenie, krzewiąc w niem cnoty ogólno-ludzkie i obywatelskie. Kobietę jako matkę i wychowawczynię stawiał na niedościgłym piedestale godności, cnoty i najwspanialszych zalet, które, przeszczepione w dusze dzieci, czynią je wolnymi, szlachetnymi ludźmi. Niestety ani ta kobieta, z którą się związał, ani to środowisko, w które wszedł, nie umiały i nie potrafiły odpowiedzieć jego idealnym na tę kwestję poglądom i miały mu niebawem sprawić ciężki zawód. Nim się spostrzegł, dokąd zaszedł dzięki braku woli w stosunku do Ewy, już poniósł miażdżącą klęskę; nim zdołał wżyć się w nową, obcą sobie a niesympatyczną atmosferę, już poczuł kły zwierząt,

które szarpać poczęły duszę. Wiele na to złożyło się okoliczności, iż zaraz, niemal u wstępu w nowe życie, uległ rozbiciu, lecz najważniejszą były niezawodnie wprost djametralnie różne poglądy na wszystkie zasadnicze kwestje, które wykluczały wszelkie porozumienie. I inaczej być nie mogło. Środowiska, z których obydwoje wyszli, musiały na obydwojgu wybić specyficzne swoje piętno, które miłość mogła na chwilę zatrzeć, lecz nigdy zmazać ani odmienić. Wprawdzie Stefan obiecywał sobie, a podobnie i Ewa, że wstąpiwszy w związki małżeńskie, zdołają wywrzeć na siebie wzajemnie nacisk, wyjednać ustępstwa, niejedno zmienić lub całkiem usunąć, zaś braki dostrzeżone uzupełnić, wyrównać i poprawić; jednem słowem spodziewali się w ogniu miłości odlać, przerobić i stworzyć nową duszę, lecz zapomnieli, że dusza ludzka to nie kawał żelaza, któremu każdej chwili można wedle upodobania nową nadać formę. Zasadnicze tło duszy ludzkiej, jej główne cechy charakterystyczne nigdy nie ulegają zmianie, a tem mniej dusze twarde i nieustępliwe indywidualności tak silnych i samodzielnych, jak Stefan i Ewa. Różnice też te wystąpiły odrazu z miejsca z całą siłą. Na tym punkcie nie mogło być między nimi mowy o porozumieniu. Poglądy społeczne Ewy odbiegały tak daleko od poglądów Stefana, iż się nigdy zetknąć nie miały. Dzieliła ich wprost przepaść. Nie znaczyło to, aby Ewa miała być nieczułą na nędzę ludzką i wymawiała się od wszelkiej w tej mierze pomocy; owszem, w czasie swego narzeczeństwa dowiodła swej dobrej w tym

względzie woli, zabiegając o wydobycie grosza potrzebnego na doraźne zaspokojenie nędzy, całokształtu jednak zamiarów Stefana ani nie rozumiała ani nie aprobowała, choć bezsprzecznie ten rys jego szlachetny nęcił ją i imponował; on nawet był jednym z tych czynników, który wywołał silne zainteresowanie się Stefanem i ostatecznie niemało zaważył na szali. Nie było w tem nawet kłamstwa ni fałszu, dla szlachetności i bezinteresowności Stefana, dla jego silnej, niezłomnej woli miała szacunek i podziw, nie mogła jednak zgodzić się z nim co do punktu widzenia na te kwestje w ich najszerszem znaczeniu, gdzie Stefan wysuwał i przestrzegał hasła, które próbował propagować w rodzinie Ewy: wszystko albo nic!

— Więc może my mamy pójść z torbami — szydziła przy pierwszej na ten temat dyskusji, jaka się nawinęła — żeby twoi pupile mogli się rozbijać?

— Lepiej, abyście się wy rozbijali — odciął — Zapewne! co mi tam drugi, bylem ja był syty.

— Więc proszę, powiedz konkretnie, czego naprzykład od nas żądasz? Kiedy w oczach twych zasłużymy wreszcie na łaskę?

— Dajcie żyć drugiemu!

— Dobrze, więc cóż czynić mamy?

— Niech ojciec twój nie myśli tylko o sobie...

— Myśli i o tobie, gromadząc grosz dla ciebie i dla mnie...

— Ja rezygnuję.

— Zapewne na rzecz twoich pupilów? nic z te-

go, mój drogi! Na szczęście, choćby ojca brakło, ja mam głos w tej sprawie.

— Znaczy?

— Jakieś tam datki, podwyżka wreszcie płac, to zgoda i owszem, lecz ponad to nic więcej. Na niedolę ludzką nie jestem nieczułą, owszem współczuję z tymi ludźmi szczerze, lecz taki widocznie już być musi porządek rzeczy, że jedni są zamożni a drudzy biedni — my tego, mój kochany, nie odmienimy, a każdy, któryby to czynić próbował, jest szaleńcem.

— A nie obawiacie się tej chwili, kiedy chcielibyście wszystko oddać, lecz niestety będzie zapóźno?

— Są na to sposoby, byśmy się nie znaleźli w tem położeniu, mam nadzieję, że się znajdą i starczą, by poskromić apetyty.

— Ślepcem jesteś jak inni.

— Nie szkodzi! lecz z tem mi dobrze.

Wlokły się te dyskusje między nimi bez końca i kopały przepaść. Stefan uciekał do izby swej matki, jakby do kaplicy, w której duszę krzepił, w każdym kącie izby witając wspomnienia, które wypełzały ze szczelin i rojnie zaludniały ciszę. Tu wieczorami dumał, krył się przed tym nowym, obcym mu światem, w który wszedł przez brak woli. Uderzało go to dziwne zjawisko, iż w stosunku do wszystkich innych przejawów życia, w najcięższych walkach, w których kiedykolwiek się znalazł, umiał wytężyć wolę i dzięki jej zawsze wygrać, w stosunku do Ewy zaklęsła się ta wola i załamała, wiodąc go

do przegranej, która zarysowywała się coraz wyraźniej. Niemałą winę ponosił w tem ojciec Ewy, który natarczywie i impertynencko, zresztą ze swego punktu widzenia zupełnie słusznie, domagał się dotrzymania złożonych przyrzeczeń, przeciw czemu Stefan jak najenergiczniej się bronił. Kłamstwo, do którego namówiła go Ewa, mściło się, i wydawało gorzkie owoce.

— Mam prawo żądać — kategorycznie papa oświadczył — byś słowa danego dotrzymał.

Na tak postawioną kwestję nie miał niestety żadnej odpowiedzi, żądaniu bowiem teścia przyznawał zupełną słuszność. Milczał, lecz milczeniem nie chciał się teść zadowolnić, domagając się albo dotrzymania słowa, albo — poszedł nawet tak daleko — rozwiązania małżeństwa.

— Myślę, że przeboleję te stratę — dorzucił szyderczo, na co Ewa wybuchała płaczem, odsuwając w ten sposób rozstrzygnięcie kwestji na dalszą metę. Wszystko to kleiło się jakoś, jak długo miłość szybko cementowała raz po raz pryskające szczerby i wyrównywała wszystkie nieporozumienia, lecz miłość to cudny, delikatny kwiat, wymagający najtkliwszej, subtelnej atmosfery. Niestety atmosfera w domu Ewy sączyła się jadem, który zatruwał i mroził. Niknął ten cudny, boski kwiat, i w oczach wysychał i ginął. Jeszcze wydawał woń, jeszcze się lśnił i mienił stubarwnem listowiem, lecz czepiał się już korzeni robak, nadgryzał je i coraz głębiej się wżerał. Krótki miał być już czas, kiedy zeschła łodyga, z liści cudownych odarta, zetleć

miała i paść. Martwili się tym stanem rzeczy obydwoje, biadali i przyrzekali czynić wszystko, co w ich mocy, by zachować to, co było im dotąd jeszcze najdroższe, lecz nieodmienny już i konsekwentny jest w tym względzie bieg spraw, iż, co raz tknięte zarazą nieporozumień i wzajemnych niechęci, paść musi i zginąć, bo miłość to nie przedmiot, sprzęt, który można naprawiać i łatać, miłość to cudowny kwiat, który kwitnie tylko w żarze bezwzględnie oddanych sobie wzajemnie serc. Gdzie tylko ciała płoną, a zimne są serca ostygłe, tam miłość ginie.

Ginęła między nimi miłość z winy stron obu. Wyszli obydwoje z fałszywych założeń i mylnych rachub, które zawiodły. Nie mogli dać sobie wzajemnie tego, co sobie obiecywali i czego się po sobie wzajemnie spodziewali. Stefan liczył, że ożeniwszy się z Ewą, zyska w jej majątku obszerne podłoże, o które oprze swe dzieło, a ofiarność Ewy i jej szczera chęć niesienia pomocy zdawały się być pomyślną w tym względzie wróżbą, Ewa zaś kierowała się ambicją zdobycia niezdobytego mężczyzny, który pogardą jej okazywaną podniecał ją do wytrwania i rozbudził w niej żądzę wymierzenia sobie satysfakcji w postaci zdobycia go na własność. Fałszywe przesłanki, omotane w nieprzeparte pragnienie wzajemnego posiadania się, musiały przynieść dla obu stron fatalne wyniki, bo o szczęściu życia małżeńskiego decyduje tylko czysta miłość, ta wzniosła, piękna, szlachetna. Wszelkie przymieszki materjalnej czy fizycznej natury są zgubą.

Wiło się ich życie poprzez wzmagającą się mę-

kę, przerywaną wybuchami rozszalałych zmysłów, które na chwilę tłumiły wzajemne żale, lecz nieugięta rzeczywistość snuła niestety dalej swoje smutne dzieje, wykuwając z każdego szczegółu, który był zgrzytem lub fałszem w ich stosunku, jedno ogniwo, pilnie nanizane na zwolna powstający łańcuch, co wżarł się w dusze, ścisnął je i opasał, pozbawiając tchu swobodnego. Łamało się coś i gięło, wiązadła trzeszczały, rysował się gmach i chylił. Z trwogą wyczekiwali tej chwili, którą jeszcze pragnęli odwrócić, oddalić. Lecz wypadki szły niepowstrzymaną falą, łamiąc najlepsze ich chęci, które wiotkiemi zdały się być gałęziami drzew wyrwanych z ziemi, rzuconych wichrem na spienioną rzekę. Nieprzeparta siła niosła ich ku przeznaczeniu. Nie było im znaczonem zdobyć szczęścia i posiąść je trwale. Przyczyna leżała w nich samych, w ich wadach i błędach. Błędem było ze strony Stefana roić, iż w niczem nie ucierpi jego życie małżeńskie, jeśli poświęci się pracy społecznej w tej mierze, w jakiej to dotąd czynił, błędem było ze strony Ewy przypuszczenie, iż zdoła go mocą swego czaru od niej oderwać i do siebie nagiąć i przykuć. Stefan opatrzył się rychło, iż człowiek, mający wielkie przed oczyma cele, musi iść sam przez życie swobodny i niezależny, bo samotność daje tylko siłę, Ewa zaś również rychło spostrzegła, że Stefan nie jest tym, którego możnaby zdobyć na wyłączne posiadanie. Zrazu podejmowała w tym względzie pewne próby, pieszczotami pragnąc go usidlić i z dróg wytkniętych w sieci swych zamysłów zwabić, lecz natrafiła na

tak stanowczy ze strony Stefana opór, iż myśl tę bezpowrotnie zarzuciła. Zrazu żyli w sobie, przez siebie, z czasem poczęli żyć obok siebie, nie rozumieli się i oddalali od siebie, w rozbieżnych idąc kierunkach i poruszając się w kręgu zgoła odmiennych i różnych ideji i interesów. Doszli wreszcie do tego, iż we wszystkich kwestjach stanęli na dwóch przeciwnych biegunach. Rozłam nastąpił zupełny. Stefan szedł dalej po linji bezwzględnego poświęcenia i ofiarnej służby na rzecz drugich, Ewa dążyła w wprost przeciwnym kierunku, myśląc wyłącznie o sobie i o wszystkich przyjemnościach, jakie z życia winno się wycisnąć. Rzuciła się w wir rozrywek i zabaw, jakby chciała zdusić robaka, który ją toczył lub wypełnić czemś pustkę, która wokół niej roztworzyła się nagle. Zabawy zawsze lubiła, była bowiem w najdrobniejszym szczególe tą wielką damą, o której swego czasu Stefan pisał swojej matce, teraz zaś czyniła to ze szczególniejszą pasją, usiłując wciągnąć w wir Stefana. Zrazu poddawał się z niechęcią jej kaprysowi i w charakterze obojętnego widza brał udział w tych głupstwach, za jakie uważał wszelkie towarzyskie zebrania. Wyniósł z nich niesmak i obrzydzenie, i utwierdził się w swem przekonaniu, jakie miał o tej sferze. Nuda, pustka i złuda wszechwładnie berło dzierżyły, plotki snuły się z sykiem po kątach, puszyły się banalność i głupota, maskowane wyszukaną manierą, choć z oczu i nędznych, małych dusz wypełzały zwierzęta. Rozmowy o niczem, młócenie słomy odbijały się głośnem echem o pięknie tapetowane

ściany wykwintnych salonów. Srebro dzwoniło, mieniły się barwą kryształy, uginały stoły, bieliły śnieżne dekolty, połyskiwały szykowne nóżki (duma kobiet!), obciągnięte w jedwabną, cienką, przeźroczystą pończochę cielistego, szarpiącego zmysły koloru.

Złuda była tu wszystkiem, a złuda jest miarą wartości człowieka. Im więcej złud, któremi pragniemy zastąpić wartości trwałe i rzeczywiste, tem większa w nas pustka ducha, a temsamem mniejsza wartość nasza. Filistry i błazny gonią za użyciem życia, ludzie mądrzy żyją w samotności, filistry i błazny muszą szukać oparcia poza sobą, uprawiają więc życie towarzyskie, ludzie mądrzy starczą sobie sami, czerpiąc ze skarbów swego ducha; filistry i błazny wszystkiem, co czynią, zmierzają do zapełnienia niczem niezapełnionej pustki, ludzie mądrzy tworzą wartości trwałe. Ci pierwsi, nie mogąc zdobyć się na to, stwarzają sobie złudę, bożka, do którego się modlą i dla którego gotowi ponieść wszelkie ofiary. Schopenhauer wypowiada się w tej kwestji [1]) „denn je mehr einer an sich selber hat, desto weniger bedarf er von aussen und desto weniger auch können die übrigen ihm sein. Das Beste und Meiste muss daher jeder sich selber sein und leisten". I dlatego nie ci są szczęśliwi, którzy żyją złudą, jak to twierdzi Jewrejnow („To, co najważniejsze") i Ibsen („Dzika kaczka"), lecz ci, którzy zdołają tak wzbogacić ducha, iż wysnuć z niego mogą

---

[1]) Aphorismen zur Lebensweisheit.

wartości rzeczywiste i trwałe. Stworzenie ich jest najwyższem i prawdziwem szczęściem.

Stefan był na tej drodze, stwarzał mocą swego bogatego, niezgłębionego ducha wartości trwałe, siał ziarno w duszach ludzkich i ludzi wychowywał wolnych i niezależnych, wskazywał im drogi i wiódł ich do piękna i prawdy. To, co czynił, nie było złudą, bo choć niepowodzeń w znacznej mierze doznał i choć dzieło jego odrodzenia dusz ludzkich nie we wszystkiem odniosło tryumf, przecież niezaprzeczoną było rzeczą, że budził, mimo mocno przerzedzonych szeregów, w duszach szlachetne instynkty i w dusze dzieci losem sobie powierzonych wszczepiał trwałe zasady. Gdyby nic więcej nie miało mu się powieść i gdyby niczego więcej nie zdołał już dokonać, uczynił już wiele. Zdobycie jednej tylko duszy warte jest trudu całego życia. Poniósł ten trud i zwyciężył, bo choć nie zdobył wszystkich dusz, skupionych w „Zjednoczonej pracy", starczyło za tryumf pozyskanie dla światła, piękna i prawdy tych nielicznych, którzy przy nim zostali, starczyło pozyskanie Łatka, który z filistra i lekkomyślnego chłopca, żerującego w życiu za złudą, przerodził się pod jego wpływem na dojrzałego człowieka, który poszedł jego śladami. I tu leżała zasadnicza przyczyna nieporozumienia między nim a Ewą: Ewa bowiem żyła złudą, on bogactwem swej duszy, ona szukała szczęścia poza sobą, on je nosił w sobie. I tu też leżały punkty rozbieżne zupełnego niezrozumienia i rozdźwięku między nim a towarzystwem, z którem w domu Ewy się zetknął. Oni uważali go

za warjata, on ich za idjotów. Wzajemnie od siebie stronili i wzajemnie się lekceważyli. Nawet stary lokaj, wdrożony w sposób myślenia swych panów, kiwał głową i wstrząsał ramionami. Niewątpliwą było dla wszystkich rzeczą i publiczną tajemnicą, że rozstanie się Ewy ze Stefanem stanie się niebawem faktem dokonanym. Nie miał też Stefan co do tego żadnych złudzeń. Zrazu szczerze nad tem bolał, biedził się i męczył, i łamał sobie głowę nad sposobami zaradzenia złemu, później wszedł w stan zupełnej obojętności, aż do cna ostygł i czekał chwili, by odzyskać utraconą wolność, której brak, mimo wszelkich pozorów swobody, aż nadto głęboko odczuwał. Związek małżeński, odarty z miłości i wzajemnego przywiązania, zepchnięty na tory oschłej, lodowatej obojętności, ciążył mu i zatruwał życie, nasuwając swojem istnieniem ciągłe refleksje na temat win popełnionych przez obydwie strony, pozbawiał go swobodnej myśli, nic wzamian nie dając, wytrącał z równowagi, niosąc zamieć uczuć, które nim targały. W podobnej sytuacji znalazła się Ewa, która pustkę ducha zapełniała złudą. Poczęła całkiem bezceremonialnie flirtować z każdym, kto się nawinął, aż wpadła w nastawione sieci i uwikłała się w końcu w romans, który zamknął małżeńskie dzieje i przyniósł obojgu z nieznośnych pęt wyzwolenie.

— Kocham go! — oświadczyła raz bez ogródek, otwarcie.

— Ty potrafisz? — szydził Stefan.

— Godniejszy jest z pewnością tego uczucia, niż ty.

14

— Bardzo się cieszę.

— Chciałeś mnie tylko posiąść, ty, wstrętny cyniku!

— No... a ty?

— A ze mną moje pieniądze.

— Nie ubiegałem się ani o twoje względy ani o pieniądze.

— Dla twojego głupiego „dzieła" poświęciłeś mnie...

— Jak ty mnie dla kaprysu —winienem był to przewidzieć.

— Dziwne, że taki strasznie mądry, jak ty, nie zdołał tego przewidzieć.

— Już to losem jest mądrych mężów, że mają głupie żony.

— Dureń jesteś, rozumiesz?!

— Nie przeczę, durniem jestem istotnie, jeśli dałem się uwikłać takiej jak ty!

— Co przez to rozumiesz? — skoczyła na równe nogi.

— Tylko spokojnie! Pomówmy o rzeczy, o którą chodzi. Przyłapałem cię na schadzce z twoim kochanym...

— Tak mi się podobało, wolno mi!

— Może tak, może nie! Nie mam w tej chwili zamiaru rozważać tego, co ci wolno a czego niewolno, to mnie już nie obchodzi. Teraz chcę zapytać o to, co dalej czynić zamierzasz?

— To moja sprawa.

— No... i chyba moja?

— Et! wynoś się z mego domu...

— Chciałem cię właśnie o tem zawiadomić, że wynoszę się dzisiaj z twego domu — podkreślił z naciskiem — i dlatego zaprosiłem cię na rozmowę. Żegnam.

Skłonił się i wyszedł.

Rozleciały się w strzępy marzenia o stworzeniu zacisznego ogniska domowego, w którem po pracy znalazłby wytchnienie. Teraz dopiero widział, jakiemu uległ złudzeniu, zawiedziony w jego ostępy brakiem silnej woli, i wyjść nie mógł z podziwu, jak choć przez chwilę mógł takiej Ewie, pustej, pompatycznej, banalnej, chytrej a wytrwałej kobiecie, zaufać i oddać się w ręce, by szukać z nią szczęścia życia rodzinnego. Miała ona i swe pewne zalety — temu nie przeczył — lecz w cień zasunęły je liczne wady, które może dla kogo innego, podobnego jej co do struktury duszy, sposobu myślenia i wychowania, nie stanowiłyby punktu zaczepienia; dla niego były dostatecznym powodem do uchylenia się od wszelkiej z nią styczności. Kiedy spojrzał teraz poza siebie wstecz i szczegół po szczególe pilnie rozważał, przyszedł do przekonania, iż wszystko od początku spoczęło na fałszywych założeniach, niby gmach na zbutwiałych belkach, piaskiem podsypanych, który musiał runąć.

— Kłamstwo poczęło ten nierozsądny związek — mruknął — i kłamstwo go rozwiązało.

Rychło o nim zapomniał, jak o złym śnie, który ze zbudzeniem się zniknie z przed oczu; lecz jedną wyniósł z tego wszystkiego korzyść: poznał kobietę. Ciekawość poznania przypłacił męką, z której na

szczęście wnet się otrząsnął i zabrał się żwawo do pracy. Pisał więc książkę, nad którą od trzech miesięcy po nocach ślęczał, kontynuował wykłady w „Zjednoczonej pracy", pogłębiając je coraz więcej i ustalając ostatecznie pewien stały ich program, wychowywał dzieci, do których jak najczęściej zaglądał, z coraz większem pracując nad niemi skupieniem, naradzał się z Łatkiem nad sposobami zdobycia grosza dla bezrobotnych i bezdomnych, lekcyj liczbę na mieście zdwoił dla zarobku, który niemal w całości na cele kuchni bezpłatnej obracał, a nadto czytał, pogłębiał się i kształcił. I tak w znoju i trudzie czas mu wartko schodził, iż nie spostrzegł się nawet, że dokoła gromadziły się chmury.

Zastój w przemyśle z nastaniem wiosny dosięgnął zenitu, i pozbawił wielu ludzi zarobku, pomnażając szeregi bezrobotnych. Wzmagało się wrzenie, kipiał bunt w piersiach nędzarzy, co Antoś zaraz wyzyskał i rozwinął gorączkową działalność, postanawiając przejść do akcji zaczepnej. Gromadził skrzętnie koło siebie wszystkich niezadowolonych, skupiał ich i mnożył, podsycał namiętności, rozpalał i zagrzewał do czynu. Wyłonił wreszcie bojówkę, wyznaczył czynności i czekał. Coś snuł i zamierzał, lecz co, nikt nie zdołał dociec.

Stefan dowiedziawszy się o podejrzanej, wzmożonej ruchliwości Antosia, postanowił z nim się rozmówić.

— Czego tu? — spytał Antoś opryskliwie, spostrzegłszy Stefana w progu swego domu.

— Chodzą niepokojące słuchy o jakichś tajem-

niczych twoich przedsięwzięciach, które planujesz, przychodzę więc zapytać, co zamierzasz czynić?

— Jakiem prawem?

— Prawem dawnego przyjaciela, który pragnie cię ratować i od upadku uchronić...

— Idjota! — wybuchnął wściekłością, cisnąc kurczowo pięści.

— I prawem — ciągnął Stefan niezrażony — obywatela, który widzi wprawdzie wielkie braki i błędy dzisiejszego ustroju społecznego...

— Czyżby? nawrócony Judasz? — szydził Antoś.

— Lecz mimo to gotów go za wszelką cenę bronić.

— Ach! rozumie się, czyż mogłoby być inaczej, jeśli jest się zięciem miljardera!

— Byłem nim!

— Wszystko jedno! — co mnie to wreszcie obchodzi? Będę czynił to, co uznam za stosowne, a ty czyń to, co się tobie podoba; każdy z nas ma wolną rękę.

— Twoje czyny jątrzenia i podjudzania są zbrodnią; oświadczam ci, że będę im przeciwdziałał, choćby nawet przyszło użyć siły.

— To bardzo dobrze! Wreszcie się zmierzymy i przeliczymy nasze siły, kto zwycięży, niedaleka przyszłość pokaże.

— Antosiu!... — począł serdecznie prosić — Antosiu! zastanów się, co czynisz, dokąd zmierzasz?

— To moja rzecz! tobie nic do tego — odparł twardo, sycząc nienawiścią — tym drabom przy-

krócę pasa i ujmę ze żłóbka owsa, by go głodnym rzucić, a ciebie wsadzę do czubków, byś nie bałamucił ludu roboczego i nie odwodził od dróg, wiodących nareszcie do sytego jutra. Odkryłem ci moje plany, byś mógł coś przeciw nim obmyśleć, sądzę jednak, że szkoda fatygi, bo niebawem znajdziesz się wraz z burżujami, których bronisz, w mojem ręku. Losy wasze już są przesądzone.

— Pycha cię rozsadza, bacz, byś nie przegrał!

— Ty się o mnie nie martw! a teraz... zechciej bezzwłocznie opuścić próg mego domu.

Dźwignął się groźnie z ławy na całą długość ciała i dygotał wściekłą pasją, mierząc go oczyma, pełnemi nienawiści.

— Z szaleńcem trudno coś poczynać — pomyślał i bez słowa wyszedł, zmierzając do „Zjednoczonej pracy", gdzie zamierzał zorganizować swoje szeregi i przygotować je na wszelki wypadek do czynnej akcji.

Bezbrzeżny smutek owładnął jego duszą.

— Ach! — myślał — iluż jest jemu podobnych, ciemnych, obałamuconych, zacietrzewionych, nieprzystępnych dla głosu sumienia i rozsądku? ale... iluż jest i po tamtej stronie takich samych? choćby ojciec Ewy? Ach! czemuż ludzie są tak biedni i nieszczęśliwi, iż porozumieć się z sobą nie mogą i nie chcą sobie wzajemnie pomagać w ciężkim trudzie i śmiertelnych zapasach z życiem? Jakiż zły duch mąci i wikła i w dusze nienawiść sieje i kopie nieprzebytą przepaść? Kiedyż wzajemnych nienawiści koniec i jaki?

— Ach! jakiż ten świat tragicznie smutny, jakież złe przeznaczenia zawisły nad ludźmi, by wieść ich na zagładę i cisnąć im w dłonie broń bratobójczą!

— O! straszna nędzo! — jęczał, wlokąc się ciężko — o! wielki smutku! o! dolo okropna!

— O! ślepcy nieszczęśni, dokąd pędzicie, uniesieni pragnieniami nędznych dusz waszych?!

— Kiedyż przejrzycie? kiedy w słońcu piękna i prawdy skąpiecie oczy wasze?

— Kiedy ockną się dusze wasze i rozgorzeją miłością bliźniego?

— Kiedyż w sercach waszych wzniesiecie miłosierdzia ołtarze?

Zadumany dowlókł się do domu, przed którym czekał na niego jakiś nieznajomy staruszek. Podszedł żwawo ku niemu, odkrył siwą głowę i z dobrotliwym uśmiechem dłoń wyciągnął.

— Pan Stefan Kos?

— Ja jestem. Czem mogę służyć?

— Dłuższa sprawa...

— Proszę wejść.

Weszli do izby, zawalonej książkami i rysunkami.

— Czem mogę służyć szanownemu panu?

— Problem społeczny — począł — uważam za najważniejszą, palącą kwestję, której pomyślnego rozwiązania życzyć sobie należy. Jest to jednak — zdaniem mojem — dzisiaj sprawa tak skomplikowana, iż, że się tak wyrażę, nie da się od ręki załatwić. Jestem w tym względzie podobnych zapa-

trywań, jak pan, którego miałem sposobność słyszeć w czasie jego wykładów. Ten problem jest bolączką, jest otwartą, krwawiącą raną, którą co rychlej trzeba zagoić. Oglądałem się w życiu mojem nieraz za sposobami, przy pomocy których możnaby złemu zaradzić i szukałem człowieka, któryby ten problem śmiało i uczciwie podjął.

Stefan słuchał wywodów z wzrastającem zainteresowaniem.

— I oto — ciągnął staruszek — czysty przypadek pozwolił mi tego człowieka odkryć w panu. Zaszedłem przypadkowo na pański pierwszy wykład. Siła argumentacji, rzeczowa, sumienna analiza, uczciwe postawienie sprawy — przekonały mnie, że pan jest tym powołanym do podjęcia dzieła. Byłem na wszystkich dziesięciu wykładach i utwierdziłem się w tem przekonaniu. Począłem śledzić pańską działalność, wdzierać się, za co przepraszam, w pańskie życie, zbierać o panu wszystkie potrzebne mi dane...

— Przepraszam, w jakim celu? — przerwał Stefan zdziwiony.

— Zaraz cel wyłuszczę. Wszystkie fakty i szczegóły, zebrane o panu wskazywały, że pan jest czystym, sumiennym, uczciwym, bezinteresownym i szlachetnym człowiekiem, że jest pan jednem słowem takim, iż bez obawy można panu we wszystkiem zawierzyć. Upewniwszy się o wysokiej wartości pana, a równocześnie znalazłszy, iż myśl pańska piękna i szlachetna, wyłuszczona w wykładach a praktycznie zastosowana w „Zjednoczonej pracy",

jest jedynem rozwiązaniem problemu, przychodzę, by, celem ułatwienia panu pańskiej pracy, powierzyć panu cały mój majątek.

Stefan szeroko oczy otworzył, zaskoczony tym niespodziewanym a tak radosnym faktem.

— Jestem stary, sam jeden, więc racz go pan przyjąć i dysponuj nim wedle woli.

Padli sobie w ramiona i długo tkwili w serdecznym uścisku.

Dożył Stefan chwili triumfu, doczekał się owoców znojnej swej pracy. Rozkołysało się stroskane serce radością, rozdzwoniły się wszystkie struny duszy pieśnią triumfu. Kończył się okres ciężkiej męki, walki na pazury o grosz, począć się miał lot górny i wzniosły, podniebny. Urzeczywistnić się miały marzenia i przejść w stadjum przybierania rzeczywistych kształtów, kowanych znojną dłonią w niespożytej i ciągłej pracy. Rozwierała się przed nim swobodna możność działania, oparta o źródła, które nagle trysnęły. I wierzyć nie chciał tej łasce i ufać się lękał losowi, który kapryśnie dopuścił cudu. Tem intensywniej zabrał się teraz do pracy, kipiał wprost dawno niewidzianą energją, uniesiony zapałem i żądzą czynu. Całą swą duszę, radością promienną, przelał na swe dzieło, które teraz dopiero nabrało rzeczywistego wyrazu, rysowało się w potężnych konturach, z dnia na dzień przybierających coraz wyraźniejsze, realne kształty. Czemże to wszystko było, co dotychczas zdziałał, w porównaniu z tem, czego mógł dokonać przy pomocy zapewnionych i stałych środków, które nagle otwo-

rzyły się przed nim niewyczerpanem źródłem, do którego mógł sięgać bez końca. Ileż oszczędzał energji, która spalała się dotąd w zaciętej, ciężkiej walce o grosz, o którego ciągły brak rozbijały się wszystkie plany. Do tej chwili wlokło się dzieło ociężałym, beznadziejnym trybem, snuło się cienką, delikatną nicią, co chwila się rwącą; teraz wezbrać miało potężną falą i spiętrzyć się w trud niezwalczony, któremu nic się nie oprze. Teraz dzieło potoczyć się miało z szybkością wszystko ogarniającej lawiny i zatoczyć niezmierzone kręgi. I śniły mu się dni wielkiego szczęścia, które, niby wstająca różana jutrzenka, pierwszym blaskiem rozdarło ciemności. Znikły z przed oczu trudności, przeszkody, niby sierpem rzucił, wiła się droga równa i bita, niechybnie wiodąca do wielkiego celu. Zdał się go już za poły imać, mieć go już w ręku i sądził się już być władcą dusz odrodzonych, które wiódł do piękna i prawdy. I wywlókł z swej duszy na świat marzenia, strojąc je w swej fantazji w szaty rzeczywiste i myśl oderwał od szarej, łzami niedoli przesyconej ziemi i fantastyczne budował pałace, kędy odrodzenie wszystkich zarówno stanie się udziałem. Nieskończona radość pierś rozsadzała i zapał tworzył nieprawdopodobne cuda. Śnił, jak dziecko, jakieś cudne, nigdy nieziszczalne baje, snuł coraz nowe zamysły i coraz nowe układał plany.

Po długich dniach oszołomienia radosnym faktem wrócił do rzeczywistych zamierzeń. Naradzał się z nieznanym staruszkiem i z Łatkiem nad sposobami najwłaściwszego użycia powierzonych ka-

pitałów. Przedewszystkiem postanowił zasilić znaczniejszą gotówką istniejące już przedsięwzięcia, a więc najpierw kurs wycinanek, który zamierzył na wielką skalę rozszerzyć i wciągnąć w ten sposób do pracy jak największą ilość biednych dzieci. Kurs rozwijał się dość pomyślnie, nie mógł jednak nabrać rozmachu dla braku dostatecznej gotówki; zasilony wydatniejszą subwencją rokować mógł wielkie nadzieje i wyprzeć obce fabrykaty. Obok kursu miała powstać szkoła robót koszykarskich, która zajęłaby wyrostków, zostających bez zajęcia. Lokal „Zjednoczonej pracy", który miał stać się ośrodkiem na olbrzymią skalę pomyślanych, rozlicznych przedsięwzięć, musiał ulec znacznemu rozszerzeniu i gruntownej przebudowie. Tu miało się skupiać całe życie robotnicze, tu miał wytchnąć robotnik po pracy i użyć godziwej rozrywki. Przewidywano więc w planie budowę czytelni, bibljoteki, sali gier i zabaw, sali gimnastycznej i teatralnej, sali wykładowej, łaźni bezpłatnej ludowej, taniej kuchni robotniczej i t. p. Miały też powstać sklepy współdzielni, mającej zaopatrywać robotników w tanie środki spożywcze i artykuły pierwszej potrzeby. Za wzór miały służyć wielkie kooperatywy angielskie, które poczęte ze skąpych środków, skromnych robotniczych udziałów, rozrosły się do nieprawdopodobnych rozmiarów. Rdzeniem jednak całego planu miała być jak najrychlejsza budowa wygodnych i obszernych domów robotniczych, które po pewnym przeciągu czasu miały przejść na własność robotnika.

Uskutecznienie tych wszystkich planów otwie-

rało olbrzymie pole pracy setkom robotników, których nędza dobiec miała wreszcie kresu. Równolegle z pracą około budowy nowego robotniczego siedliska biec miała praca kulturalno-oświatowa, której zamierzał nadać pewien stały i ciągły tok o programie przejętym z zagranicznych wzorów.

Wszystko to nasuwało Stefanowi tysiące zajęć, w których Łatek dzielnie mu sekundował, przewodząc kolegom-architektom w kreśleniu budowlanych planów, wytyczonych przez profesora Szalskiego. Nawał pracy pożerał całe dnie i noce. W izbie Stefana wrzało jak w ulu. Gotowała się wielka sprawa, w ochocze, krzepkie dłonie ujęta, powstawało dzieło, wykołysane w marzeniach wielkiej i szlachetnej duszy.

Lecz losy niestety lubią krzyżować ludzkie zamysły i plany. Nim się oglądniesz, zbiorą się w chmury, z których padnie piorun i cios śmiertelny wymierzy.

Losów tajemne są drogi — okrutne, chyłkiem skradają się ku nam, by w chwili, gdy mienimy się być już u celu, podejść nas i zaskoczyć, złamać i zmiażdżyć.

Szedł niezdrowy, jadem nienawiści zatruty wiew z obozu „czarnych". Groźnym pożarem owładnął ślepców sercami, pchnął do czynów, na których myśl wzdryga się dusza. Antoś, w przeciwieństwie do Stefana siał w duszach nienawiści siew i zebrać chciał teraz plony. Żądza zemsty, zrodzona w nędzy, oślepiła nieprzejednane jego serce i tchnęła weń ślepy szał zniszczenia. Dyszał nienawiścią i żądzą

przewrotu, mocą którego, naiwnie roił, stworzy odmienny porządek rzeczy, gdzie wszyscy, syci, zaznają wreszcie tego, na czem im całe życie zbywało. Niedostatek i nędza sprzymierzyły się z sobą, by duszę tego chłopca powlec na manowce, skąd niema powrotu. Rozgorzał buntem i wziąć pragnął krwawy odwet za nędzę swych ojców i swoją własną. Szał go omamił i wlókł nad przepaść bezsilną ofiarę, w szpony uchwyciwszy potężne, z których wyrwać się nie było sposobu. Skazaniec, niskich rozkołysanych nad miarę instynktów niewolnik, gotował sobie zagładę i drugim niósł pewną zgubę. Nic nie zdołało go odwieść od zamierzonego czynu, mocą którego opanować miał miasto i głód nienawiści nasycić. Czekał tylko stosownej chwili, by podjąć walną rozprawę. Z największą troską i lękiem przyjmował Stefan wieści, które przedzierały się skąpo z obozu „czarnych" i wtórnie próbował, niestety bezskutecznie, szukać z Antosiem porozumienia, który wzgardliwie odrzucił wszystkie podjęte w tym kierunku zakusy.

Zmierzyć się więc wreszcie mieli dwaj ludzie ideowo różni, wyrośli na jednym gruncie, zetrzeć się miały dwa światy, z których jeden miłość głosił bliźniego, a drugi nienawiść. Obydwaj pewni swych środków i celów, obydwaj spokojni w sumieniu, pragnęli ludziom zapewnić szczęście. Lecz jakże odmienne były ich drogi, jak różne sposoby osiągnięcia celu! Któż wahałby się, które wybrać się godzi? Ślepiec jeno nieść może mord i pożogę, sądząc, że tym sposobem nowe stwarza życie i nowe jego od-

miany. Złuda to jedna z największych i najniebezpieczniejszych na świecie, bo niezbitym jest faktem, stwierdzonym historją narodów, że nienawiścią nikt niczego nigdy nie wybudował, — choć skleci rzekome dzieło, zcementowane krwią i krzywdą bliźnich, padnie rychło pod jego gruzami. Rozbój i gwałt to nie droga godna człowieka. Zdeptana idea sprawiedliwości, będąca podwaliną porządku wszechrzeczy, dźwignie się z mocą i wymierzy karę.

Nie myślał o tem Antoś, zasłuchany w poszepty zwiedzionego serca i sztandar wywiesił, na którym wypisał hasło krwawego odwetu i nienawiści. W chwili, którą uznał za sposobną, postanowił wykonać zamach. Na razie gotował się, czaił i zbroił, aż dnia pewnego wydał sygnał boju. W samą porę dowiedział się o tem Stefan, który w myśl zapowiedzi i zgodnie z swem przekonaniem i sumieniem postanowił za wszelką cenę sparaliżować akcję Antosia. Zgromadził swych zwolenników, których nieliczna na razie garść się skupiła i w płomiennej mowie zachęcił ich do czynu.

— Ludzkość odrodzić może—mówił z zapałem— tylko miłość bliźniego, jedyne źródło dobra wszelakiego i szczęścia. Szaleniec tylko lub głupiec zapragnie dzieło odrodzenia oprzeć o nienawiść. Są niestety tacy i to dość liczni, którym nienawiść pomięszała rozum — gwałtem i zbrodnią chcą ludzkość zbawić — tych unieszkodliwić należy! Kto podziela moje zapatrywania, komu sumienie za mną opowiedzieć się każe, kto pragnie stworzyć przyszłym pokoleniom trwałą i szczęśliwą przyszłość,

dziś wieczorem stawi się na placu giełdy. Zmierzymy się z nimi, by, ubezwładniwszy ich, nie szukać na nich zemsty, boć ślepcy są to nieszczęśni! lecz miłością im okazaną zjednać ich serca i wieść ich do piękna i prawdy.

Zapadł mglisty, ciemny wieczór. Gęsta mgła zawisła nad miastem. U wylotu jednej z ulic zgromadzili się „czarni". Rozdzieliwszy się na partje, ruszyli w różnych kierunkach. Stefan, zebrawszy i opatrzywszy należycie szczupłe swoje szyki, krążył po mieście. W myślach pogrążony, szedł na czele oddziału w towarzystwie Łatka. Niepokój go jakiś ogarnął, szarpnęło niedobre przeczucie. Miał wrażenie, jakby go miało spotkać coś złego; miał jedną z tych chwil, w których dziwny opada nas lęk i myśl nas nachodzi wróżb najgorszych pełna. Skądsiś przypytała się nagle trwoga, która z mocą uderzyła w serce, rozdygotane nerwowym niepokojem. I obraz całego życia nasunął się nagle i wychynęły wspomnienia, jakby stanął wobec śmierci oblicza i z czynów swych zdawał rachunek sumienia.

— Słuchaj — szepnął do Łatka — mam przeczucie, że zginę.

— Et, głupstwa!

— A jednak zdarza się czasem... na wypadek, gdyby...

— Stefan!

— Pamiętaj o dzieciach...

Wyjął z kieszeni listy matki, które zawsze przy sobie nosił i do ust je przycisnął.

Szli ciągle naprzód, gdy nagle na skręcie ulicy

ze mgły wyłoniły się cienie. Byli to „czarni", ślepcy niesyci budujący państwo swe na krwi kurzawie, pożodze i mordzie, doprowadzeni do wszystko niszczącej rozpaczy przez tych drugich ślepców sytych, którzy państwo swe o wyzysk i nędzę bliźnich oparli. I jednych i drugich ocalić mógł tylko Stefan, który trzecie, nowe państwo założyć zamierzył. gdzie miłość bliźniego, piękno i prawda sercami ludzi miały owładnąć.

Skradali się cicho, ostrożnie. Dojrzawszy grupkę ludzi, szybko rozwinęli się w szyk bojowy.

Poczęto od wymiany ostrych słów i obelg — nagle zagrzmiały strzały.

Pierwszy padł Stefan, przeszyty kulą.